JAK OCALIĆ MIASTA PRZED PARTIAMI

MILIARDER, CO NARÓD NAWRACA

ZWIERZENIA MEDIALNYCH ELIT

Kraków 23 października 2022 nr 43 (3824) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

PUTIN W POLSCE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

DODATEK SPECJALNY MAGAZYN CONRAD

REKLAMA

NOWA KSIĄŻKA WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

W czasach chaosu i dezinformacji potrzebujemy wiarygodnej opowieści o świecie

40% rabatu dla czytelników „Tygodnika Powszechnego"

kod: stronaswiata

Do wykorzystania na stronie znak.com.pl

REKLAMA

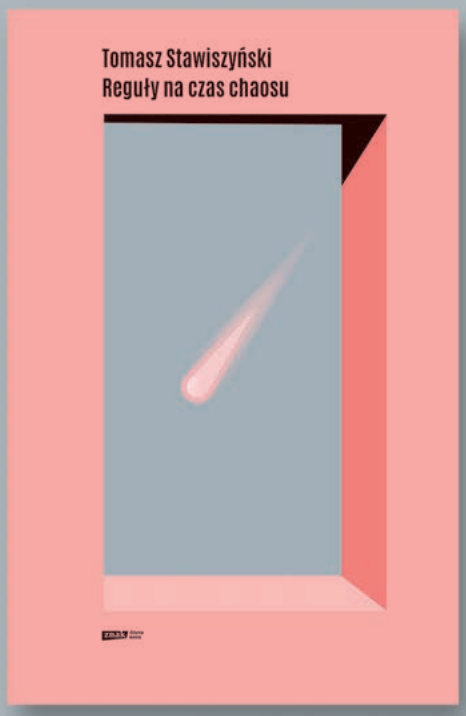

Rabat 40% dla czytelników „Tygodnika Powszechnego"
Kod: **stawiszynski**
Ważny do 10.11.2022 tylko na znak.com.pl

KSIĄŻKA, KTÓRA NIESIE POCIESZENIE W TRUDNYCH CZASACH

- Gdzie szukać sensu, gdy zewsząd zalewają nas złe wiadomości?
- Jak odnaleźć równowagę w niestabilnym świecie?
- Komu i czemu ufać, gdy w najlepsze trwa ogólnoświatowa wojna informacyjna, nadciąga kryzys ekonomiczny, a nasza planeta płonie?

KRÓTKI PRZEWODNIK DLA TYCH, KTÓRZY CZUJĄ LĘK I NIEPEWNOŚĆ

ZAMÓW TANIEJ

swoją prenumeratę na 2023 r. zawczasu tylko do 2 listopada!

Szanowni Państwo,

2 listopada zmienimy cennik prenumeraty „Tygodnika Powszechnego". Nie będzie już można zamówić niektórych opcji czasowych i promocyjnych, a cena pozostałych nieznacznie wzrośnie.

Ogromne, bezprecedensowe podwyżki cen papieru gazetowego, prądu, gazu i transportu to cztery krytyczne czynniki, które wymuszają na nas konieczność podwyżki ceny prenumeraty.

Detaliczna cena wydania wzrosła już kilka miesięcy temu, do 12 złotych. **W zwykłej prenumeracie rocznej to wciąż koszt około 9 złotych za wydanie.**

Z podwyżką ceny prenumeraty wydania drukowanego pisma zwlekaliśmy jak najdłużej, chcąc Prenumeratorom – naszym najbardziej oddanym Czytelnikom – umożliwić jej **zakup na jak najlepszych warunkach**.

Prenumerata jest najkorzystniejszą finansowo, dla nas i dla Czytelników, najbardziej efektywną formą dystrybucji prasy drukowanej – w ramach prenumeraty każdy egzemplarz, bez konieczności drukowania egzemplarzy nadmiarowych, trafia w ręce oczekujących go osób.

Serdecznie zapraszamy wszystkich naszych Czytelników do wykupienia lub przedłużenia prenumeraty jeszcze w październiku 2022 – na kolejne okresy rozliczeniowe. **Taniej** – bez względu na bardzo niepewną sytuację rynkową.

Dziękujemy, że jesteście Państwo z nami.

Jacek Ślusarczyk
Prezes Zarządu
Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Gry miejskie
RAFAŁ MATYJA
Aktualna kadencja samorządów będzie najtrudniejsza w ich historii. Jak ocalić miasta przed partiami?

34 Wiara miliardera
SZYMON ŻYŚKO
Przedsiębiorca z czołówki list najbogatszych Polaków postanowił zmienić naszą religijność za pomocą billboardów. Nie szczędzi na to grosza.

44 „Tomáš" rusza na front
PATRYCJA BUKALSKA
Gdy tysiące Czechów pomagają uchodźcom z Ukrainy i uczestniczą w zbiórkach na zakup uzbrojenia dla tamtejszej armii, tysiące innych żądają złagodzenia kursu wobec Rosji.

60 Rośliny przyszłości
MARTA ALICJA TRZECIAK
Potrafimy już wytwarzać rośliny, które świecą w ciemnościach. W przyszłości mogłyby one zastąpić na przykład latarnie uliczne.

66 Zwierzenia medialnych elit
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Najpopularniejsi polscy dziennikarze zdają sobie sprawę, że uczynili z debaty publicznej jałowy rytuał i spektakl polaryzacji. Grają jednak w tę grę, bo nie mają pomysłu, jak zmienić jej reguły.

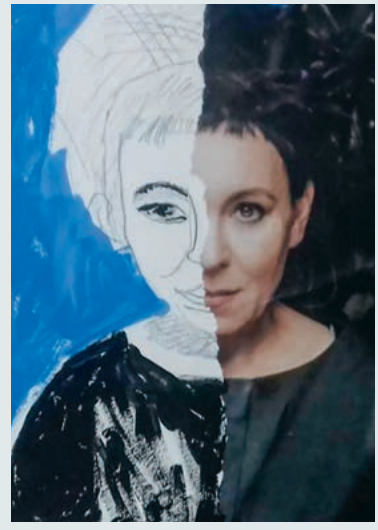

106 Olga Tokarczuk i matematycy
MICHAŁ HELLER
Wyniki matematyczne nie zależą od wyobraźni i nie podlegają jej ograniczeniom. Czy mogą zatem zaprowadzić w regiony, do których nie sięga wyobraźnia?

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER // JAKUB WOSIK / EAST NEWS // KATARZYNA KROCIEL / ADOBE STOCK // UCZNIOWIE ZESPOŁU SZKOLNO-PRZEDSZKOLNEGO IM. JANUSZA KORCZAKA W WYSOKIEJ // NATALIA POLASIK DLA „TP" // MICHAELA RIHOVA / CTK / PAP

6 Lecą rakiety na Bursztyn
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Gry miejskie
RAFAŁ MATYJA

26 Samorządy gaszą światło
PIOTR WÓJCIK *o pułapce, w jaką budżety miast i gmin wpędziła drożejąca energia*

29 Długa droga do domu
DOROTA BIDZIŃSKA:
W bezdomności najgorsze jest poczucie nieustannego wstydu. Pozbycie się go ułatwia powrót do życia

■ ■ WIARA

34 Wiara miliardera
SZYMON ŻYŚKO

38 Komunijna musztra
MACIEJ MÜLLER: *Jak przygotować dziecko do pierwszej komunii*

40 Dotrzeć do kresu
KAROL KLECZKA *rozmawia z* SEBASTIANEM KOŁODZIEJCZYKIEM: *Agnostyk na trasie pielgrzymki do Santiago de Compostela*

■ ■ ŚWIAT

44 „Tomáš" rusza na front
PATRYCJA BUKALSKA

47 Ścięta klasa
TOMASZ OTOCKI Z KOWNA *relacjonuje problemy polskich szkół w krajach bałtyckich*

50 Równouprawnienie po szwajcarsku
AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU: *Referendalna większość zrównała wiek emerytalny Szwajcarów i Szwajcarek*

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

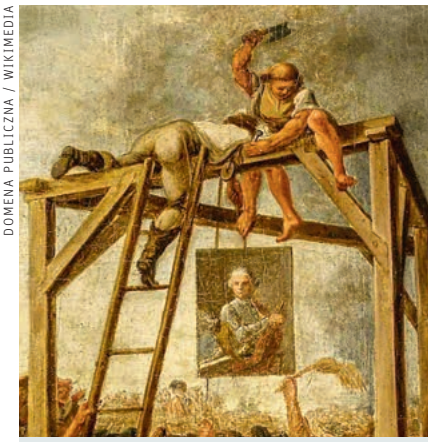

12 Putin w Polsce
AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI
Nasi politycy, przerzucając się oskarżeniami o agenturalność, stają się pożytecznymi pionkami w grze Kremla. Oto, jak naprawdę działają u nas jego wpływy.

■ DODATEK ■

79 MAGAZYN CONRAD 02

■ FELIETONY ■

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 WOJCIECH BONOWICZ
65 JACEK PODSIADŁO **104** OLGA DRENDA
105 PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: WŁADIMIR PUTIN
FOT.: MIKHAIL SVETLOV / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

53 Dostałem drugą szansę
MARTA ZDZIEBORSKA *rozmawia z* JOSEPHEM SAKRANEM, *chirurgiem, który ratuje ofiary ulicznych strzelanin w USA*

■ ■ HISTORIA

56 Przeklęte ciało świętej Evity
DOMA MATEJKO:
Zmarła przed 70 laty Evita Perón oddziaływała na losy Ameryki Południowej jeszcze długo po śmierci

■ ■ NAUKA

60 Rośliny przyszłości
MARTA ALICJA TRZECIAK

63 Nie całkiem zielone
PAWEŁ JEDYNAK *o eksperymentach, które mają przynieść odpowiedź na pytanie, czy rośliny się uczą*

■ ■ KULTURA

66 Zwierzenia medialnych elit
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

70 Przemoc przykazań
DARIUSZ KOSIŃSKI:
W inscenizacji „Dekalogu" Kieślowskiego i Piesiewicza Teatr Narodowy zadaje pytania o sposoby układania relacji międzyludzkich

73 Struna intuicji
MARIA SŁAWEK *opowiada* MAŁGORZACIE NOCUŃ *o tym, że istnieje życie po przegranej w Konkursie Skrzypcowym im. H. Wieniawskiego*

76 Kod nieznany
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „Silent Twins" Agnieszki Smoczyńskiej*

77 Życie uważne
LEKTOR *o rozmowie rzece z Wojciechem Marczewskim „Życie przyspiesza, ja zwalniam"*

■ ■ ZMYSŁY

106 Olga Tokarczuk i matematycy
MICHAŁ HELLER

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Co obejrzeć w weekend
Jakie tajemnice ujawniają się w amerykańskich domach podczas jesiennego Święta Dziękczynienia? – ANITA PIOTROWSKA w nowym cyklu internetowym poleca filmy i seriale na VOD | **powszech.net/weekend**

Miesiąc w nauce [Podkast Powszechny]
Czarne dziury: jak przyglądają im się naukowcy? A co ma wspólnego chemioterapia z jedzeniem lodów? – na przegląd wydarzeń naukowych zaprasza ŁUKASZ LAMŻA | **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

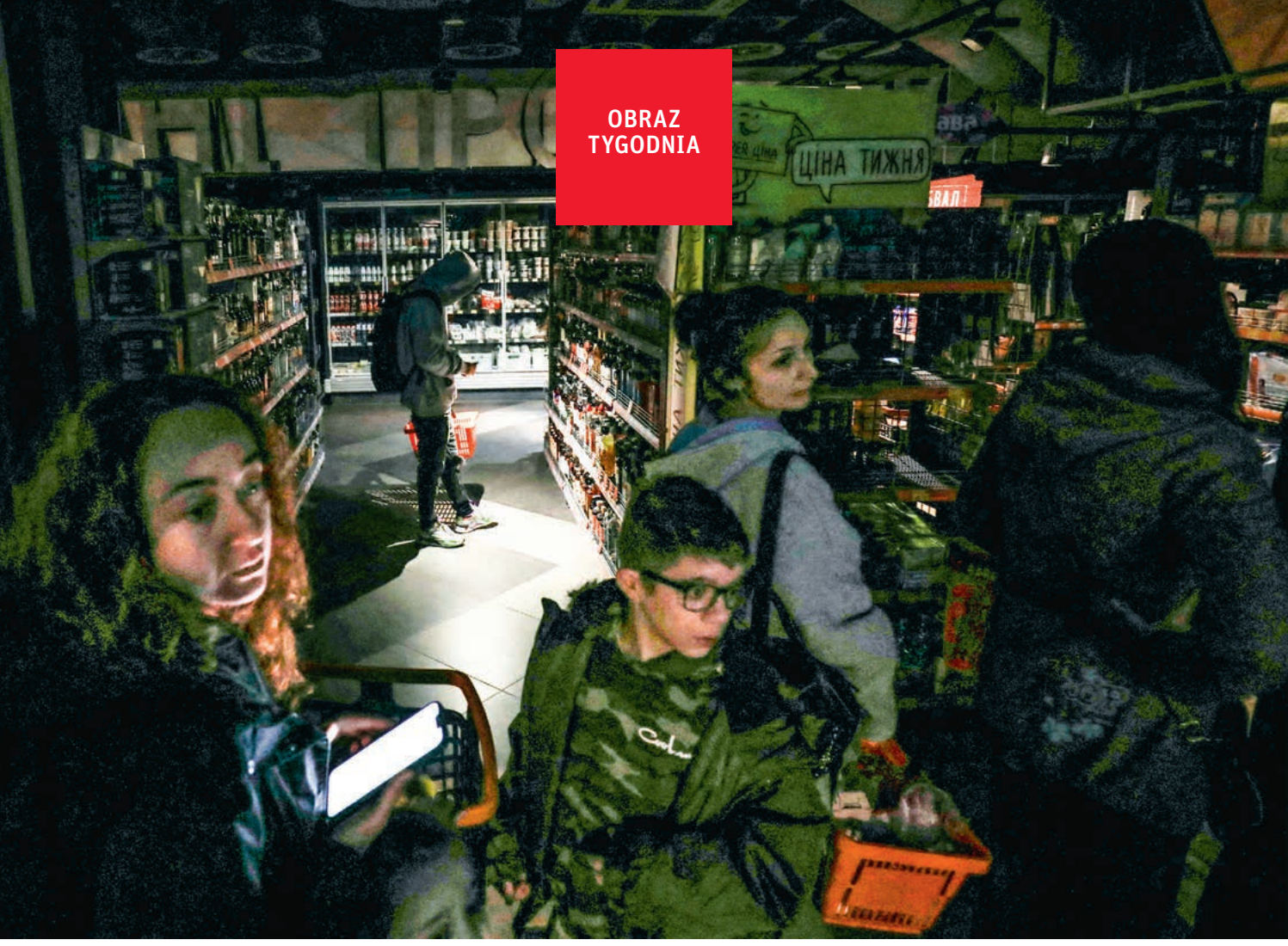

LECĄ RAKIETY NA BURSZTYN

Niszcząc cywilną infrastrukturę, Kreml chce zdestabilizować społeczeństwo i gospodarkę Ukrainy, cofnąć je do epoki sprzed elektryczności.

WOJCIECH PIĘCIAK

Lwów, 11 października 2022 r.

Sześć tysięcy – tyle żelaznych piecyków, zwanych tu „burżujkami", ukraińskie koleje dostarczą do wyzwolonych miejscowości w obwodzie chersońskim; piecyki powstają w kolejowych warsztatach. Wraz z nimi kolej dostarczy drewno na opał – niewiele, po metrze sześciennym, ale na początek zawsze coś. O to, by potem było go więcej, ma dbać osobiście wicepremier Iryna Wereszczuk. Ogrzewanie ma priorytet nie mniejszy niż terminale Starlink zapewniające łączność (po chwilowych wahaniach Elon Musk będzie je nadal finansować Ukrainie). Bo na odbitych terenach infrastruktura jest zniszczona, nie ma prądu, bieżącej wody, sieci telefonicznej, internetu, gazu i ogrzewania (gdyż to ostatnie często opierało się na tanim kiedyś gazie – w starych miejskich budynkach i na wsi powszechne są tu piece kaflowe przerobione na gaz).

Prośby o piecyki, a także o agregaty prądotwórcze płyną w tych dniach nie tylko z Chersońszczyzny. Gdy chłodna jesień w pełni, a perspektywa zimy tuż, takie prozaiczne rzeczy, obok ciepłej odzieży czy śpiworów, są cennym dobrem w całej strefie wojennej. Także w mia-

stach blisko frontu, jak Mikołajów, Zaporoże czy Charków, codziennie ostrzeliwanych.

Ale nie tylko na wschodzie kraju w napięciu śledzi się dziś długoterminowe prognozy pogody. Przedsmaku nowych wyrzeczeń doświadczył teraz także Lwów – po rakietowych atakach na stacje przesyłowe część miasta była przez kilka dni bez prądu, a przez to i bez bieżącej wody. Krążące po ukraińskiej sieci porady, jak produkować w domu długo palące się świece, trzeba traktować poważnie po tym, co zaczęło się w poniedziałek 10 października.

Wprawdzie od początku inwazji Rosjanie systematycznie atakują infrastrukturę cywilną – tę, od której zależy funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki. Jednak tak zmasowanych nalotów, mających najwyraźniej (jak ujął to jeden z ludzi Kremla) cofnąć Ukrainę do epoki sprzed elektryczności, które zaczęły się 10 października, wcześniej nie było. Jak celowy miały charakter, pokazuje ten szczegół: cztery rakiety dalekiego zasięgu – tj. co dziesiąta z tych, które pierwszego dnia nalotów przedarły się przez obronę przeciwlotniczą w całym kraju – spadły na Bursztyn. W tym miasteczku na historycznym Podolu jeszcze w czasach sowieckich zbudowano wielką elektrownię, która zapewnia prąd kilku okolicznym obwodom.

Atak na Bursztyn sprawił, że na jakiś czas ciemności zapadły w dużej części zachodniej Ukrainy. A po paru dniach nalotów na cele w całym kraju strona ukraińska podała, iż uszkodzono 30 proc. infrastruktury energetycznej. Konieczne są apele o oszczędzanie energii, a niektóre regiony, np. Czerkasy, wprowadziły grafiki wyłączeń prądu. I choć intensywność ataków nieco osłabła, nie ma dnia, by w jakiś ważny obiekt (elektrownia, ciepłownia) nie celowały rakiety. Albo drony-kamikadze dalekiego zasięgu, dostarczone Rosji przez Iran.

Dla Zachodu zaskoczeniem była chyba i rosyjska ofensywa powietrzna (ta, jak mówią wojskowi, niesymetryczna reakcja Rosji na jej frontowe klęski), i masowe użycie irańskich dronów. Ukraińcy ostrzegali przed nimi; ich głównodowodzący gen. Załużny powiedział właśnie, że w zwalczaniu dronów pomaga przekazana wcześniej przez Polskę broń przeciwlotnicza. Teraz jej dostawy zapowiadają USA, Niemcy, Wielka Brytania, Francja i inne państwa. Ale nawet jeśli ta broń pojawi się w wymiernej skali (co nie jest oczywiste, bo przy okazji okazuje się, iż systemów przeciwlotniczych na Zachodzie jest mało), ochrona krytycznej infrastruktury może być w najbliższym czasie ukraińską piętą achillesową.

Woli oporu to nie złamie. Ale jesień i zima mogą być dla zwykłych Ukraińców czasem nowych prób i wyrzeczeń. ©℗

REUTERS / FORUM

Polska tworzy najsilniejszą artylerię w Europie

MAREK RABIJ

Na dniach – jak poinformował rzecznik Agencji Uzbrojenia Krzysztof Płatek – resort obrony narodowej podpisze umowę zakupu ok. 300 koreańskich wyrzutni rakietowych K239, czyli odpowiednika amerykańskiego systemu HIMARS, który jest już na wyposażeniu naszej armii. Kupimy też nowoczesne rakiety, a kontrakt przewiduje transfer technologii, za sprawą którego uzbrojenie do systemu K239 mogłoby być produkowane w Polsce.

Ponadto wiosną MON zapytał Pentagon o możliwość nabycia do pół tysiąca wyrzutni HIMARS i choć tylu na pewno nie uda się zamówić, jest niemal pewne, że do 20 zakontraktowanych już w 2019 r. polskich HIMARS-ów – do 2025 r. dołączy co najmniej kilkadziesiąt kolejnych. Po zakończeniu wszystkich dostaw Wojsko Polskie stałoby się posiadaczem najsilniejszej artylerii rakietowej w Europie – i jednej z najpotężniejszych na świecie.

Skala zamówień uzbrojenia dla Wojska Polskiego nie ma dziś odpowiednika w Europie. Tylko w tym roku zakontraktowaliśmy w Korei Południowej niemal tysiąc czołgów K2, 48 odrzutowców FA-50 i ponad 600 armatohaubic K9. Do USA trafiło zapytanie o 96 śmigłowców bojowych AH-64E Apache i sześć kolejnych baterii systemu antyrakietowego Patriot (dwie już mamy). Wraz z Brytyjczykami Polska buduje obronę rakietową średniego zasięgu, uzbrojoną w ultranowoczesne rakiety rodziny CAMM, a samodzielnie tworzymy obronę ultrakrótkiego zasięgu.

Łącznie polski program budowy obrony powietrznej pochłonie 30-40 mld dolarów. A do rachunku trzeba doliczyć również wcześniejsze zamówienia na 32 myśliwce F-35, 250 czołgów Abrams M1A2 SepV3 i trzy fregaty rakietowe Miecznik. Razem – kolejne 10-12 mld dolarów. W dodatku na horyzoncie majaczy już zamówienie na kolejne myśliwce, zapewne F-35 lub F-15EX. Koszt? 4-5 mld dolarów.

Do 2035 r. rząd chce wydać na modernizację techniczną armii 133 mld dolarów. Eksperci wskazują jednak na koszty eksploatacji sprzętu, które w całym cyklu eksploatacji, trwającej średnio 30-40 lat, mogą przerosnąć cenę zakupu nawet czterokrotnie. Pytanie o przyszłość Wojska Polskiego nie sprowadza się więc do tego, czy powinniśmy kupować nowe uzbrojenie, lecz raczej do tego, czy w kolejnych dekadach będzie nas stać na utrzymywanie go w należytym stanie. I czy zawodowa armia, borykająca się od lat z problemami kadrowymi, może stać się w najbliższych latach atrakcyjnym miejscem startu w karierę zawodową dla młodych Polaków. ©℗

Amerykański system rakietowy HIMARS. Ćwiczenia w Tarlac. Filipiny, 13 października 2022 r.

AARON FAVILA / AP / EAST NEWS

Śledztwa nie będzie

PROKURATURA OKRĘGOWA w Warszawie odmówiła wszczęcia śledztwa w sprawie prof. Andrzeja Markowskiego, językoznawcy, któremu siedem kobiet, byłych i obecnych studentek oraz doktorantek Uniwersytetu Warszawskiego, zarzuciło molestowanie seksualne. Sprawę opisały 21 marca „Gazeta Wyborcza" i „Tygodnik Powszechny". Dwa dni później zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa złożył prof. Alojzy Nowak, rektor UW.

– Prokuratura przeprowadziła postępowanie sprawdzające, w wyniku którego 12 września odmówiła wszczęcia śledztwa m.in. o czyn z art. 199. §1. kodeksu karnego – mówi „Tygodnikowi" Aleksandra Skrzyniarz, rzeczniczka prokuratury. – Zawiadomieniem, które wpłynęło do prokuratury od władz uczelni, objęto kilka osób. Prokuratura nie stwierdziła znamion czynu zabronionego, a dwie ze zgłoszonych spraw uległy przedawnieniu.

Wspomniany przez rzeczniczkę artykuł kodeksu karnego mówi o karze pozbawienia wolności do lat trzech dla osoby, która „przez nadużycie stosunku zależności lub wykorzystanie krytycznego położenia, doprowadza inną osobę do obcowania płciowego lub do poddania się innej czynności seksualnej albo do wykonania takiej czynności".

– Molestowanie seksualne miało miejsce, co – w swojej opinii – stwierdziła jednoznacznie Komisja Rektorska ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji na Uniwersytecie Warszawskim. Nie każde molestowanie seksualne jest jednak przestępstwem uregulowanym w prawie karnym – mówi Barbara Namysłowska-Gabrysiak, karnistka, która reprezentuje kobiety.

Z ich relacji wynika m.in., że profesor całował je i sadzał sobie na kolanach wbrew ich woli. Jedna z kobiet przyznała, że masturbował się w jej obecności.

„Nigdy nie dopuszczałem się aktów przemocy seksualnej" – napisał 5 kwietnia w oświadczeniu prof. Andrzej Markowski. 7 czerwca, w kolejnym wpisie na Facebooku, prof. Markowski zaznaczył: „żeby walczyć o swój honor, o swoje dobre imię, którego skutecznie mnie pozbawiono, zdecydowałem się pomawiające mnie o molestowanie osoby pozwać z oskarżenia prywatnego o zniesławienie (dotyczy to również pomówień o sprawy przedawnione)". Do zamknięcia tego numeru nie udało nam się skontaktować z prawnikiem reprezentującym prof. Markowskiego.

– Decyzja prokuratury nie jest prawomocna – mówi rzeczniczka, tłumacząc, że zarówno władze uczelni, jak i kobiety, których sprawa dotyczy, mają możliwość wniesienia zażalenia od tej decyzji. ©℗ ANNA GOC

KRAJ W SKRÓCIE

ZATRUCIE

Troje młodych ludzi trafiło do łódzkiego szpitala – szukając odurzenia zjedli muchomora czerwonego. Ta praktyka cieszy się coraz większą popularnością w mediach społecznościowych.

ŻART

Podczas podróży po Polsce Jarosława Kaczyńskiego coraz większą popularnością cieszy się tematyka osób transpłciowych. „Nie tylko pan czy pani, ale jest też to, ono. Chociaż nie wiem, jak się do »onego« zwracać. Ale to oczywiście żarty" – zaznaczył łaskawie prezes PiS w Sieradzu.

SERIO

Po Polsce jeżdżą też inni politycy. Na widok wypadku drogowego nowy szef prezydenckiego BBN Jacek Siewiera (na zdjęciu) włączył się w reanimację ofiar. „Najdziwniejsze, że jako lekarz 10 lat robiłem resuscytacje i później czekał najwyżej zimny kebab w dyżurce, ale gdy raz zrobiłem to jako minister, to piszą w gazetach – skomentował zdziwiony. – Prawdziwymi bohaterami są ratownicy LPR, dla których to była druga albo trzecia robota tej doby".

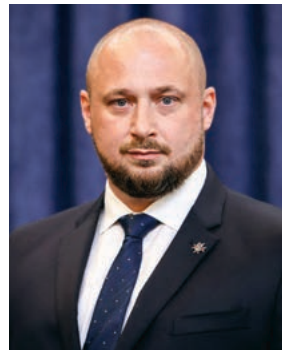

GRZEGORZ JAKUBOWSKI / KPRP

BARDZO SERIO

Z badań Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor wynika, że już co drugi Polak posiadający oszczędności musiał po nie sięgnąć, by sfinansować podstawowe potrzeby. Z płatnością zobowiązań – rachunkami za prąd, gaz, wodę – zalegała w ostatnim półroczu co szósta osoba.

W tym roku czeka nas brunatna zima

SEJM CZASOWO ZNIÓSŁ zakaz palenia węglem brunatnym w domach. Kupić go będą mogli ci, którzy w Centralnej Ewidencji Emisyjności Budynków zadeklarowali ogrzewanie węglem.

Węgiel brunatny jest tańszy od kamiennego. Cena tony waha się od 200 do 500 zł, podczas gdy węgla kamiennego – ponad 3 tys. Posiada jednak niższą kaloryczność – trzeba go zużyć niemal czterokrotnie więcej. Węgiel brunatny zawiera kilkukrotnie więcej siarki i rtęci niż kamienny, jest też bardziej zawilgocony. Efektem spalania są trujące związki, które przedostają się do atmosfery.

Podczas spotkania w Puławach prezes PiS Jarosław Kaczyński podważał jego szkodliwość („to się pali, to się dymi, ludzie tam jakoś żyją" – mówił). Istotne jednak jest to, że domowe kominy nie są wyposażone w nowoczesne filtry. Inna też jest technologia spalania w piecach przemysłowych. Węgiel brunatny wciąż pozostaje więc najbardziej szkodliwym źródłem energii. Raport organizacji HEAL z 2020 r. opisuje to konkretnie: emisje Elektrowni Bełchatów przyczyniają się do 630 nowych przypadków zapalenia oskrzeli, 1310 hospitalizacji i 27 830 ataków astmy u dzieci rocznie.

Pozwolenie na sprzedaż węgla brunatnego obowiązuje do 30 kwietnia 2023 r. ©℗ JACEK TARAN

Rada jest bezradna

NIE SŁABNIE KONFLIKT w Radzie Polityki Pieniężnej. Wróży to źle złotemu oraz inflacji, która we wrześniu sięgnęła 17,2 proc. – i będzie rosnąć.

„Członkowie mają utrudnione możliwości działania, a spotkania z analitykami NBP są możliwe tylko za zgodą dyrektor gabinetu prezesa NBP" – skarżył się w radiu TOK FM wybrany do RPP przez Senat Przemysław Litwiniuk. Dodał też, że bezskutecznie zabiega o przywrócenie co najmniej dwudniowych posiedzeń, które teraz odbywają się w ekspresowym tempie – jak gdyby prezes Glapiński od członków RPP oczekiwał tylko parafowania swoich decyzji.

Podobne zarzuty stawia wybrana we wrześniu do RPP Joanna Tyrowicz, która na antenie TVN24 zapewniała, że Rada nie wypełnia konstytucyjnego mandatu, jakim jest pilnowanie wartości złotego. Ekonomistka zasugerowała, że RPP na polityczne zamówienie toleruje wysoką inflację, która godzi głównie w najuboższych. Podkreśliła, że nie da się prowadzić polityki antyinflacyjnej „przy ujemnych realnych stopach procentowych". Problem w tym, że przy obecnej inflacji wyprowadzenie realnych stóp procentowych na plus oznaczałoby podniesienie ich powyżej... 17,2 proc. ©℗MR

ADRIANO MACHADO / REUTERS / FORUM

SÔNIA GUAJAJARA ORAZ CÉLIA XAKRIABÁ to pierwsze reprezentantki ludów rdzennych, które zostały przedstawicielkami swoich regionów w parlamencie Brazylii. Sônia za główny cel swojej pracy stawia sobie skuteczną ochronę puszczy amazońskiej przed dalszą destrukcją i odzyskiwanie terenów rolniczych dla upraw prowadzonych przez rdzennych mieszkańców. Chce też promować projekty rewitalizacji terenów zniszczonych przez rabunkową gospodarkę. Célia Xakriabá (na zdjęciu) jest doktorantką na Uniwersytecie Minas Gerais. Wcześniej pracowała w ministerstwie edukacji przy otwieraniu szkół dla ludów rdzennych. W swej pracy chce nadal skupiać się na edukacji ze szczególnym uwzględnieniem wiedzy o katastrofie klimatycznej. ©℗ JT

Kim jest Siergiej Surowikin?

ANNA ŁABUSZEWSKA

Po raz kolejny Władimir Putin dokonał zmiany na stanowisku dowódcy swoich wojsk walczących na Ukrainie – uczynił nim generała Siergieja Surowikina, znanego z brutalnych metod. Dwa dni po nominacji generał wykazał się inicjatywą: armia rosyjska zaczęła zmasowane ataki na ukraińskie obiekty infrastruktury krytycznej.

Kim jest 55-letni Surowikin, przez kremlowską propagandę okrzyknięty „generałem Armagedonem"? Nie wiadomo, co robił przez pierwsze lata służby w armii; są domniemania, że był w Afganistanie. W sierpniu 1991 r., po dokonanym przez twardogłowy beton partyjny puczu, został wysłany wraz ze swoimi czołgistami, by bronić puczystów. Gdy na drodze stanęli mu zwolennicy Borysa Jelcyna, protestujący przeciw puczystom, doszło do tragedii: zginęły trzy osoby. Za to kapitan Surowikin spędził 7 miesięcy w areszcie, ale nie został postawiony w stan oskarżenia – zasłaniał się tym, że wykonywał rozkazy. W 1995 r. został oskarżony o sprzedaż broni i skazany w zawieszeniu (potem wyrok zatarto). W wieku 32 lat awansował na pułkownika i trafił do Tadżykistanu, gdzie został szefem sztabu stacjonujących tam rosyjskich wojsk. W 2002 r. został dowódcą dywizji strzelców zmotoryzowanych i zasłynął jako „żelazna ręka" (doprowadził swojego zastępcę do samobójstwa).

Kolejnym etapem jego kariery był udział w operacji w Syrii: został dowódcą rosyjskiej grupy lotnictwa bojowego. Samoloty odegrały ważną rolę we wsparciu Baszara al-Asada, bombardując syryjskie miasta znajdujące się pod kontrolą opozycji. Human Rights Watch wymienia Surowikina w raporcie o zbrodniach (ataki na osiedla mieszkalne, infrastrukturę krytyczną). Po Syrii otrzymał stanowisko dowódcy Sił Powietrzno-Kosmicznych.

Teraz generał z takim bagażem ma zapewnić Putinowi zwycięstwo – choćby sposobami, które cywilizowany świat uznaje za barbarzyńskie. Od początku tej wojny rosyjska armia stosuje metody naruszające wszelkie konwencje, popełnia zbrodnie wojenne. Czy może być jeszcze gorzej? ©

Więcej na stronie „TP" w rubryce **„Rosyjska ruletka".**

Miliard dolarów kary

CZASEM KŁAMSTWO rzeczywiście nie popłaca. Aż 965 mln dolarów musi za nie wyłożyć Alex Jones, właściciel portalu Infowars, prowadzący także audycje radiowe – a przy tym ultrakonserwatysta, zwolennik teorii spiskowych i pierwszy Amerykanin, który na fake newsach zbudował medialne i biznesowe imperium.

Zadośćuczynienie w takiej wysokości sąd w stanie Connecticut nakazał Jonesowi wypłacić rodzinom ofiar strzelaniny w szkole podstawowej w Sandy Hook. Po tragedii, w której dziesięć lat temu zginęło 20 dzieci i 6 dorosłych, Jones powtarzał w swoich mediach, że została ona wyreżyserowana przez rząd federalny USA jako część spisku, którego celem miało być wprowadzenie zakazu posiadania broni palnej. Twierdził też, że w strzelaninie nikt nie zginął, a rodziców dzieci nazywał „aktorami". Powtarzane regularnie kłamstwa prowadziły m.in. do gróźb ze strony słuchaczy i zwolenników Jonesa pod adresem rodzin ofiar.

Wyrok może oznaczać koniec intratnych biznesów Jonesa, który w internecie i na antenie przeplatał swoje teorie spiskowe promocją np. suplementów diety czy akcesoriów survivalowych. Może też podziałać jako ostrzeżenie dla podobnych mu ludzi, którzy z nieufności do waszyngtońskich elit uczynili oręż. Oraz dla polityków – w przeszłości gościem audycji Jonesa był m.in. Donald Trump, a Jones zbierał fundusze na wiec poparcia dla Trumpa w styczniu 2021 r., który przerodził się potem w szturm na Kapitol. Jest bardzo prawdopodobne, że związek Jonesa z tamtą insurekcją również znajdzie finał w sądzie.

©℗ MARCIN ŻYŁA

TYLER SIZEMORE / AP / EAST NEWS

PROF. ANDRZEJ ZOLL, PRAWNIK:

Zakazana chusta

WIKIMEDIA

ARTUR SPORNIAK: Belgijskiej muzułmance odmówiono przyjęcia na staż, ponieważ nie zgodziła się zdjąć tradycyjnej chusty, a firma prowadzi politykę neutralności religijnej. Sprawa trafiła do Trybunału Sprawiedliwości UE, który stanął po stronie przedsiębiorstwa.

ANDRZEJ ZOLL: Trybunał uznał, że domagając się w pracy neutralnego religijnie stroju firma nie dyskryminuje kobiety. Uważam, że nie tylko jest to dyskryminacja ze względu na wyznawaną religię, ale także postępowanie, które godzi w wolność religijną. Obie te wartości zostały tu naruszone. W ten sposób orzeczenie TSUE tworzy precedens zezwalający na naruszanie europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka.

Na czym dyskryminacja miałaby polegać?
Dyskryminujące jest domaganie się neutralnego religijnie stroju – na jakiej podstawie przedsiębiorca to czyni?

Praca nie jest miejscem na szerzenie poglądów religijnych.
Trzeba rozróżnić noszenie oznak religijnych, co przecież nie ma żadnych negatywnych konsekwencji, od nawracania na jakąś religię czy choćby rozmawiania o religii w pracy. To rzeczywiście nie jest miejsce na takie rozmowy.

Noszone oznaki religijne wiążą się głębiej z tożsamością osoby – ich zakaz nie pozwala być sobą?
Oczywiście. Swego czasu podobne rozstrzygnięcie wprowadzono we Francji. Zakazano noszenia wszelkich oznak religijnych, także np. krzyżyka na szyi.

We Francji chodziło przede wszystkim o nikab zasłaniający całą twarz.
To co innego. Państwo może domagać się od obywateli, by w przestrzeni publicznej nie zasłaniali twarzy – choćby ze względów bezpieczeństwa. Z odwrotnym problemem mamy do czynienia w Iranie, gdzie państwo ogranicza wolność kobiet, zmuszając je do noszenia religijnego stroju. ©℗

ANDRZEJ ZOLL *jest emerytowanym profesorem nauk prawnych UJ, byłym prezesem Trybunału Konstytucyjnego oraz byłym rzecznikiem praw obywatelskich.*

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SYNOD

Papież po niedzielnej modlitwie „Anioł Pański" niespodziewanie ogłosił, że trwający od roku synod o synodalności będzie miał zamiast jednej dwie główne sesje: w październiku 2023 r. i w październiku 2024 r. Sekretariat Generalny Synodu zapowiedział, że niedługo poinformuje, co ma się dziać w okresie dwunastu miesięcy między sesjami.

CENTRUM

W KUL otwarto Centrum Relacji Katolicko-Żydowskich im. Abrahama Heschela. W uroczystości uczestniczyła córka patrona – prof. Susannah Heschel.

KOŚCIÓŁ

Przez dwie godziny Franciszek rozmawiał z liderami polskich katolickich i ewangelikalnych wspólnot charyzmatycznych, którym towarzyszył abp Grzegorz Ryś. Mówiąc o Kościele w Polsce, papież wspomniał m.in. o chorobie klerykalizmu. Miał m.in. powiedzieć, że „niektórzy biskupi są traktowani przez wiernych jak książęta" – relacjonował jeden z uczestników spotkania.

CAŁUN

W katedrze w Salamance w Hiszpanii otwarto wystawę poświęconą historii badań nad Całunem Turyńskim z po raz pierwszy odtworzoną realistycznie trójwymiarową silikonowo-lateksową repliką ciała Człowieka z Całunu. Figura ma 178 cm wysokości.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyj

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy 95,2 FM Gdynia |97,4 FM Łódź 95,8 FM Wrocław | 97,7 FM Poznań 97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole – www.tokfm.pl

KUL bez Wierzbickiego

PIOTR SIKORA

Z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego odszedł etyk i filozof ks. prof. Alfred Wierzbicki – na jego wniosek rozwiązano umowę o pracę za porozumieniem stron. Od tego roku akademickiego będzie profesorem innej lubelskiej uczelni, UMCS.

Od jesieni 2020 r. władze KUL podejmowały przeciw ks. Wierzbickiemu czynności dyscyplinarne z powodu wygłaszanych przez niego opinii na temat stosunku Kościoła do osób LGBT+. Duchowny krytykował m.in. wypowiedzi Konferencji Episkopatu Polski dotyczące tej kwestii. Na początku 2022 r. wykładowca został uniewinniony od zarzutów związanych z krytyką KEP (zarzuty głoszenia poglądów niezgodnych z nauką Kościoła umorzono jako nienależące do zakresu kompetencji Komisji Dyscyplinarnej). Jak podkreślał ks. Wierzbicki w udzielonych ostatnio wywiadach, w trakcie tego postępowania czuł się poniżany i prześladowany. Ujawniło ono, mówił, że KUL nie jest już oazą wolności – jaką był za czasów PRL, że obecnie „nastąpiła degeneracja moralna i intelektualna tej uczelni".

Historia ks. Wierzbickiego pokazuje, jak bardzo uniwersytet potrzebuje autonomii wobec instytucji państwowych i kościelnych. Zarzuty wobec etyka były motywowane politycznie i godziły w akademicką wolność badań – spotykały się więc z krytyką ze strony innych instytucji akademickich. Nic dziwnego, że ks. Wierzbicki woli pracować w miejscu, które mu taką wolność zapewni. ©℗

Mińsk: odebrany kościół

W STOLICY BIAŁORUSI policja rozpędza wiernych modlących się przed zamkniętym kościołem św. Szymona i Heleny. Położona przy placu Niepodległości świątynia, zwana „Czerwonym Kościołem", od ponad 30 lat była centrum religijnym i społecznym – tu odbywały się spotkania opozycji, w niej chronili się uczestnicy protestów w 2020 r.

Pretekstem do zamknięcia kościoła był niewielki pożar w zakrystii pod koniec września. Po cofnięciu parafii umowy najmu proboszcz, ks. Władysław Zawalniuk, rozpoczął protestacyjną głodówkę, a wierni domagają się zwrotu budynku.

Zamykanie kościołów i koncesjonowanie działalności religijnej jest stałym elementem nacisku reżimu Łukaszenki nie tylko na katolików, ale i na inne wspólnoty, które nie chcą podporządkować się władzy. Podobne problemy spotykały w ostatnich latach także protestantów i starowierców. ©℗ EA

KULTURA W SKRÓCIE

DLA PROZAIKÓW

Nagrodę Angelus dla najlepszej powieści z Europy Środkowej po raz drugi przyznano autorowi z Polski. Otrzymał ją Edward Pasewicz za wydaną w 2021 r. powieść „Pulverkopf". Wyróżnienie za przekład otrzymał natomiast Daniel Warmuz, tłumacz „Szatańskiego pomiotu" Węgra Zoltána Mihálya Nagya.

DLA POETÓW

We Wrocławiu wręczono także coroczne poetyckie nagrody Silesius. W kategorii debiut wygrał tomik „polski wrap" Marty Stachniałek. Nagrodę dla najlepszej książki odebrał Krzysztof Siwczyk za „Krematoria I Krematoria II". Z kolei Marcin Sendecki otrzymał Silesiusa za całokształt twórczości.

DLA KSIĘGARZY

W ramach tegorocznej edycji programu „Certyfikat dla małych księgarni" do 102 kameralnych księgarni i antykwariatów trafią łącznie 4 miliony złotych. Zainaugurowany w ubiegłym roku program ma przede wszystkim zahamować spadek liczby małych księgarni oraz zapewnić im możliwość lepszej promocji.

DLA WSZYSTKICH

Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie otwiera w tym tygodniu wystawę malarki Teresy Pągowskiej „Głębiej niż moje wiem". Obrazy będzie można oglądać do 8 stycznia.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM |
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

L. LAW / NATIONAL PARK SERVICE

NIECH TYJE KRÓL! Na imię ma „747" i właśnie zwyciężył w Fat Bear Week 2022. Zresztą po raz drugi – wcześniej triumfował w 2020 r. Organizowany przez Park Narodowy Katmai na Alasce tydzień grubych misiów popularyzuje wiedzę o życiu tych zwierząt. Pod hasłem „Przetrwają najpulchniejsi" odbywają się wtedy wybory niedźwiedzia brunatnego, który w danym sezonie najlepiej przygotował się do zimy. W tym roku oddano ponad milion głosów. Pracownicy parku zamieszczają zdjęcia szczupłych niedźwiedzi po zimowym śnie oraz tęgich mocarzy na jesieni, głosujący wskazują faworytów. Wyborom towarzyszą sportowe emocje, w sieci trwa żywiołowa agitacja, a kolejne etapy są komentowane przez pracowników parku w transmisjach wideo. Konkurs nie zakłócił zimowych przygotowań – misie nadal łowią łososie. Pod adresem **powszech.net/grube-misie** zamieściliśmy transmisję na żywo z rzeki Brooks, gdzie można podziwiać gibkość tych monumentalnych zwierząt. Może uda się wypatrzeć króla? ©℗ PS

Nowe zastosowania ludzkich neuronów

SĄ GRY TAK PROSTE, że do opanowania ich zasad nie potrzeba mózgu. „Pong" polega na utrzymaniu piłki w obrębie prostokąta. Gracz próbuje to zrobić, przesuwając w górę lub w dół pionową belkę, która zastępuje fragment jedynego brakującego boku figury.

Zespół Bretta Kagana umożliwił opanowanie tej gry kulturom neuronów. Aby móc przesyłać do nich informacje, badacze umieścili je na sieci elektrod, a następnie „przetłumaczyli" obraz dostępny na ekranie na sygnały elektryczne. Skąd neurony wiedziały, że powinny „grać"? Przyjęto założenie, że każdy system przejawia preferencje wobec przewidywalności, więc „nagradzano" neurony za poprawne ruchy jedną i tą samą odpowiedzią elektryczną. Kiedy neurony popełniały błąd, zalewała je nieprzewidywalna fala aktywacji. Po kilku godzinach komórki reagowały w sposób równoważny skutecznemu odbijaniu piłeczki. Nauczyły się dostosowywać swoje działanie do zmian w środowisku – a to jeden z wyznaczników inteligentnego zachowania.

Choć mogą przejawiać zaskakujące zdolności, hodowane poza ciałem, pozbawione informacji zmysłowych komórki nerwowe nie rozwijają się tak samo jak te z mózgu. M.in. wciąż nie potrafimy ich odpowiednio ukrwić, co skraca ich żywotność i ogranicza zakres badań, które można wykonać z ich wykorzystaniem.

W innym eksperymencie Omer Revah i współpracownicy połączyli zalety organoidów, czyli miniaturowych struktur, które wyglądem i funkcjonowaniem mają jak najbardziej przypominać prawdziwe narządy, z zaletami badań na żywym organizmie. Badacze wprowadzili wyhodowane z ludzkich komórek macierzystych organoidy mózgowe do mózgów szczurzych noworodków, w obszarach połączonych z układem nagrody. Po kilku miesiącach przeszczepione komórki zaczęły uczestniczyć w przekazywaniu informacji, a gdy badacze je zdalnie aktywowali, prowokowały u szczurów wyuczone wcześniej zachowanie. Zabieg umożliwił też obserwację wpływu uszkodzonych genów na rozwój i funkcjonowanie określonych obszarów mózgu, co odsłania możliwości usprawnienia badań skuteczności terapii schizofrenii czy choroby afektywnej dwubiegunowej. © KATARZYNA DZIADOWICZ

TEMAT TYGODNIKA

PUTIN W POLSCE

Nasi politycy, przerzucając się oskarżeniami o agenturalność, stają się pożytecznymi pionkami w grze Kremla. Oto jak naprawdę działają jego wpływy.

AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

„Zdrada”, grzmiał z trybuny sejmowej minister Błaszczak. „Zdrada”, wtórował mu na Twitterze premier Morawiecki, polecając Donaldowi Tuskowi, by ten zamilkł. „Zdrada” – sugeruje generał Pytel w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, mówiąc o możliwej penetracji środowisk skupionych wokół PiS przez rosyjski wywiad.

W przerzucaniu się oskarżeniami o sprzyjanie Moskwie tradycje mamy bogate, sięgające co najmniej XVIII w. Teraz jednak weszliśmy na wyższy poziom. Dowód? Gdy w 1995 r. premiera Józefa Oleksego oskarżono o współpracę z rosyjskim wywiadem, upadł jego rząd i wybuchła jedna z największych afer III RP. Dziś podobne oskarżenia sypią się jak z rękawa. Gdyby wierzyć wszystkim, można by nabrać przekonania, że zarówno rząd, jak i opozycja są na pasku Rosji. To z kolei mogłoby wywołać dysonans poznawczy, bo skoro wszystkimi steruje Moskwa, to dlaczego w żadnej sprawie nasi politycy nie umieją się dogadać? Na szczęście każda strona polskiego konfliktu oskarżycielski przekaz kieruje wyłącznie do swojego elektoratu, a ten wierzy tylko „swoim”.

W Moskwie zapewne strzelają korki od szampana. Przynajmniej na warszawskim froncie ostatnio idzie znakomicie.

Impregnowani na wiedzę

– Takie oskarżenia w pierwszym rządzie prowadzą do deprecjacji słów, które powinny być zarezerwowane dla naprawdę poważnych sytuacji – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” ↦

Jan Piotr Norblin, Wieszanie zdrajców, ok. 1794 r. Muzeum Narodowe w Warszawie

↦ jeden z byłych szefów ABW. Jego zdaniem można nawet postawić tezę, że efektem działalności rosyjskiej agentury w Polsce jest właśnie przerzucanie się oskarżeniami o rosyjską agenturalność. Brzmi pokrętnie, ale żeby się przekonać, iż ma to sens, wystarczy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Moskwa coś na tym zyskuje. Otóż Polacy, którzy w takie oskarżenia wierzą, uznają Rosję za potężną, bo przecież „ma swoich nawet w rządzie/opozycji" (niepotrzebne skreślić). Ci, którzy nie wierzą w „ruskich agentów", z czasem mogą zobojętnieć wobec realnego zagrożenia. Jednocześnie obie strony coraz bardziej się polaryzują, a ich zaufanie do państwa koroduje.

– Rytualne, dewaluujące wykorzystanie kluczowych terminów prowadzi do inflacji ich wartości – mówi „Tygodnikowi" prof. Vincent Hendricks, dyrektor Ośrodka Badania Baniek Informacyjnych Uniwersytetu Kopenhaskiego. – To z kolei ułatwia wprowadzanie w życie strategii służących zwiększaniu polaryzacji. Inflacja takich terminów sprawia, że fakty tracą związek z symbolicznym aspektem polityki.

– Z perspektywy prowadzenia wojny hybrydowej to mistrzostwo świata – uważa dr Paulina Piasecka, dyrektorka Centrum Badań nad Terroryzmem im. Krzysztofa Liedela w Collegium Civitas.

Oczywiście, Polska jest areną działań rosyjskich służb wywiadowczych. Trudno, żeby było inaczej. Tyle że kierowane pod adresem przeciwników politycznych aluzje czy otwarte oskarżenia niepoparte dowodami doskonale wpisują się w scenariusze wojny sieciowej i walki informacyjnej, które od lat są głównymi narzędziami polityki zagranicznej Moskwy. Tę samą wagę ma zbywanie milczeniem poszlak świadczących o działalności rosyjskich służb w Polsce, czego najlepszym dowodem opisywany w tym tygodniu w „Newsweeku" brak wyników śledztwa dotyczącego rosyjskich wątków w aferze podsłuchowej z 2014 r. Aferze, która przemeblowała polską scenę polityczną i z założenia miała podważać zaufanie do przedstawicieli władzy.

Dziesiątki raportów zachodnich ośrodków analitycznych wskazują, że rosyjskie scenariusze wojen informacyjnych wcielane są w życie także u nas. Problem w tym, że nasi politycy

WIKIPEDIA

Logo Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej

Słowniczek: jak prawidłowo oskarżać o zdradę

Polskie pyskówki i obrzucanie się oskarżeniami o agenturalność mają cechę, która nie przystoi poważnym członkom debaty publicznej – są skandalicznie nieprecyzyjne. Oto prawidłowe nazewnictwo dotyczące osób zaangażowanych w działania służb:

■ ■ ■ **OFICER WYWIADU** – etatowy funkcjonariusz służb wywiadowczych, czyli takich, które są zainteresowane zdobywaniem informacji związanych z zewnętrznymi interesami państwa. Jak każdy funkcjonariusz służb mundurowych, ma stopień i odpowiednie wyszkolenie. Może działać pod przykryciem.

■ ■ ■ **OFICER KONTRWYWIADU** – odpowiednik powyższego w służbach kontrwywiadowczych. Zajmuje się zwalczaniem działalności obcych służb wywiadowczych i wewnętrznych zagrożeń dla jego kraju.

■ ■ ■ **AGENT** – osoba zwerbowana do współpracy ze służbami obcego państwa.

■ ■ ■ **AGENT WPŁYWU** – kategoria agentów, których działalność skupia się na realizowaniu woli mocodawców poprzez manipulowanie osobami, instytucjami czy społeczeństwami zgodnie z polityką zleceniodawców. Agentami wpływu mogą być politycy, biznesmeni, artyści, dziennikarze czy np. tiktokerzy.

■ ■ ■ **SZPIEG** – popularne i stosowane głównie w popkulturze określenie osoby zwerbowanej przez służby innego państwa, która zbiera i dostarcza im informacje – czyli agenta. Oficerowie służb obrażają się, gdy się ich tak nazwie.

zdają się być na tę wiedzę impregnowani i solidarnie, bez względu na opcję polityczną, stają się pożytecznymi pionkami w grze Kremla.

Rozmowy pokojowe trolli

Mniej więcej półtora miesiąca temu na polskojęzycznym Twitterze zaczęły się sypać komentarze dotyczące konieczności podjęcia przez rząd w Kijowie rozmów pokojowych z Moskwą. „Czy nie jest tak, że poważni ludzie, politycy, powinni rozmawiać i dochodzić do kompromisów, a nie przelewać krew, nie swoją krew?" – napisała jedna z użytkowniczek. Z analizy kont zamieszczających tego typu komentarze wynika, że część z nich wcześniej publikowała treści dotyczące zagrożeń związanych z napływem uchodźców, wzrostem cen oraz problemów z dostawami gazu z powodu wojny w Ukrainie.

– Taką samą narrację obserwowaliśmy m.in. w niemieckich i włoskich mediach społecznościowych od początku lipca. Tam takie treści zwykle dystrybuowane były półautomatycznie przez konta powiązane z rosyjskimi farmami trolli – mówi Michał Fedorowicz, prezes Instytutu Badań Internetu i Mediów Społecznościowych. Jego zdaniem rosyjska strategia komunikacyjna kompletnie się rozsypała wkrótce po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę, gdy w konfrontacji z dowodami zbrodni popełnianych przez rosyjską armię nie dało się bronić działań Kremla. Wkrótce potem runęły też zasięgi tub propagandowych Moskwy: z raportu firmy analitycznej Omelas wynika, że od rozpoczęcia inwazji do 7 marca rosyjskie media opublikowały 11,3 tys. postów i dotarły do 1,3 mln odbiorców na całym świecie. W tym samym czasie zachodnie media ze 116 tys. postów dotyczących wojny w Ukrainie dotarły do 44,8 mln odbiorców. Od czerwca trollkonta zaczęły więc rozsyłać treści dotyczące konieczności rozpoczęcia rozmów pokojowych. – Używano różnych argumentów, począwszy od zaprzestania przemocy wobec ludności cywilnej, aż po przywrócenie dostaw gazu z Rosji przed zbliżającą się zimą – mówi Fedorowicz. – Wiele wskazuje, że w niektórych państwach ta strategia przyniosła efekt i powoduje presję opinii publicznej na polityków, by domagali się od Kijowa rozmów z Moskwą. W związku z tym tę samą

strategię zaczęto implementować gdzie indziej, w tym u nas.

Pośrednio te ustalenia potwierdziła Insikt Group, oddział badawczy zajmującej się cyberbezpieczeństwem firmy Recorded Future. Jej lipcowy raport stwierdza, że Rosjanie „niemal na pewno prowadzą kilka wielopłaszczyznowych operacji informacyjnych", których celem jest „osłabienie i podzielenie zachodniej koalicji poprzez tworzenie lub zaostrzanie podziałów opinii publicznej we Francji, Niemczech, Polsce i Turcji". Wśród zidentyfikowanych narracji znalazły się: „wzbudzanie niezadowolenia wobec zachodnich liderów politycznych; negatywne przedstawianie ukraińskich uchodźców oraz obwinianie rządów o problemy ekonomiczne i energetyczne z powodu wojny w Ukrainie".

Insikt Group podkreśla, że pokrywa się to z ujawnioną w czerwcu przez Kijów notatką, przechwyconą z rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa. To swoista instrukcja, w której zaleca się, by w świetle dotychczasowych niepowodzeń w forsowaniu narracji Kremla propagandowe przekazy w państwach europejskich skupiły się na „pogorszeniu standardów życia" w wyniku wsparcia dla Ukrainy, w tym przede wszystkim „zbrojeniu Ukrainy na koszt podatników", „prognozach dotyczących liczby ukraińskich uchodźców i powstałego w związku z tym obciążenia dla budżetu i infrastruktury społeczno-gospodarczej" oraz „trudnościach gospodarczych". Celem tych działań ma być „wywołanie wewnętrznej presji społecznej na rządy i elity polityczne".

Wojny kognitywne

Wśród rosyjskich teorii walki informacyjnej za fundamentalną uchodzi stworzona w latach 60. przez Władimira Lefewra koncepcja zarządzania refleksyjnego. Ten radziecki matematyk i psycholog wyszedł z założenia, że teorię gier można wykorzystać jako paradygmat podejmowania działań w różnego rodzaju konfliktach. Dr Michał Wojnowski, historyk zajmujący się rosyjską myślą geopolityczną i teorią wojen, na łamach „Przeglądu Bezpieczeństwa Wewnętrznego" wyjaśnia: „Załóżmy, że istnieją dwie strony konfliktu, które określimy jako X i Y. Celem obiektu X jest sterowanie procesem decyzyjnym obiektu Y. Aby to osiągnąć X, posiadając ogólny obraz Y, przekazuje mu odpowiednio przygotowany zasób wyselekcjonowanych informacji. Zasób ten jest jednocześnie integralną częścią obrazu obiektu Y znajdującego się w świadomości X i jest równoznaczny z uzyskaniem informacji o obiekcie Y przez X. Dzięki temu X może wydedukować proces decyzyjny Y i przewidzieć jego zachowanie".

> Celem rosyjskiej wojny informacyjno-psychologicznej nie jest przekonywanie do określonych poglądów, lecz podminowywanie nastrojów, by atakowane społeczeństwa stały się rozproszone, pasywne i pogrążone w paranoi.

Wedle koncepcji Lefewra, by sterować działaniami potencjalnego celu, należy mieć o nim dostatecznie dużo informacji. Dzięki manipulacji przekazem można sprawić, że cel zmodyfikuje poglądy zgodnie z oczekiwaniami napastnika i na tej podstawie będzie podejmować decyzje. A celem może być – wedle Lefewra i uczonych rozwijających jego koncepcję – zarówno pojedyncza osoba, jak i grupa osób czy całe społeczeństwo.

Literatura przedmiotu wskazuje, że do jednego z pierwszych praktycznych zastosowań zarządzania refleksyjnego doszło podczas kryzysu konstytucyjnego w Rosji w 1993 r., wkrótce po tym, jak prezydent Borys Jelcyn rozwiązał Radę Najwyższą, co doprowadziło do masowych protestów. MSW miało celowo pozwolić demonstrantom na zajęcie jednego z węzłów komunikacyjnych i podsłuchanie wewnętrznej komunikacji między dwoma wysokimi rangą funkcjonariuszami, którzy mieli przygotowywać szturm na siedzibę Rady, zajętą przez protestujących. W rozmowie kilka razy miało powtórzyć się zdanie: „Nieważne, co się stanie z Czeczeńcem, zabijcie go, jeśli będzie taka potrzeba". Z kontekstu wynikało, że chodziło o Rusłana Chasbułatowa, przewodniczącego Rady Najwyższej i jednego z przywódców protestu. W odpowiedzi na ten „przeciek" część protestujących skierowała się do gmachu telewizji, by go zająć. Jelcyn zyskał w ten sposób podstawy do siłowego rozprawienia się z przeciwnikami. Zdaniem Wojnowskiego to „istota koncepcji zarządzania refleksyjnego": „Do wrogiego ośrodka przekazano specjalnie spreparowaną i uprawdopodobnioną informację z zakodowanym wzorcem behawioralnym. Informacja ta uwzględniała kontekst całej sytuacji. Wynikiem zastosowania technologii zarządzania refleksyjnego było korzystne dla rządu zachowanie demonstrantów".

Dr Paulina Piasecka zauważa, że podobne zasady wojny informacyjnej rozwijają Stany Zjednoczone: – W doktrynie Departamentu Obrony wskazano trzy wymiary środowiska, w jakim toczy się taka wojna: datacentryczny, czyli skupiony na informacji, fizyczny oraz kognitywny – wylicza. – Ten ostatni, najważniejszy, to obszar, w którym można wpływać na procesy decyzyjne zachodzące nie tylko w ludzkich głowach, ale również w maszynach zaprogramowanych tak, aby w sposób zautomatyzowany lub półzautomatyzowany podejmowały decyzje na podstawie dostępnych informacji.

Analityczka podkreśla, że pojawienie się tych ostatnich stanowi szczególny kłopot, bo prędkość, z jaką maszyny przekazują i przetwarzają informacje, sprawia, że nie jesteśmy w stanie za nimi nadążyć. – Dziś walka w sferze informacyjnej nie toczy się jedynie o wpływ na ludzkiego decydenta – mówi. – To także rozgrywka o umiejętne sterowanie innymi podmiotami, które podejmują działania, w tym maszynami.

„W skrajnej formie [wojna kognitywna – red.] może doprowadzić do rozłamu i rozpadu całego społeczeństwa, aby nie miało już zbiorowej woli przeciwstawienia się zamiarom przeciwnika. Może on całkiem realnie podporządkować sobie społeczeństwo bez uciekania się do jawnej siły lub przymusu" – przestrzega magazyn „NATO Review", podkreślając, że cele prowadzonego w ten sposób konfliktu mogą być ograniczone krótkim horyzontem czasowym, ale mogą to być ↦

GRZEGORZ ROGIŃSKI / CIR / REPORTER

Donald Tusk i Władimir Putin na miejscu katastrofy samolotu prezydenckiego. Smoleńsk, 10 kwietnia 2010 r.

Macierewicz: wersja spiskowa idzie w świat

POLACY może i uodpornili się na wzajemne obrzucanie się przez polityków oskarżeniami o agenturalność, ale dla zagranicznych odbiorców to wciąż może być pewna nowość. Np. dla Włochów, którzy w ubiegłym tygodniu z programu „PresaDiretta" na antenie Rai Tre mogli się dowiedzieć, że członkowie komisji smoleńskich badających katastrofę tupolewa „wiedzieli, że kłamią". Z tego samego programu wynikało, że Donald Tusk nie zginął w katastrofie, bo... był już w Smoleńsku z Władimirem Putinem.

TO AKURAT FRAGMENT narracji podanej przez autora reportażu Marcella Brecciarolego, ale następujący wkrótce po materiale wywiad mógł w odbiorcach wzmocnić przeświadczenie o głęboko zakorzenionym rosyjskim spisku. Antoni Macierewicz, który był bohaterem owego wywiadu, przekonywał, że prezydent Kaczyński wraz z pozostałymi pasażerami i załogą tupolewa zginęli, bo przeciwstawiali się kontraktom gazowym z Rosją, a sam prezydent miał dążyć do przyjęcia Ukrainy do NATO. B. szef MON powtórzył przy tym zapewnienia o tym, że jego komisja znalazła ślady materiałów wybuchowych w samolocie.

WYWIAD pozostawiono bez komentarza. Opinię na temat motywacji i wiarygodności Polski w działaniach wobec Rosji Włosi mogą wyrobić sobie samodzielnie. ©

↦ również kampanie prowadzone przez dziesięciolecia: „W ubiegłym wieku innowacyjna integracja mobilnej piechoty, sił pancernych i powietrznych zaowocowała nowym i początkowo niemożliwym do odparcia rodzajem wojny manewrowej. Obecnie w wojnie kognitywnej łącznie wykorzystywane są narzędzia cybernetyczne, informacyjne, psychologiczne i socjotechniczne, aby osiągnąć określone cele. Wykorzystuje się internet i media społecznościowe, aby wybiórczo lub seryjnie atakować wpływowe osoby, konkretne grupy i dużą liczbę obywateli w wybranym społeczeństwie".

Mgły fałszu

W tym kontekście nie sposób nie wspomnieć koncepcji Aleksandra Dugina, znanego głównie jako prokremlowski piewca wielkoruskiego imperializmu. – Jest on przedstawicielem radykalnie antyzachodniego, faszyzującego środowiska, od którego Kreml przejął pewne idee – mówi dr Maria Domańska, główna specjalistka Zespołu Rosyjskiego w Ośrodku Studiów Wschodnich. – Dugin mógł mieć wpływ na kształtowanie poglądów wysoko postawionych funkcjonariuszy FSB i części korpusu oficerskiego armii rosyjskiej, ale brakuje dowodów, by bezpośrednio wpływał na ideologię i politykę kremlowskich decydentów. Wydaje się, że niektóre jego koncepcje zostały zainspirowane metodami walki politycznej stosowanymi przez sowieckie, a następnie rosyjskie służby specjalne.

Według koncepcji, którą firmuje Dugin, do prowadzenia wojny sieciowej niezbędne jest stworzenie lub pozyskanie sieci pierwotnych (mogą to być grupy religijne, przestępcze albo mniejszości etniczne), sieci wtórnych (m.in. ruchów młodzieżowych, organizacji pozarządowych czy stowarzyszeń naukowo-badawczych) oraz sieci agentury wpływu.

Te ostatnie to m.in. „aktywne mniejszości", które – jak wskazuje Wojnowski – „aktywizuje się np. przez zainteresowanie pomysłami lub ideami, które są dla nich cenne itd. Te działania wpisują się w proces kreowania tzw. sztucznej uwagi. To pozwala zyskiwać przychylność osób lub grup przydatnych dla agresora bez potrzeby ich werbowania. Następnie poddaje się ich indoktrynacji ideologicznej za pomocą idei korzystnych z punktu widzenia celów i interesów podmiotu prowadzącego wojnę sieciową".

Dzięki temu, zgodnie z koncepcją Dugina, można prowadzić wojnę sieciową w przestrzeni fizycznej, informacyjnej, ale także kognitywnej i społecznej. Te dwie ostatnie obejmują manipulacje świadomością, a także pola współdziałania społeczności oparte na historycznych, kulturowych i religijnych wartościach. Dr Wojnowski: „W opinii rosyjskich teoretyków sfera kognitywna i społeczno-kulturowa są najważniejsze dla powodzenia operacji".

Gdzie przebiega linia frontu na takiej wojnie i na ile w niej do tej pory uległiśmy? Już sześć lat temu eksperci waszyngtońskiego Center for European Policy Analysis (CEPA) ostrzegali, że celem rosyjskich kampanii w pierwszej kolejności jest niszczenie zaufania społecznego, obniżanie morale, degradacja przestrzeni informacyjnej i dyskursu publicznego oraz nakręcanie podziałów. Podkreślali, że rosyjska wojna informacyjno-psychologiczna różni się od tradycyjnej propagandy, bo nie chodzi w niej o przekonywanie kogokolwiek do określonych poglądów, lecz o podminowywanie nastrojów, by atakowane społeczeństwa uległy dezorganizacji i demoralizacji. Celem jest to, by stały się rozproszone, pasywne i pogrążone w paranoi.

Wabik na prawicę

CEPA zauważało, że Kreml starannie dostosowywał przekaz do odbiorców i tak np. Słowacy z rosyjskich przekazów dowiadywali się o niemieckiej dominacji w Unii Europejskiej, a Ukraińcy i obywatele państw bałtyckich, że ich kraje to „ruina". Treść przekazów nie jest jednak ani pierwszoplanowa, ani nawet spójna. „Radziecka propaganda opierała się na jednej ideologicznej prawdzie. W jej współczesnym, rosyjskim wariancie rzeczywistość zmienia się jak w kalejdoskopie" – stwierdza w swoim raporcie pt. „Fog of Falsehood" Fiński Ośrodek Stosunków Międzynarodowych. Badacze podkreślają, że fakt, iż poszczególne przekazy kreowane przez Rosję bywają ze sobą sprzeczne, nie jest błędem, ale immanentną cechą przyjętej przez nią strategii, która polega na zalaniu przestrzeni informacyjnej taką ilością kłamstwa, by prawda miała problem z przebiciem się przez tę mgłę.

Według CEPA Polska jest przez rosyjskich propagandystów traktowana specyficznie. Ze względu na to, że antyrosyjskie postawy są w naszym kraju dość silnie ugruntowane, przynajmniej w warstwie deklaratywnej, Rosja nie operuje u nas za pomocą jawnie prorosyjskich organizacji, partii czy ośrodków. Zamiast tego do nagłaśniania korzystnych dla siebie przekazów wykorzystuje wewnętrzne konflikty polityczne, dostosowując przekaz do przekonań i zapotrzebowania różnych stron polsko-polskich sporów. Raport CEPA stwierdza, że znaczna część tej propagandowej pracy jest wykonywana w Polsce nie przez agentów wpływu opłacanych z Kremla (jak to się działo m.in. w Bułgarii), ale przez Polaków przeświadczonych, że dystrybuując toksyczne teksty czy memy, służą ważnej dla siebie sprawie.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

Ze względu na to, że antyrosyjskie postawy są w Polsce silne, Rosja niemal nie operuje u nas za pomocą jawnie prorosyjskich organizacji. Zamiast tego wykorzystuje wewnętrzne konflikty polityczne.

Takie treści, tworzone na potrzeby Rosji, mają być skierowane przede wszystkim do odbiorców, którzy uważają się za zmarginalizowanych i pozbawionych sprawczości, a jednocześnie mają ograniczone zaufanie do demokracji i głębokie przekonanie o tym, że światem kierują jakieś „mroczne siły": Waszyngton, bankierzy, Żydzi, koncerny czy Kościół. Podsuwa się im papkę ulepioną z nostalgii i pogardy. „Kremlowskie narracje, paradoksalnie, dążą do promowania ekstremalnego, polskiego nacjonalizmu – nawet nacjonalizmu antyrosyjskiego – w celu stworzenia u zachodnich sojuszników przekonania, że Polska jest niewiarygodna i histeryczna" – piszą autorzy CEPA.

Wabikiem na prawicę – nie tylko polską – są wykorzystywane przez Kreml strategicznie „konserwatywne wartości" i religia. Według raportu think tanku Political Capital rosyjska propaganda świadomie dąży do monopolizacji „tradycyjnych" wartości społecznych i chrześcijańskich oraz manipulacji nimi. Jednym z najskuteczniejszych kanałów rozprzestrzeniania tego rodzaju przekazów są międzynarodowe organizacje, takie jak współfinansowany przez rosyjskich oligarchów Światowy Kongres Rodzin. Po przyjęciu w Rosji w 2013 r. tzw. Prawa Ochrony Dzieci – które w rzeczywistości było wymierzonym w mniejszości seksualne prawnym narzędziem dyskryminacji zabraniającym wyimaginowanej „gejowskiej propagandy" – pod listem poparcia podpisał się szereg organizacji z Europy Środkowej, w tym z Polski. Były wśród nich Fundacja Centrum Wspierania Inicjatyw dla Życia i Rodziny, Fundacja Życie, Instytut Ks. Piotra Skargi, Instytut Edukacji Społecznej i Religijnej im. ks. Piotra Skargi, Katolickie Stowarzyszenie Dziennikarzy czy Polska Federacja Ruchów Obrony Życia. Wiele z tych organizacji ma bliskie związki właśnie ze Światowym Kongresem Rodzin.

Sposób na odporność

– *Modus operandi* rosyjskich służb, jeśli idzie o klasyczne metody szpiegowskie, jest werbowanie młodych, perspektywicznych osób z kręgu znanych polityków, i dzieje się tak nie tylko w Polsce. Jednak tak naprawdę o tym, kto jest rosyjskim agentem, wiedzą tylko rosyjskie służby – mówi nam jeden z byłych szefów ABW. Jego zdaniem wzajemne oskarżenia polityków w tej sprawie mogą być objawem ich braku wyobraźni albo tego, że dali się wciągnąć... w rosyjską grę. – Bo właśnie w ten sposób najwygodniej Rosjanom chronić swoje interesy. ↦

↦ Tak czy inaczej, z perspektywy bezpieczeństwa państwato jak cios w splot słoneczny – tłumaczy.

Straty już dziś są jednak wymierne. – Nie chodzi wyłącznie o podważenie zaufania obywateli do elit, a niewątpliwie do tego dochodzi, gdy oskarżenia o zdradę państwa przechodzą praktycznie bez echa – mówi Jerzy Marek Nowakowski, prezes Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego, były ambasador na Łotwie i w Armenii. Jak wyjaśnia, od lat dokładnie z tego powodu ponosimy straty na arenie międzynarodowej. Jeszcze dekadę temu nasi sojusznicy dzielili się z nami informacjami i prosili o opinie. Później jednak doprowadziliśmy do destrukcji służb informacyjnych, nie tylko wywiadowczych, ale także dyplomatycznych, za sprawą pseudoreform, które podszyte były nie tylko sugestiami nielojalności wobec własnego państwa, ale i otwartymi oskarżeniami. W tej sytuacji nasi sojusznicy mają prawo uważać, że nie ma sensu dzielić się z nami poufnymi informacjami, bo te i tak prędzej czy później wyciekną.

Dr Piasecka: – Celem oskarżeń o agenturalność jest pogłębianie i zaognianie sporów, polaryzacja społeczna i podważanie zaufania do instytucji państwowych oraz ludzi sprawujących istotne z punktu widzenia państwa funkcje. I to, co ważne, nie tylko do tych, którzy swoje stanowiska piastują dzisiaj, lecz także tych, którzy będą robić to w przyszłości. Jest to zatem nie tylko doskonałe rozgrywanie sytuacji według zasady „dziel i rządź” dziś. To także kładzenie podwalin pod podobne działania jutro.

> Znaczna część propagandowej pracy Rosji jest wykonywana nie przez agentów wpływu, ale przez Polaków przeświadczonych, że dystrybuując toksyczne teksty czy memy, służą ważnej dla siebie sprawie.

Nie ma strategii, przed którą nie dałoby się obronić. Według CEPA w przypadku Europy jednym z państw, które najskuteczniej poradziły sobie z kontrowaniem rosyjskich wpływów ,jest to, które w zasadzie powinno być na nie wyjątkowo podatne – na Łotwie, mimo bliskości geograficznej, historycznej i kulturowej, stopień penetracji społeczeństwa przez rosyjskie wpływy jest bardzo ograniczony. Odpowiedź na pytanie „dlaczego” jest zdaniem analityków stosunkowo prosta, choć dla nas może to być w tym momencie niewielką pociechą.

Otóż kluczowym elementem poszerzania rosyjskich wpływów w danym państwie jest tworzenie sieci „patronatów”, czyli wspierających się ośrodków w biznesie, administracji czy polityce, które wzajemnie wzmacniają swoje wpływy (to te duginowskie „sieci”). Aby nie dopuścić do powstania takich układów, Łotwa postawiła na całkowitą transparentność i niezależność instytucji państwowych. Trudno budować skrycie sieć powiązań, gdy media i społeczeństwo cały czas patrzą władzy na ręce.

Rząd w Warszawie przyjął strategię odwrotną, ograniczając m.in. prawo do informacji publicznej. Zamiast przejrzystości mamy więc polityków, którzy oskarżają dziennikarzy zadających niewygodne pytania o... sianie rosyjskiej dezinformacji. Zadowolić mamy się takimi wpisami w mediach społecznościowych, jak ten premiera, który kilka dni temu, zarzucając Donaldowi Tuska „zbrodnię” polegającą na prowadzeniu „prorosyjskiej i proniemieckiej polityki”, apelował, by „nie podpalał Polski swoim hejtem” i nie antagonizował Polaków.

Wpis, który w każdym innym kraju wywołałby co najmniej głębokie osłupienie, u nas przeszedł w zasadzie bez większego echa.

© AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

SERWIS SPECJALNY
ATAK NA UKRAINĘ
Korespondenci wojenni, analitycy ds. wschodnich, doświadczeni dziennikarze i reporterzy o sytuacji na froncie i poza nim.
Relacjonują: Paweł Pieniążek, Wojciech Pięciak, Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk, Wojciech Jagielski, Grażyna Makara i Marcin Żyła.
Teksty, zdjęcia, wideo i podkasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. PAWEŁ PIENIĄŻEK

ĆWICZ UMYSŁ + CIESZ OKO!

DOWOLNE 3 WYDANIA

TYGODNIK POWSZECHNY
ciało się udało
UPRAWIA SPORT I JE, PRZEŻYWA ROZKOSZ I PRACUJE, MENSTRUUJE I RODZI, ŚNI Z MEDYTACJI, JEST OZDABIANE I UBIERANE, STARZEJE SIĘ, UMIERA I MARZY O NIEŚMIERTELNOŚCI...
ODKRYJCIE FENOMEN LUDZKIEJ CIELESNOŚCI

+

=

PAKIET CZTERECH ZA 77 ZŁ

„Wiślna 12” – zeszyt o historii „Tygodnika” GRATIS do zakupów.
Zamów pakiet złożony z wydania „Ciało się udało” i trzech wybranych przez siebie wydań specjalnych (w cenie za pakiet 77 złotych), a my dorzucimy „Wiślną 12” i opłacimy przesyłkę.
Czekamy na Twojego maila pod adresem:
zamowienia@tygodnikpowszechny.pl – my zajmiemy się resztą.

W promocji można zamówić następujące wydania specjalne: „Wiara dla dorosłych”, „Moc mózgu”, „Smak wolności”, „Halo tu Ziemia”, „W drogę”, „Wszystko, co wiemy”, „Kanon 1”, „Kanon 2”, „Rozmowy na temat”. Oferta ważna do wyczerpania nakładów.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ **REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.**

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Własny zwój

Co robi Mojżesz w ostatnim dniu swojej ziemskiej wędrówki? Przekazuje dowództwo i kończy pisać Torę, którą lewici pieczołowicie umieszczą w Arce Przymierza. „I tak napiszcie sobie pieśń tę, a naucz jej synów Israela, włożywszy ją w usta ich” (Pwt 31, 19; Cylkow) – rzecze Bóg pustynnemu przywódcy. Którą pieśń? Łabędzi śpiew Mojżesza z kolejnego rozdziału Księgi Powtórzonego Prawa wydaje się dobrym kandydatem (zob. 31, 30). Talmud jednak upatruje w tym wersie źródło przykazania, by każdy Żyd napisał własny zwój Tory.

O władcy Izraelitów jest powiedziane: „A gdy zasiędzie na tronie królestwa swojego, niechaj odpisze sobie odpis zakonu (hebr. *miszne Tora*) tego do księgi – od tego, który przed obliczem kapłanów, Lewitów” (17, 18). W swoim tłumaczeniu rabin Cylkow podąża za aramejskim przekładem, który mówi o „kopii Tory”, jednak miszne Tora dosłownie znaczy „wtóra Tora”, którą władca ma napisać. Zwykłemu Izraelicie wystarczy jeden zwój, król zaś winien posiadać na stanie dwa: jeden – złożony bezpiecznie w skarbcu, drugi – niewielkich rozmiarów – nosić ze sobą, by móc go nieustannie zgłębiać.

Nie każdy człowiek nadaje się na skrybę, ale zwój Tory można wszak zamówić u specjalisty. Przepisanie jednego egzemplarza to zwykle rok pracy. Nie dziwi więc, że ceny nowych zwojów zaczynają się – bagatelka! – od 20 tys. dolarów, czyli po obecnym kursie od 100 tys. złotych. Żydowskim wspólnotom zdarza się składać na kupno zwoju, czasem bogacz jest w stanie sam ufundować Torę dla synagogi. Można patrzeć na taki zwój przez pryzmat prawa dotyczącego przedmiotu niepodzielnego: jeśli stanowi on współwłasność grupy ludzi, w momencie użytkowania go przez kogokolwiek z grupy staje się on na ten czas wyłączną własnością tej osoby. Ten, kto w danej chwili publicznie czyta ze zwoju w synagodze, jest w tym momencie właścicielem tego zwoju.

Jako młodziutka osóbka miałam to szczęście, że pewien anielsko cierpliwy jerozolimski skryba, po udzieleniu mi odpowiedniego instruktażu i po napisaniu przeze mnie własnoręcznie gęsim piórem na ćwiczebnym pergaminie całego rządka jednej hebrajskiej litery, pozwolił mi tę jedną literę w pisanym przezeń zwoju wykaligrafować. Wydaje mi się to zdumiewające, gdyż osoby z otoczenia owego skryby mogły uznać ten zwój za niekoszerny, czyli nienadający się do publicznego odczytywania zeń w synagodze.

W środowiskach ortodoksyjnych nadal kwestionuje się zwoje przepisane przez kobiety. Pionierki hebrajskiej sztuki skrybalnej, przede wszystkim reprezentantki ruchów liberalnych, pojawiły się dopiero w XXI wieku. Kształcą uczennice, więc jest nadzieja, że kiedyś więcej z nas będzie mogło własnoręcznie wywiązać się z przykazania napisania własnej Tory.©

O. WACŁAW

Oszajca:
Pobożna bezbożność

„Pan jest Sędzią, który nie ma względu na osoby. Nie będzie miał On względu na osobę przeciw biednemu, owszem, wysłucha prośby pokrzywdzonego. Nie lekceważy błagania sieroty i wdowy, kiedy się skarży. Kto służy Bogu, z upodobaniem będzie przyjęty, a błaganie jego dosięgnie obłoków. Modlitwa biednego przeniknie obłoki i nie ustanie, aż dojdzie do celu. Nie odstąpi, aż wejrzy Najwyższy i ujmie się za sprawiedliwymi, i wyda słuszny wyrok” – czytamy w Księdze Mądrości Syracha. Piękne słowa, ale przeczy im codzienne doświadczenie. W ciągu sześciu lat drugiej wojny światowej zginęło ponad sześćdziesiąt milionów ludzi. Rachunek strat w Ukrainie i w skali świata – papież Franciszek mówi o trzeciej wojnie światowej – wciąż jest otwarty i łudzi się ten, kto mniema, że tym razem będzie to już „bój ostatni”. A przecież ściany zarówno kościołów, synagog, meczetów, pagód i pozostałych świątyń rozsadzały, i nadal rozsadzają, choć z mniejszą siłą, błagania „sprawiedliwych” o ratunek. Na próżno, mogił wciąż przybywa, a również ci, którzy ocalenie zawdzięczają Bożej opiece, to swoje szczęście przełykają z goryczą. Zważywszy na cenę, jaką inni zapłacili za nasze istnienie, trzeba zapytać, czy odprawiając dziękczynne nabożeństwa i wychwalając skuteczność modlitw i obrzędów, nie wbijamy się przypadkiem w pychę i nie wystawiamy Bogu kiepskiej opinii. Wygląda bowiem na to, że Bóg i bogowie interesują się przede wszystkim sobą, a dbają tylko o tych, którzy umieją zaskarbić sobie ich życzliwość. Czasami życzliwość szczególną, gdyż dotyczącą ich być lub nie być. A jeśli być, to w „ziemi mlekiem i miodem opływającej”. Będąc ocalonym, łatwo dojść do przekonania, iż nie jest się „jak inni ludzie” i popaść w nabożną pychę. O tym właśnie jest przypowieść o faryzeuszu i celniku modlącym się w świątyni.

Skoro Bóg dopuszcza zło i w gruncie rzeczy jest bezradny wobec ludzkich poczynań, a pod gruzami zburzonych domów i świątyń giną zarówno dobroczyńcy, jak i złoczyńcy, to po co nam jeszcze Bóg? Nie gorszmy się jednak, bo być może to bezbożne pytanie jest kluczem do zrozumienia dzisiejszego człowieka, rozczarowanego swoją i cudzą nikczemnością oraz milczeniem Boga, a także zrażonego nieskutecznością modlitw. Znowu stajemy przed pytaniem: „Gdzie mieszkasz”, Panie dzisiaj? O Boga więc chodzi, o Jego obecność „we współczesnym świecie”, a nie tylko w Biblii, w sakramentach, w tabernakulum. Jak więc pogodzić dzisiejszy świat potworny i piękny z Bogiem? I jak samemu godzić się na życie w takim świecie?

Rodzimy się i umieramy, bywamy szczęśliwi i nieszczęśliwi, jak sprawić, żeby obroty sfer ludzkiego życia odsłaniały obroty sfer życia Bożego, niewidzialnego w widzialnym? ©

Boga można ujrzeć
tylko w duchu
i bez żadnych obrazów.

MISTRZ ECKHART

U tych, których umysły
trzymają się pojęć,
nawet nirwana
pozostaje chwiejna.

ŚANTIDEWA

Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Ukryta nieczystość

„Biada wam, faryzeuszom, bo lubicie pierwsze miejsca w synagogach i pozdrowienia na rynku. Biada wam, bo jesteście jak groby niewidoczne, po których ludzie bezwiednie przechodzą” – słowa Łukaszowej Ewangelii, które usłyszeliśmy w połowie minionego tygodnia w liturgii (zob. Łk 11, 43-44).

Groby powinny być widoczne – niewidoczny grób to poważny problem. Przechodząc po nim, człowiek „bezwiednie” zaciąga – i to na tydzień – rytualną nieczystość. Czytamy o tym w Księdze Liczb: „przez siedem dni będzie nieczysty, kto w otwartym polu dotknie zabitego mieczem, zmarłego, kości ludzkich albo grobu” (Lb 19, 16).

Jezus mówi: ukrywacie w sobie przed oczami ludzkimi plugawą „śmierć”. I oczywiście ma rację. Ostatnia rzecz, do jakiej mielibyśmy ochotę się otwarcie w Kościele przyznać, to szukanie i eksponowanie samych siebie. Kto z nas się przyzna, że tym, co kocha, i to bezwarunkowo (tyle bowiem znaczy użyte tu greckie *agapao* – tłumaczenie „lubicie” jest pewnie za słabe), nie jest prawda, lecz „pierwsza katedra” (grec. *protokathedria*), na której mogę zasiąść. Krzesło i kariera, a nie radość poznawania prawdy. O nie! To są „motywacje”, które zawsze głęboko i skutecznie ukrywamy. Biada jednak tym, którzy wtedy mają z nami kontakt i padają ofiarą takiego oszustwa. Szukali kogoś, z kim będą mogli dzielić wspólną pasję i drogę ku prawdzie, a zderzyli się z kimś, kto kradnie dla siebie dary Boga, jest sam niewolnikiem idolatrii i rozsiewa ją dokoła.

Idolatria / bałwochwalstwo zawsze zabija (w różnych wymiarach) i pociąga za sobą „nieczystość”. Ta nieczystość – w rozumieniu Biblii – ma najpierw charakter „rytualny”, to znaczy wyklucza mnie z uczestnictwa w kulcie. Kiedy jestem „nieczysty”, nie mogę z innymi wejść do świątyni, uczestniczyć w liturgii, wspólnie uwielbiać Boga.

I słusznie! Jak mógłbym uwielbiać Boga, skoro w centrum mojego życia i bycia w Kościele stawiam samego siebie?!

Skoro chodzi o mnie samego – o moje imię, o moje „racje”, o moją gratyfikację i zysk, o moją chwałę – uwielbienie Pana może być jedynie kłamliwą deklaracją i akcją.

Czy taki Kościół – który nie może oddawać czci Bogu – jest jeszcze do czegokolwiek potrzebny?! Doprawdy, trudno się dziwić Jezusowi, że uderza w tak zdecydowany ton. ©

Przed tygodniem, w 42. numerze „TP” omyłkowo wydrukowaliśmy tekst abp. Grzegorza Rysia opublikowany w 40. numerze, za co Autora i Czytelników przepraszamy. Właściwy tekst pt. **„Co jest konieczne”** jest dostępny na **powszech.net/czytania**.

CZYTANIA LITURGICZNE (23 –30 X)

30. niedziela zwykła: Syr 35, 12-14. 16-18; Ps 34; 2 Tm 4, 6-9. 16-18; Łk 18, 9-14;
Poniedziałek: Ef 4, 32 – 5, 8; Ps 1; Łk 13, 10-17;
Wtorek: Ef 5, 21-33; Ps 128; Łk 13, 18-21;
Środa: Ef 6, 1-9; Ps 145; Łk 13, 22-30;
Czwartek: Ef 6, 10-20; Ps 144; Łk 13, 31-35;
Piątek: Ef 2, 19-22; Ps 19; Łk 6, 12-19;
Sobota: Flp 1, 18b-26; Ps 42; Łk 14, 1. 7-11;
31. niedziela zwykła: Mdr 11, 22 – 12, 2; Ps 145; 2 Tes 1, 11 – 2, 2; Łk 19, 1-10.

GRY MIEJSKIE

Utrzymanie wpływu w miastach jest pokusą dla każdej ekipy rządowej. Ale obecna jest pierwszą, która świadomie generuje kryzysy i napięcia. Aktualna kadencja samorządu będzie najtrudniejszą w jego historii.

RAFAŁ MATYJA

Najważniejsze wyzwania dla miast wiążą się teraz ze zmianą klimatyczną, kwestiami mieszkaniowymi i walką o uratowanie krajobrazu przed wandalizmem odbywającym się w majestacie prawa. Ale na tym nie koniec.

Jest jeszcze czwarte wyzwanie: kształt polityk publicznych powinno się wypracowywać tam, gdzie najlepiej widać zagrożenia społeczne, do jakich prowadzi obecny model kapitalizmu, czyli w dużych i średnich miastach.

Jedno marzenie

Tak się jednak nie dzieje. Żyjemy wypowiedziami ministra Przemysława Czarnka, oskarżeniami Jarosława Kaczyńskiego, czarnymi scenariuszami budowanymi na podstawie spodziewanych cen energii. W efekcie w wyborach samorządowych możemy się spodziewać, że wszystko zostanie sprowadzone do prostej alternatywy: za czy przeciw partii rządzącej. I nawet słaby burmistrz lub prezydent może zdobyć pod tym hasłem władzę w następnej kadencji. Nie zaczynamy dużych dyskusji o głębokich zmianach, bo nachalny kontekst polityczny czyni z nas niewolników *status quo*.

Tymczasem coraz bardziej potrzebujemy samorządu, który integruje poziomy aktywności różnych elit: od biznesowych i politycznych, przez urzędnicze, akademickie i kulturalne, aż po całkiem nowe – aktywistyczne i budujące swoją pozycję w mediach społecznościowych. Na razie każdy gra oddzielnie, miasta dryfują tam, gdzie globalizacyjny prąd je znosi, a władze lokalne zajmują się tym, jak nie dać się ograć rządowi.

Co więcej, narastają zjawiska, które dziesięć lat temu grupa ekspertów zebranych przez profesora Jerzego Hausnera opisała jako „samorządowe dysfunkcje". Wyróżniono ich osiem i żadna do dziś nie została naprawiona. Od tej najbardziej oczywistej, jaką jest osłabianie demokracji samorządowej i wzmocnienie jednoosobowej władzy wykonawczej prezydentów, burmistrzów i wójtów, przez ciągłą dominację urzędników w kształtowaniu polityki samorządu, aż po ograniczanie przez większość parlamentarną samodzielności finansowej gmin, które bardzo się nasiliło w ostatnim okresie. Rozmawia się jednak o tym niechętnie – bo chodzi o intymne życie samorządu: np. powstawanie mechanizmów klientelistycznych, niejasnych procedur przetargowych i blokowanie w ten sposób energii społecznej albo spraw, których rozwiązanie narusza wielkie interesy – jak zasady kształtowania ładu przestrzennego miast, znajdujące się pod stałym naciskiem m.in. środowiska deweloperów.

Raport sprzed dekady zachował aktualność, bo nikt nie przerobił go na plan działania, mimo kilku ciekawych dyskusji, jakie wywołał. Sprawę samorządu kolejne ekipy uznały za „jakoś tam załatwioną".

Co ciekawe – w ten mechanizm sprawnie wpisało się też PiS. Zamiast własnej wizji polityki samorządowej miało centralistyczne zakusy i klientelistyczny sposób budowania poparcia. Opisane przez Pawła Swianiewicza i Jarosława Flisa wzory dystrybucji centralnych środków między jednostki samorządu terytorialnego pokazały, że nie była to wypadkowa jakichś personalnych powiązań, które budowano od początku III RP, ale metodyczna praca aparatu partyjno-państwowego PiS. Za tą strategią stoi wyrażone niedawno w Oleśnicy przesłanie prezesa Kaczyńskiego: „Pamiętajcie, że wybory są organizowane w Polsce przez samorządy, a kto ma najwięcej samorządów? Ta druga strona niestety, szczególnie w dużych miastach". Gdyby nie ona, jego partii poszłoby o wiele łatwiej realizowanie idei Budapesztu nad Wisłą.

Tyle tylko, że działania PiS nie są żadną wizją ustrojową, lecz sprowadzeniem całego świata do wymiaru jednej wojny i jednego marzenia. Do wojny z opozycją i marzenia o absolutnym posłuszeństwie wszystkich struktur państwowych. Skutkuje to nieustannymi kłopotami samorządów z rządem, który obrał sobie za cel pacyfikację wszystkich niechętnych mu nastrojów. Dziś dostał narzędzie wręcz wymarzone, czyli możliwość prowadzenia gry z miastami za pomocą cen prądu, szczególnie ważnych w obliczu lęku Polaków przed kłopotami z ogrzewaniem zimą. Tę samą grę władza centralna prowadzi z zagrożonymi przejściem w tryb zdalny uczelniami publicznymi, i tak samo może postąpić ze szpitalami będącymi poza jego gestią – żadna z tych instytucji nie poradzi sobie bez pomocy rządu.

Utrzymanie wpływu w miastach jest pokusą dla każdej ekipy. Ale obecna jest pierwszą, która świadomie generuje kryzysy i napięcia. To z jej powodu aktualna kadencja samorządu będzie nie tylko najdłuższą, ale zapewne także najtrudniejszą w jego historii.

Diagnoza Andrysiaka

Najgorsze, co moglibyśmy zrobić dzisiaj, to uznać, że bardzo trudna sytuacja, w jakiej znajduje się samorząd, a zwłaszcza ↦

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

↦ jego walka z rządem o przetrwanie – zawieszają wszelkie dyskusje o jego kondycji. W tej sprawie warto wykorzystać każdą okazję. Choćby tę, jaką jest ukazanie się niezwykle krytycznej książki Andrzeja Andrysiaka „Lokalsi", będącej reportażem o funkcjonowaniu samorządu w Radomsku. Mówiąc precyzyjniej – jest to raczej opowieść o mieście, w którym samorząd jawi się przede wszystkim jako atrakcyjny pracodawca. Nie dowiemy się z niej niczego o zarządzaniu szkołami, planowaniu przestrzennym czy problemach transportu publicznego. Dostaniemy za to wiedzę o tym, jak załatwić pracę i jak kampania wyborcza oraz wynikający z niej sposób funkcjonowania rady miasta określają ramy rekrutacji w sektorze publicznym. Czyli tła, a może dla niektórych wręcz sedna lokalnej polityki.

Atrakcyjność pracy, o której decyduje samorząd, łatwo zmierzyć porównując średnie zarobki w sektorze publicznym i prywatnym. Im większa różnica na korzyść tego pierwszego, tym większy popyt na pracę w urzędzie, szkole czy miejskiej spółce. Stanowisk jest oczywiście mniej niż w wielkim mieście, ale stopień powiązań i zależności personalnych – rodzinnych, koleżeńskich, związanych z dawnymi i niedawnymi przysługami albo wręcz przeciwnie, ze sporami – jest znacznie większy niż w Warszawie czy Krakowie.

Ale ten typ relacji i zależności jest przecież znany także tym, którzy nie ruszają się ze wspomnianych dwóch największych miast Polski, a znają jakąś uczelnię, szpital, publiczne media i tym podobne instytucje. Byłoby bowiem kłamstwem powiedzieć, że w wielkich miastach o obsadzie stanowisk decydują kompetencje, a na prowincji – znajomości. Andrysiak napisał książkę o Polsce, a to, że umieścił ją w Radomsku, nie powinno nikomu dawać poczucia komfortu. Nawet jeżeli z różnych powodów w jego mieście jest trochę lepiej.

Rdzeniem mechanizmu władzy są – według Andrysiaka – relacje i zależności personalne, kadrowe zepsucie polegające na układach blokujących dostęp ludziom bez ugruntowanych znajomości, redukujących politykę do troski o etat lub dostęp do atrakcyjnego kontraktu z gminą. Sprawę komunikacji z obywatelami spycha się w tej sytuacji na dalszy plan i zostawia podporządkowanym całkowicie

> Dziś opinia publiczna na poziomie miejskim nie istnieje. Nie można się na niej oprzeć z równą pewnością, co na układach personalnych. **Podobnie stało się z partiami politycznymi.**

władzom gminy mediom finansowanym przez samorząd, relacjonującym oficjalne spotkania, entuzjastycznie oklaskującym sukcesy prezydenta lub burmistrza, czasami dającym głos któremuś z radnych. I ślepym na układy nieformalne oraz brak czytelnych zasad obsadzania stanowisk.

Te zjawiska lepiej widać w wymiarze krajowym, choćby w postaci „list wstydu", których publikacja nie zaczęła się przecież dopiero po dojściu do władzy PiS. Widzimy je w układach klientelistycznych na poziomie województw, czytamy o tym – choć rzadziej – w odniesieniu do służb mundurowych. W tym sensie nie da się więc książki Andrysiaka uznać za przekonujący atak na samorząd jako taki. Ważne jest jednak przełamanie milczenia i rozpoczęcie dyskusji o mechanizmach rządzenia na poziomie miasta czy gminy.

Reguły bez ducha

Poważnym problemem miast rozmiarów nie tylko Radomska, ale także tych kilka razy mniejszych i kilka razy większych, jest to, że istniejące mechanizmy wypychają młodych ludzi do dużych aglomeracji. A przecież mogliby po studiach wrócić w rodzinne strony lub przyjechać z innego regionu, o ile ktoś miałby dla nich atrakcyjną ofertę pracy. Niestety, dzisiejszy *exodus* ludzi wykształconych sprawia, że jakość lokalnych elit spada, trudno zbudować alternatywną ekipę, trudno kontrolować działania lokalnych polityków.

To kłopot, tym bardziej dotkliwy, że Warszawa coraz silniej dominuje nad życiem intelektualno-politycznym kraju. Do tego stopnia, że nawet w największych miastach nie toczy się dziś dyskusja o ich strategiach rozwoju, pomysłach na przyszłość. Zostawia się ją ekspertom, organizując co najwyżej magistrackie konsultacje przy ograniczonym zainteresowaniu wkręconych w wojnę polsko-polską mediów, bez budzenia większych kontrowersji, bez rywalizacji konkurencyjnych pomysłów.

Jest jeszcze drugi element – bardzo trudno budować zaufanie i otwartość dyskusji w warunkach, w których kluczowa jest obawa o utratę stanowiska czy wpływów w urzędzie. Co więcej, nie da się – jakkolwiek smutna byłaby to konstatacja – budować politycznej skuteczności na kontestowaniu zastanych i ugruntowanych reguł gry. Zwłaszcza że ich część znana jest nie tylko z PRL, ale nawet z czasów przedwojennych lub wręcz dawniejszych.

Sprawa samorządu uwikłana jest w pewien model funkcjonowania społeczeństwa i władzy. Model, którego negatywny wpływ można ograniczać jedynie poprzez efektywną formę kontroli społecznej: niezależne lokalne media, wysoki poziom prac radnych, a także działalność aktywistów miejskich. Ale by takie działania miały swój ciężar gatunkowy, powinny być elementem ruchu na rzecz odnowy samorządu. Mającego pewne postulaty ustrojowe, również te wiążące się z trwałymi gwarancjami niezależności od rządu, ale też postulaty kulturowe, mówiące o przywróceniu instytucjom „ducha samorządności". Tego świeżego oddechu, który złapały na przełomie lat 80. i 90. XX wieku dzięki komitetom obywatelskim. I który nawet dziś niesie ze sobą część samorządowej elity, ludzi, którym nie wystarczy perspektywa własnej gminy czy powiatu.

Bez tego nie da się naruszyć kulturowego i społecznego fundamentu patologii opisanych przez Andrysiaka, ale też nie da się przezwyciężyć opisywanych przez zespół Jerzego Hausnera – z całkiem innej perspektywy – dysfunkcji instytucjonalnych.

Lokalne sojusze

Samorząd nie naprawi się sam. Nie naprawi się nawet w wyniku pojawienia się grupy nowych kandydatów na burmistrzów i prezydentów, nowych list w wyborach do rady. To się oczywiście przyda, ale warunkiem skuteczności jest powstanie sojuszy obywateli patrzących lokalnym politykom na ręce i budzących ich respekt.

Te sojusze mogłyby powstać wokół aktywistów klimatycznych, entuzjastów transportu zbiorowego, rzeczników nowej polityki mieszkaniowej miast,

obrońców dobrego miejskiego krajobrazu. Obok nich powinni się w tych sieciach pojawić również przedstawiciele wolnych zawodów, z natury mający nieco więcej czasu na sprawy publiczne, liderzy organizacji pozarządowych czy związków zawodowych, a także ludzie rozumiejący, że ofiarami globalnego kapitalizmu mogą stać się także nieźle stojący na nogach przedsiębiorcy, drobni usługodawcy, właściciele kawiarni, restauracji czy sklepu. W obecnych czasach wiemy, że nie istnieje żadna niewidzialna ręka rynku, która uchroni lepszą piekarnię i lepszego fryzjera przed gorszą jakościowo, ale silną finansowo sieciówką.

W lokalnych sojuszach musi chodzić z jednej strony o interesy, a z drugiej o równowagę dla obecnych sposobów pozyskiwania poparcia, a tym samym zdobywania i utrzymywania władzy. Dziś opinia publiczna na poziomie miejskim niemal nie istnieje. Nie można się na niej oprzeć z równą pewnością, co na układach personalnych. Podobnie stało się z partiami politycznymi. Gdyby liczyły w skali kraju po kilkaset tysięcy osób, to nie dałoby się im zmontować tak skutecznego mechanizmu klientelistycznego jak obecnie, bo zbyt wiele osób patrzyłoby liderom na ręce. Dopóki partie są małe – będą sterowane przez patronów oferujących etaty dla rodziny i znajomych swoich klientów.

Stopień domknięcia lokalnych układów łatwo można sprawdzić. Jeżeli na ich czele stoją ludzie, których jedynym kapitałem są kontakty i odpowiednia legitymacja, można być pewnym, że nie tylko się tymi kontaktami nie podzielą, ale zablokują drogę innym. Co więcej – narzucą reguły rywalizacji konkurentom, psując lokalną politykę na lata. Tak stało się już w kilku dużych miastach, w których wielokadencyjni prezydenci blokując jakąkolwiek alternatywę, doprowadzili do uwiądu sensownej dyskusji, otoczyli się pochlebcami, okopali w układach i schematach, i utrudnili tym samym możliwość mądrej sukcesji po sobie. Widać to było nawet w dobrze rządzonym Rzeszowie, gdzie ustępujący prezydent Tadeusz Ferenc sięgnął po ekscentrycznego kandydata, nie widząc w mieście godnego następcy. Skończyło się szczęśliwie. Ale nie wszędzie tak się stanie.

Drobne akty kontroli

Samorządom należy się rewitalizacja – wzmacniająca ich niezależność, ale też poszerzająca zakres uczestnictwa w polityce lokalnej i osłabiająca czynnik poparcia w zamian za etaty. Ten czynnik będzie z nami zawsze, jest elementem demokratycznej polityki, tak jak są nią koalicje czy obietnice wyborcze. Ale nie powinien być jedyną grą, w którą gra miasto. Pierwszy warunek to przestać o problemie milczeć, jakkolwiek będzie to dla wszystkich niewygodne. Dlatego taką rozmowę o samorządzie warto zacząć nie w toku kampanii, ale z wyraźnym wyprzedzeniem.

Przesunięcie terminu wyborów lokalnych może oznaczać, że nie zostaną sprowadzone do funkcji dodatku do parlamentarnych. Może też sprawić, że nie da się ich sprowadzić do partyjnej dogrywki. To, jak będą wyglądały i jaka będzie następna kadencja rad, zależy w jakimś stopniu od zdolności zbudowania lokalnych sojuszy gotowych do postawienia pytań wychodzących poza stanowisko w sporze partyjnym. I gotowych do stawiania ich także w trakcie kadencji. Książka Andrysiaka wskazuje na bardzo istotny defekt polskiego życia publicznego w ogóle, a samorządów w szczególności. Defekt, którego usunięcie nie jest łatwe – ani na drodze ustrojowej, ani wyborczej. Ale pokazała też znaczenie nawet drobnych aktów kontroli: artykułów prasowych, pytań na posiedzeniu rady, grzebania w archiwach, które doprowadziły do odwołania starosty radomszczańskiego.

Bardzo ważne jest, by nie sprowadzić tej aktywności do bezkompromisowej krytyki władz, ale stworzyć też przestrzeń dla merytorycznych kryteriów ich oceny. Rewitalizacja samorządu to wzmocnienie nie tyle kontroli, ile raczej zainteresowania sprawami polityki miejskiej. Zrozumienia dla ich ograniczeń – po to, by nie torować drogi populistom, ale by realizować szanse, jakie stają przed miastem, wymuszać pozytywne i transparentne porozumienia różnych miejskich elit. Dziś to marzenie wykraczające poza społeczne realia. Ale jest to paradoksalnie jedyna możliwa droga, by obronić samorząd – tak przed zarzutami centralistów, jak i przed degeneracją oraz popadaniem we władanie lokalnych klik. © RAFAŁ MATYJA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

- **TRÓJMIASTO**, środa 19 października, spotkanie z dr. hab. Anną Kłonkowską i dr. hab. prof. Tomaszem Tomasikiem, „O męskości we współczesnym świecie – kryzys czy zmiana?”/ stacjonarne /
- **LUBLIN**, piątek 21 października, spotkanie autorskie wokół książki Jolanty Kurskiej „Wieczny powrót Dreyfusa”/ stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE,** poniedziałek 24 października, spotkanie wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa”, cykl „Wspólne czytanie” / online /
- **ZIELONA GÓRA**, wtorek 25 października, spotkanie z Natalią Bryżko-Zapór, „Ja tu zostaję. Fenomen Wołodymyra Zełenskiego”/ stacjonarne /
- **KĘDZIERZYN-KOŹLE**, środa 26 października, spotkanie z Dawidem Iwańcem, „Ogień wyszedł z lasu— 30 lat po wielkim pożarze” / stacjonarne /
- **GLIWICE**, czwartek 27 października, spotkanie z prof. Radosławem Markowskim, „Antropocen — wyzwania dla nauk społecznych oraz problem dla modernizacji” / stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Samorządy gaszą światło

PIOTR WÓJCIK

Gdyby stawki taryf za prąd, zaoferowane samorządom i wyższym uczelniom, faktycznie weszły w życie, finanse polskich gmin i powiatów znalazłyby się w stanie katastrofy. Na szczęście rząd poszedł po rozum do głowy.

Wprowadzenie maksymalnej ceny za prąd dla szeregu podmiotów użyteczności publicznej i sprawiedliwsze rozłożenie kosztów dystrybucji węgla pomogą gminom uchronić się przed zapaścią. Nie oznacza to jednak, że lokalne władze mogą odetchnąć. Wręcz przeciwnie.

Gdyby nie Polski Ład

Ministerstwo Finansów przekonuje, że sytuacja samorządów jest doskonała. Faktycznie, zbiorczo ich bilanse do czerwca wyglądały zadowalająco. Według danych MF, w pierwszej połowie tego roku wszystkie jednostki samorządu terytorialnego osiągnęły nadwyżkę budżetową w wysokości 14 mld zł. Problem w tym, że w pierwszej połowie roku nie jest to niczym szczególnym. Rok temu w tym samym okresie i przy znacznie niższej inflacji miały one ekstra 22 mld zł – 8 mld więcej niż obecnie.

W tym roku gminy i powiaty odczuły jednak skutki Polskiego Ładu, w wyniku którego spadły wpływy z podatku dochodowego od osób fizycznych (PIT). Miasta wojewódzkie straciły po kilkaset milionów złotych (np. Białystok 520 mln), a stolica ponad półtora miliarda. Te ubytki zaczną boleć znacznie bardziej pod koniec obecnego i na początku przyszłego roku, gdy kryzys energetyczny na dobre się rozkręci. Niemniej już teraz sytuacja skłoniła 2 tys. samorządowców z całej Polski do wyjścia na stołeczne ulice. Bezpośrednim powodem były próby obarczenia ich zadaniem dystrybucji węgla oraz zatrważające oferty na dostawy energii w przyszłym roku. W Poznaniu jedyna, jaka wpłynęła do magistratu, zawierała cenę na poziomie 2700 zł/MWh, czyli pięciokrotnie wyższą niż obecnie. Oznaczałoby to łączny rachunek za prąd dla miasta rzędu 409 mln zł. Na Polskim Ładzie i wpływach z PIT Poznań straci ok. pół miliarda, więc gdyby nie reforma podatkowa PiS, miasto dałoby radę udźwignąć nawet taką podwyżkę. W obecnej sytuacji przetarg zostanie jednak unieważniony. Podobna sytuacja miała miejsce m.in. w Bydgoszczy, gdzie również wpłynęła wyłącznie jedna propozycja na kwotę tak wysoką, że trzeba było konkurs unieważnić. Z kolei w Lublinie już doszło do zmiany stawki za prąd dla miasta.

– Ceny na dostawę energii elektrycznej obowiązujące od 1 lipca tego roku oznaczają wzrost o ponad 250 proc. – mówi Artur Szymczyk, wiceprezydent Lublina. – W okresie dwuletnim, stawki na zakup energii elektrycznej, np. dla zasilenia latarni, są wyższe od poprzednich o około 345 proc.

Na te skandaliczne oferty zareagował Związek Miast Polskich (ZMP). „Dyktowany miastom, zwykle przez jednego tylko oferenta, skok cenowy, sięgający 800-900 proc., dobitnie pokazuje, że mafia państwowych spółek energetycznych podzieliła rynek w sposób, który urąga zasadom uczciwego udziału w zamówieniach publicznych" – napisano w oświadczeniu ZMP. Samorządowcy zwrócili uwagę również na bierność UOKiK oraz Urzędu Regulacji Energetyki.

Ciśnienie dodatkowo podniósł im jeszcze minister edukacji Przemysław Czarnek, który mimochodem oskarżył gminy o świadome działanie na szkodę własnych mieszkańców. „Jeżeli samorządy będą CELOWO obniżać temperaturę w szkołach, by przejść na tryb zdalny, a są takie sygnały z samorządów prowadzonych przez PO, to będziemy występować o zarząd komisaryczny" – napisał Czarnek na Twitterze.

Kroplą, która przelała czarę goryczy, był najnowszy pomysł PiS: władza lokalna miałaby zaangażować się w dystrybucję węgla w całym kraju, choć samorządy nie mają odpowiedniej infrastruktury ani zasobów ludzkich, by się podjąć takiego przedsięwzięcia. Poza tym sprzedaż węgla nie leży w zadaniach własnych gmin, więc angażowanie się w taką operację mogłoby być właściwie niezgodne z prawem. Według stanowiska zarządu Śląskiego Związku Gmin i Powiatów rząd podejmowanymi przez siebie działaniami „dąży do przeniesienia odpowiedzialności za skutki kryzysu energetycznego na jednostki samorządu terytorialnego".

Energia z limitem

Gdy napięcie na linii rząd-samorządy sięgnęło zenitu, nastąpiła nieoczekiwana odwilż. Na specjalnym spotkaniu Komisji Wspólnej Rządu i Samorządów obie strony zgodziły się wstępnie na projekty ustaw dotyczące ograniczenia ceny energii oraz dystrybucji węgla. Kluczowe w tych rozwiązaniach będzie ograniczenie ceny prądu dla podmiotów użyteczności publicznej do kwoty 785 zł za MWh. Koszty wezmą na siebie spółki energetyczne, które notowały w ostatnim czasie rekordowe marże oraz znakomite wyniki finansowe. Cena maksymalna obejmie także przedsiębiorstwa za-

ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

trudniające mniej niż 250 pracowników, a więc wiele lokalnych piekarni i restauracji, które w ostatnim czasie przeżywały ciężkie chwile. Nowym mechanizmem zostaną także objęte uczelnie wyższe. Według rządu, ustalenie limitu na nowym poziomie ograniczy podwyżki energii dla objętych nim podmiotów o 70 proc.

Nie wszyscy samorządowcy są zadowoleni. „W tej chwili w Ciechanowie dostawa prądu do oświetlenia ulicznego to 269 zł za 1 MWh. Przy przyjęciu propozycji na poziomie prawie 800 zł za 1 MWh można łatwo policzyć, że ta podwyżka będzie nadal 300-procentowa w stosunki do stawek, które obowiązują obecnie" – stwierdził prezydent Ciechanowa Krzysztof Kosiński (cytat za PAP). Według Kosińskiego limit powinien być wyraźnie niższy, w okolicach 500-600 złotych. W innych miastach plany podwyżek są na szczęście mniej radykalne.

– Maksymalna cena prądu zaproponowana przez rząd oznacza dla nas podwyżkę o ponad 30 proc. w stosunku do aktualnie obowiązującej ceny. Zmiany podatkowe wprowadzone m.in. przez Polski Ład oznaczają dla Katowic tylko w tym roku utratę dochodów na poziomie ok. 200 mln zł. To wszystko sprawia, że nie zadajemy sobie pytania, czy oszczędzać. Szukamy oszczędności wszędzie, gdzie się da – mówi rzeczniczka prezydenta Katowic, Sandra Hajduk.

Rządowy limit ceny energii na poziomie niecałych 800 zł/MWh nie uchroni przed wzrostem kosztów także Krakowa i Sopotu. Włodarze Sopotu będą musieli mierzyć się z podwyżką rzędu 70 proc. Z kolei według wstępnych szacunków radnych z krakowskiej komisji budżetowej, w przyszłym roku koszty prądu i gazu w miejskich jednostkach wzrosną o 250 mln zł. Jeśli jednak rządowe limity obejmą także komunikację zbiorową (na razie nie ma w tej sprawie decyzji), pozwoli to miastu zaoszczędzić jeszcze 80 mln zł. Właśnie takie rozwiązanie postulowali samorządowcy podczas zebrania Komisji Wspólnej – według ZMP limity powinny objąć transport, ale też baseny miejskie i sale gimnastyczne.

Kluczowa będzie także kwestia podatku VAT. W tym roku obowiązuje tarcza antyinflacyjna, która obniża VAT od prądu do zera procent. Jeśli tarcza w przyszłym roku przestanie obowiązywać, to realnie limit ceny energii będzie istotnie wyższy. Zresztą likwidacja tarczy istotnie wpłynie na wszystkie ceny, także te w sklepach. Samorządowcy podczas zebrania Komisji Wspólnej wnioskowali więc o przedłużenie obowiązywania zerowej stawki na prąd na cały przyszły rok.

Wstępnie udało się zażegnać jedną ważną i drażliwą kwestię: spór o dystrybucję węgla. Zadanie to będzie fakultatywne, a nie obowiązkowe, i będzie miało charakter zadania zleconego, co oznacza, że rząd powinien przekazać samorządom środki na jego realizację. Przede wszystkim gminy będą mogły współpracować z istniejącymi już składami węgla, także prywatnymi, dzięki czemu nie będą musiały tworzyć własnej infrastruktury od podstaw, a lokalnym przedsiębiorcom z branży nie zagrozi upadłość. Prezydent Sopotu Jacek Karnowski zaapelował również o zdjęcie akcyzy i podatków z węgla, co jednak wymagałoby zgody UE – a w związku z polityką klimatyczną trudno sobie taką decyzję wyobrazić.

Gdzie szukać oszczędności

Kolejnym problemem dla niektórych jednostek samorządu może być ograniczenie preferencyjnych cen jedynie do 90 proc. zużycia prądu w ubiegłym roku – podmioty te będą więc musiały ograniczyć korzystanie z energii o jedną dziesiątą. Jeśli tego nie zrobią, od nadwyżki zapłacą stawki rynkowe, czyli być może nawet dwu- lub trzykrotnie wyższe. Samorządowcy postulują o wyłączenie z tego rozwiązania podmiotów szczególnie wrażliwych, takich jak szkoły czy szpitale. Cel zmniejszenia zużycia o 10 proc. sam w sobie jest bez wątpienia słuszny, ale w niektórych przypadkach jego osiągnięcie będzie trudne.

– Nie kwestionujemy potrzeby oszczędzania energii. Jest to z pewnością dobry kierunek zmian – zaznacza Adrian Ochalik, rzecznik prasowy Uniwersytetu Jagiellońskiego. – W niektórych przypadkach oszczędności na poziomie 10 proc. oceniamy jako realistyczne. W innych, np. w budynkach wydziałów, które prowadzą ciągłe badania laboratoryjne, to może nie być łatwe.

Oszczędzać próbują już właściwie wszyscy: szpitale, uczelnie, szkoły i całe miasta. Najczęściej polega to na rzadszym sprzątaniu i ograniczeniu czasu działania lamp ulicznych.

– Koszt oświetlenia w Katowicach to rocznie ok. 14 mln zł. W tej chwili pracujemy nad konkretnymi rozwiązaniami – zapewnia Sandra Hajduk. – Analizowane jest m.in. późniejsze włączanie i wcześniejsze wyłączanie oświetlenia ulicznego ↦

↦ oraz wyłączenie iluminacji w dwóch wariantach: całkowicie bądź w określonych godzinach. Rozważamy także wyłączenie fontann. Mogłoby to nam w sumie przynieść kilka milionów złotych.

W Lublinie czas pracy lamp na ulicach ograniczono już latem. – Przełożyło się to na oszczędności. Jednak mając na uwadze wnioski mieszkańców oraz bezpieczeństwo pieszych, od października powrócono do poprzednich zasad – wyjaśnia Artur Szymczyk, wiceprezydent Lublina.

Ewa Grudniok, rzeczniczka prasowa Urzędu Miasta w Tychach, podkreśla, że na podwyżki najbardziej są narażone podmioty, które potrzebują energii elektrycznej 24 godziny na dobę, czyli szpitale i domy opieki. – Obecnie nie otrzymujemy jednak informacji z jednostek miejskich o zagrożeniach zaopatrzenia w media. W naszym mieście wdrożenie zapowiadanych oszczędności jest realne do osiągnięcia – zaznacza.

W Tychach trwa bowiem operacja intensywnej wymiany oświetlenia na LED-y. W pierwszej, zakończonej już turze, za niecałe 3 mln zł założono prawie 2,5 tys. nowych opraw. Przyniesie to 1309 MWh oszczędności na rok, czyli ok. 663 tys. zł (Tychy do końca przyszłego roku płacić będą 509 zł za MWh). Inwestycja powinna się więc zwrócić już za trzy lata. W kolejnej turze wymienionych zostanie 2 tys. opraw, co przyniesie następne oszczędności rzędu 732 MWh na rok.

Ponad 20 tys. opraw LED-owych zainstalowano też w Krakowie.

Pozostając przy drogach, trzeba jeszcze zauważyć, że kryzys energetyczny odbija się mocno na przewozach autobusowych. Objęcia tarczą energetyczną transportu publicznego domaga się Lewica. Postuluje przede wszystkim zwiększenie finansowania z Funduszu Rozwoju Przewozów Autobusowych, który obecnie wynosi tylko 3 złote dopłaty na kilometr. Działać trzeba szybko, bo kryzys zbiera już żniwo. Upadłość ogłosiła właśnie spółka PKS Radom, która złożyła wypowiedzenia wszystkim pracownikom. Tymczasem do pracy w Warszawie codziennie dojeżdża z Radomia 20 tys. osób. W stan likwidacji postawiono również PKS Wałcz, który będzie wozić swoich pasażerów jedynie do końca tego roku. Bez zwiększenia dofinansowania z FRPA niedługo zaczną zapewne padać kolejni przewoźnicy, a o nowych połączeniach w ogóle będzie można zapomnieć. W trudnej sytuacji jest np. PKS Małopolska, który od 1 października niespodziewanie zlikwidował popularne połączenie z Myślenic do Krakowa.

Przyjęcie jedynej oferty dostaw prądu dla UJ oznaczałoby, że uczelnia musi zapłacić w przyszłym roku 182 mln zł. Teraz płaci 27 mln.

Uniwersytety przetrwają

Więcej niż przewoźnikom udało się załatwić uczelniom. Zostaną objęte limitem cen energii, choć jeszcze niedawno ich sytuacja rysowała się w barwach czarnych jak smoła. Jedyna oferta na dostawę prądu, która wpłynęła do Uniwersytetu Jagiellońskiego, oznaczałaby wzrost rocznych rachunków o kilkaset procent.

– Przeprowadzony przez nas przetarg na dostawę energii na 2023 rok zakończył się otrzymaniem oferty, w której dostawca proponował cenę 3419 zł za MWh, choć dotychczas płaciliśmy 500 zł. Nie mogliśmy jej zaakceptować – wyjaśnia Adrian Ochalik.

Obecnie UJ płaci za energię elektryczną 27 mln zł rocznie – według nowej oferty kwota ta wyniosłaby 182 mln zł, czyli pochłonęłaby jedną piątą całej subwencji z MEiN. Na szczęście limit cenowy wprowadzony przez rząd znacząco ograniczy te koszty. – Jeśli wskazana cena będzie ceną brutto, rachunki UJ wzrosną o ok. 60 proc. Oznacza to podwyższenie kosztów energii elektrycznej o około 15 mln zł – wylicza rzecznik uczelni.

Limit ceny energii przyda się także Uniwersytetowi Śląskiemu. Według danych przesłanych nam przez UŚ, do końca czerwca przyszłego roku uczelnia płaci zaledwie 290 zł za MWh. Od 1 lipca 2023 r. jej taryfa miała jednak wzrosnąć do ok. 1260 zł za MWh, czyli ponad czterokrotnie. Dzięki ograniczeniu ceny do 785 zł za MWh śląska uczelnia powinna więc zaoszczędzić niemal pięćset złotych na każdej megawatogodzinie, o ile zmniejszy zużycie o jedną dziesiątą. Uniwersytet zamierza ograniczyć ogrzewanie biur do 19 stopni Celsjusza, a korytarzy do minimum niezbędnego dla zachowania instalacji w dobrym stanie. Do minimum zawartego w przepisach prawa zostanie też ograniczone oświetlenie korytarzy i sanitariatów. Uczelnia zrezygnuje także z nocnego podświetlania obiektów i zamontuje czasowe wyłączniki światła z czujnikiem ruchu na korytarzach i schodach.

Limit ceny prądu uchroni uczelnie i samorządy przed katastrofą, jednak nie przed dużymi wyrzeczeniami i zaciskaniem pasa. Czas dosyć beztroskiego korzystania z energii już minął, i to zapewne bezpowrotnie. Trzeba będzie się przyzwyczaić do ciemniejszych ulic i chłodniejszych pomieszczeń. Finalnie może wyjść nam to na dobre, jednak okres przejściowy dla wielu społeczności będzie bardzo trudny. Trzeba też pamiętać, że gminy w większości kierowane są przez ekipy niechętne centralnej władzy PiS, a kryzys energetyczny raczej nie pomoże im w staraniu się o reelekcję.

© PIOTR WÓJCIK

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 214/22 toczy się postępowanie z wniosku Roberta Machaja z udziałem Józefy Lenar i Barbary Sanakiewicz o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia prawa własności udziału 96/960 w nieruchomościach położonych w obrębie ewidencyjnym nr 0005 w Jarosławiu oznaczonych ewidencyjnie numerami:
840/2 o powierzchni 0,0150 ha,
841 o powierzchni 0,0230 ha, 702/10 o powierzchni 0,0443 ha,
843/1 o powierzchni 0,0218 ha, 702/9 o powierzchni 0,0468 ha,
779 o powierzchni 0,0881 ha, 780 o powierzchni 0,0310 ha,
773/3 o powierzchni 0,0746 ha, 783 o powierzchni 0,0544 ha,
784 o powierzchni 0,0632 ha, 785 o powierzchni 0,0581 ha
– zapisanych w księdze wieczystej Sądu Rejonowego w Jarosławiu nr PR1J/00001475/1 w udziale 96/960 na Barbarę Sanakiewicz, c. Jana i Anny.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie on udowodniony.

MATERIAŁY PRASOWE

Grupa zaangażowana w przygotowanie spektaklu „Powrót Wikingów", m.in. Zbyszek Krakowski (z przodu) i Leszek Noster (trzyma plakat), Warszawa, marzec 2014 r.

Długa droga do domu

DOROTA BIDZIŃSKA

Najgorsze w bezdomności jest poczucie nieustannego wstydu. Ale kiedy zrobi się coś dobrego i jeszcze ktoś to doceni, można się poryczeć ze szczęścia.

Długie teksty do nauki na pamięć? Szybko przekonał się, że jeśli nawet coś zapomni, zawsze może zaimprowizować i jakoś pójdzie. Trema? Znalazł na nią sposób na pierwszym spektaklu – skupić uwagę na czymkolwiek, np. oświetleniu, i mentalnie oddzielić się od widowni.

– Największą barierą były zęby – przyznaje Zbyszek Krakowski. Strasznie się ich wstydził. Jakby w brakach uzębienia zapisała się cała historia jego potknięć. Zbyszek – aktor grupy teatralnej Wikingowie – o swoim życiu mówi, że to sinusoida: ciągłe wzloty i upadki. Ostatnio jest lepiej. Opiekuje się osobami starszymi przy Polskim Komitecie Pomocy Społecznej – robota od rana do wieczora, więc martwi się, czy nie zabraknie mu czasu na próby. Niedawno znalazł zakład stomatologiczny, w którym studenci w ramach praktyk robią zęby ze zniżką. Skorzysta.

Wikingowie ze Szczepankowa

– Nigdy nie myślałem, że mogę trafić do takiego miejsca – mówi Zbyszek o swoim pobycie w Ośrodku dla Bezdomnych na poznańskim osiedlu Szczepankowo. – Kiedy się tam znalazłem, miałem plan, że po miesiącu ucieknę. Życie napisało inny scenariusz. Spędziłem w nim, z przerwami, dziesięć lat.

To w Szczepankowie po raz pierwszy zetknął się ze sceną. Namówił go kolega, Rysiu – już nie żyje, popełnił samobójstwo. Zbyszek zgodził się dla świętego spokoju, ale spotkał tak ciekawych ludzi, że został. Jednym z nich był Marek Kwieciński, weteran ośrodka (ostatnio starał się o mieszkanie socjalne, ale zabrakło mu jednego punktu).

– Jestem wychowany na teatrze od dziecka. Przez jakiś czas, w latach 80., nawet pracowałem w jednym z nich jako kierownik kadr i administracji. Do czterdziestki moje życie było naprawdę fajne – przyznaje Marek. – Tylko potem się poplątało. Dużo w tym mojej winy. Z Wikingów też wiele razy już wypadałem – wzdycha ciężko. – Z przyczyn wiadomych: odpał alkoholowy. Na szczęście zawsze przyjmowali mnie z powrotem.

Wikingów prowadzi Dorota Abbe, aktorka teatralna i filmowa. To ona od początku, od 2013 r., reżyseruje wszystkie spektakle. Zaczęło się od znajomej jej mamy i konkretnej sytuacji: w Poznaniu miała powstać ogrzewalnia dla mężczyzn. Były na to przyznane środki z budżetu obywatelskiego, ale okoliczni mieszkańcy protestowali. Wtedy w ośrodku pojawiła się inicjatywa, żeby pokazać, iż osoby bezdomne to ludzie jak wszyscy i że dom można stracić z wielu powodów. Był już gotowy scenariusz, kilku panów chętnych do pracy. Potrzebowali jeszcze pomocy profesjonalisty.

– Zobaczyłam w nich ogromny potencjał – mówi Abbe. – Zaproponowałam, żebyśmy pokazali to w Teatrze Nowym. Dyrektor chętnie się zgodził i szybko zaczęliśmy próby. Tak powstał „Powrót Wikingów", który okazał się dużym sukcesem.

W spektaklu aktorzy, osoby z doświadczeniem bezdomności, dzielą się swoimi historiami. Nagrania z opowieściami z ich życia wplecione są w fabułę przedstawienia. – 20 procent z naszych spektakli to kreacja, a 80 to czysta prawda o nas – mówi Zbyszek. – Chcę pokazać, że ludzie bezdomni to niekoniecznie ci najgorsi, brudni, śmierdzący. Że cóż, pogubiliśmy się, ale my też mamy uczucia, wartości i cele. Pamiętam, jak po spektaklu szliśmy z kolegą, Leszkiem Nosterem, do tramwaju, a jakieś panie pokazały na nas i mówią: „O, to ci artyści". Dawno nikt mnie tak ciepło nie potraktował! W teatrze spodobała mi się atmosfera, kultura osobista. Inna niż tam, gdzie zwykle przebywam.

Wspólnie postanowili, że będą grać dalej. Wystawili dwie komedie: „Nibylandię", zainspirowaną „Piotrusiem Panem", oraz „Sztamę" nawiązującą do fabuły filmu „Dumni i wściekli". Potem był „Ciąg dalszy... dla Leszka", dedykowany jednemu z Wikingów, zmarłemu Leszkowi Furmankowi. Opowieść o uzależnieniu, pełne ekspresji spojrzenie ze ↦

JAKUB WITTCHEN / MATERIAŁY PRASOWE

Po lewej: spektakl „Nibylandia" – na pierwszym planie Leszek Noster. Teatr Nowy w Poznaniu, grudzień 2014 r.

obok: Spektakl „Ciąg dalszy... dla Leszka" – na pierwszym planie Marek Kwieciński, w tle Piotr Dąbrowski. Poznań, marzec 2019 r.

↦ środka alkoholowego ciągu. Scenariusz, bazujący na prawdziwych opowieściach, napisał Kuba Kapral.

– To było trudne dla mnie – mówi o swojej roli Kwieciński. – Wracały osobiste wspomnienia. Finał sztuki jest taki, że my leżymy na scenie, a Piotr [Dąbrowski, aktor Teatru Polskiego współpracujący z Wikingami – DB] siedzi z tyłu i mówi: „wszystko przejebane". Ale po tym wstajemy. Każdy idzie na swoje miejsce, opowiada swój plan dnia. Bo póki się żyje, jest możliwość wyjścia. I to jest dla mnie kop, dzięki któremu siedzę na tej ławce, rozmawiamy sobie, a nie tkwię gdzieś w parku z butelką piwa.

Swój najnowszy spektakl: „Ludzie swobodni w świetle badań empirycznych" Wikingowie zagrali w poznańskim Teatrze Ósmego Dnia, na Festiwalu Teatralnym „Pociąg do Miasta" w Gdyni i Festiwalu Pestka w Jeleniej Górze.

Poeta we Wronkach

Pierwszy numer „Gazety Ulicznej", wydawanej przez Fundację Pomocy Wzajemnej „Barka", ukazał się w 2004 r. Od tego czasu kolejne można kupić na poznańskich ulicach, pod marketami i w tramwajach.

– Sprzedawana jest przez osoby bezdomne, bezrobotne, objęte naszym wsparciem – mówi Dagmara Szlandrowicz z Barki. – To dla nich taki pierwszy krok, żeby zarobić pieniądze i wdrożyć się w związane z pracą obowiązki.

Sprzedawcy gazety są dobrze przeszkoleni. Uczył ich Mirek, bezdomny z doświadczeniem w handlu. Mówił, żeby zawsze wydawali resztę. Dbał, żeby wszyscy zakładali identyfikatory, kamizelki i czapki z daszkiem. Zespół stał się tak profesjonalny, że dziś sprzedawcy nie tylko wychodzą na ulicę, ale też uczestniczą w kolegiach redakcyjnych. Przeglądają nowe numery, żeby wiedzieli, co polecić czytelnikowi.

– Gazeta należy do Międzynarodowej Sieci Gazet Ulicznych (INSP) – tłumaczy Dagmara Szlandrowicz. – W Barce ta idea znalazła się za sprawą Mela Younga, zaprzyjaźnionego z nami angielskiego społecznika i dziennikarza. W Londynie pomysł rozwinął się świetnie. Niemal w każdym miejscu można spotkać sprzedawców ulicznej gazety „Big Issue". W Polsce nie ma nawyku zakupu gazet na ulicy i rozmowy ze sprzedawcą. Jest też duża bariera, żeby podejść do osoby, która gorzej wygląda. Więc to zawsze był projekt raczej niszowy.

Od samego początku w „Gazecie Ulicznej" publikują mieszkańcy domów Barki, którzy sami są osobami z doświadczeniem bezdomności. Patrycja Zenker, redaktor naczelna gazety, zwraca jednak uwagę, że czasem trudno namówić ich do pisania. Nie każdy ma lekkie pióro. Dużo chętniej zgadzają się na wywiady lub proszą, żeby ich opowieści spisał ktoś inny. Ale zdarzają się też wyjątki: Andrzej Dawidowski pisze nawet wiersze.

– W poezji zakochany byłem od zawsze – mówi. – Od czasu Brzechwy i „Lokomotywy". Ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że sam mogę pisać wiersze, skoro nie jestem w tym kierunku wykształcony.

Jego wrażliwość literacka ukształtowała się w... więzieniu we Wronkach: – Sporo czasu tam spędziłem, często w izolacji bezwzględnej. Nie miałem kontaktu ze światem. Jedyny przywilej: możliwość korzystania z biblioteki. Książki zamawiało się do celi, ale to pracownik więzienia ostatecznie decydował, co mi przyniesie. I żeby dodatkowo uprzykrzyć mi życie, starał się wybierać najnudniejsze pozycje. Więc na początek przyniósł mi „Króla-Ducha" Słowackiego. Bez przekonania zacząłem czytać i mnie wciągnęło. Potem przyniósł Freuda. Też przeczytałem.

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie pod sygn. akt II Ns 478/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Dobrzyńskiej z domu Góreckiej, c. Marcina i Heleny, ostatnio zamieszkałej w Warszawie, zm. 28 września 2015 r. w Warszawie. W skład spadku wchodzi własność nieruchomości lokalowej nr 63 przy ul. Grójeckiej 28/30 w Warszawie wraz z udziałem 81/10000 w nieruchomości wspólnej.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

MACIEJ ZAKRZEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Biblioteka we Wronkach okazała się fantastycznie wyposażona, lepiej niż niejedna biblioteka publiczna. Tam poznał część twórczości Miłosza, i to w czasach, gdy autor z powodów politycznych był znienawidzony przez władze PRL. Na szczęście klawisz odpowiedzialny za bibliotekę miał tylko siedem klas szkoły podstawowej i kompletnie nie znał się na książkach. – Chyba dawał, co mu w ręce wpadło – śmieje się Andrzej.

Często, kiedy opisuje w artykułach swoją przeszłość, czuje wstyd. Trudno stworzyć fajny wizerunek człowieka, jeśli się dotknęło dna, i to niejednego. Za pierwszym razem dnem było zejście do świata przestępstw, ale drugie było jeszcze gorsze – bezdomność. Każdy świat, nawet ten przestępczy, rządzi się jakimiś prawami. Ulica jest pozbawiona zasad wszelkich. Żeby to wytrzymać, zdecydowana większość ucieka w alkohol lub narkotyki. Trudno się z tego wyrwać, nawet jeśli wokół są życzliwi ludzie.

– Generalnie ludzie są dobrzy i chcą pomagać. Tylko czasem myślą, że efekty ich pomocy będą widoczne od razu. Moje wychodzenie z bezdomności to był długi proces – tłumaczy Andrzej. – Wiele razy spotykałem ludzi, którzy próbowali mi pomóc, ale wtedy nie przynosiło to skutku. Po latach wielu z nich odszukałem, żeby wiedzieli, że jednak mi się udało.

Doktorat o ulicy

Paweł Ilecki, jeden z autorów „Gazety Ulicznej", to postać wyjątkowa. Pisze o tym, jak osoby bez dachu nad głową próbują udomowić przestrzeń, w której przebywają: przyczepy campingowe, pustostany, namioty. To fragment badań, które prowadzi do pracy doktorskiej na temat bezdomności.

– Osobę taką jak ja nazywa się badaczem uprzywilejowanym, bo przyglądam się środowisku, z którego sam się wywodzę – wyjaśnia. – Przez 23 lata byłem osobą bezdomną, a cztery spędziłem wprost na ulicy. To doświadczenie daje mi pewne przywileje, bo doskonale widzę, kiedy moi rozmówcy próbują konfabulować – śmieje się.

Pomysł na doktorat Pawła Ileckiego zrodził się, gdy mieszkał w ośrodku Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej w Warszawie. Pracowniczki Misji namówiły go, żeby wziął udział w spotkaniu organizowanym przez Europejską Sieć Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN). Tak wciągnął się w szereg inicjatyw: dyskusje organizowane przez stowarzyszenie ATD Czwarty Świat (walczy ze skrajnym ubóstwem na świecie), w warszawski Teatr Bezdomnych. Poznał ciekawych ludzi, chętnie dzielił się swoimi spostrzeżeniami. Pewnego razu koleżanka zapytała go, czemu nie zacznie przetwarzać tego naukowo. Niepewny, ale zaintrygowany, rozpoczął studia doktoranckie na Uniwersytecie Warszawskim. Miał sporo do nadrobienia, bo choć z wykształcenia jest etnologiem, to zatrzymał się gdzieś na strukturalizmie Lévi-Straussa.

Trochę się niecierpliwi, że praca nad doktoratem posuwa się powoli. – W dodatku moje badania okazały się dosyć kosztowne. Kiedy proszę osoby w kryzysie o wywiad, z reguły w odpowiedzi słyszę: „A co ja z tego będę miał?". Muszę zawsze mieć w zanadrzu jakąś puszkę kawy i paczkę fajek – śmieje się.

W 2019 r. Ilecki przestał być osobą bezdomną. Zamieszkał w jednym z warszawskich DPS-ów.

Jak na wojnie

Kiedy w 1989 r. we Władysławowie k. Lwówka Wielkopolskiego powstawał pierwszy dom Barki, jego pomysłodawcy, Barbara i Tomasz Sadowscy, zamieszkali pod jednym dachem z grupą osób wykluczonych. Do starej szkoły, bez okien i ogrzewania, wprowadzili się razem z małymi córkami.

Dziś już dorosłe Maria i Ewa z czułością wspominają swoje relacje z Heniem, który 25 lat spędził w więzieniu, byłą prostytutką Ziutką („Chodziła na nasze wywiadówki do szkoły, bo rodzice byli zbyt zajęci. Zawsze wracała dumna, bo nasłuchała się pochwał" – pisze w jednym ze wspomnień Ewa Sadowska) i z Andrzejem, który przez 16 lat mieszkał w poniemieckich bunkrach. Gdy wspólnota zaczęła się rozrastać, powstała konieczność znalezienia kolejnych domów, a opiekę nad nimi przejmowali doświadczeni „barkowicze": ci, którzy zdążyli okrzepnąć, nabrali pewności, stanęli na własnych nogach. Dziś, gdy takich domów jest 12, ta zasada pozostaje niezmienna. Nie tylko w Polsce.

– Kiedy rynek pracy na Zachodzie się otworzył, po pewnym czasie skontaktował się z nami urzędnik z londyńskiej dzielnicy Hammersmith and Fulham – wspomina Dagmara Szlandrowicz. – Żyło tam wielu Polaków, którzy wyjechali do Anglii za chlebem. Część z nich mieszkała na ulicach, miała problemy z alkoholem. Chodziło o to, żeby jakaś polska organizacja udzieliła im podstawowej pomocy, zaniosła zupę lub ciepły koc. W Londynie oczywiście nie brakowało organizacji charytatywnych, ale barierą był język. Tomasz Sadowski szybko ocenił, że zupa i koc nie wystarczą. Że dla rozwiązania problemów tych osób potrzebne są relacje z kimś, komu mogą zaufać.

Tak powstały dwuosobowe zespoły: lider, który wie, jak dotrzeć do duszy bezdomnego, i asystent z dobrą znajomością języka i lokalnych realiów. ↦

↦ Dziś Barka działa nie tylko w Anglii, ale też w Irlandii, Holandii, Belgii i na Islandii.

– W 2007 roku pojechałem do Holandii za chlebem – opowiada Piotr Śmigielski, który przeszedł przez doświadczenie Barki. – Pierwsze trzy lata jakoś sobie radziłem, potem straciłem pracę. Znalazłem kolejną, ale z niej też szybko wyleciałem. I wtedy wyrzucono mnie z domu, bo zalegałem z opłatami. Wylądowałem na ulicy. Czułem taki wstyd, że przestałem kontaktować się z rodziną. Piłem od najmłodszych lat, ale nie przyznawałem się przed sobą, że mam problem. Próbowałem walczyć, wyrwałem się z nałogu na kilka miesięcy, a potem znów znalazłem się bez dachu nad głową. W sumie byłem bezdomny w Holandii przez 10 lat, ostatni rok był chyba najtrudniejszy. Ale wtedy spotkałem lidera z Barki. Trudno mi było mu zaufać, bo jak byłem w ciągu, to nie myślałem racjonalnie. Wśród chłopaków chodziły plotki, że to wcale nie jest organizacja pomocowa, tylko porywają ludzi na organy. Ale mnie było już wszystko jedno.

Piotr wrócił do Polski, przeszedł terapię, zamieszkał w jednej ze wspólnot Barki. – Po półtora roku dostałem propozycję, żeby wyjechać jako lider za granicę – mówi. – Miałem dużo obaw, czy sobie poradzę, ale ta świadomość, że mi zaufano, dodała mi sił. Dla mnie „lider" to duże słowo, poczucie misji. Nieraz mówię, że czuję się, jakbyśmy byli na wojnie i ratowali rannych. Ale nie wszystkim da się pomóc.

Dagmara Szlandrowicz do dziś wspomina Henia, którego poznała w Dublinie. Bardzo pił. W pewnym momencie wydawało się, że wróci do Polski, aby zacząć wszystko od początku, ale jakiś czas później znaleziono jego ciało zmiażdżone przez maszynę do zgniatania śmieci. Spał w jednym z kontenerów.

> Łukasz pamięta, jak w centrum pomocy zobaczył zdjęcie kumpla od kieliszka. Znaleźli go na placu zabaw, zapił się. Łukasz wie, że **gdyby nie spotkał ludzi z Barki, skończyłby tak samo.**

Łukasz Bączkowski z kolei pamięta, jak któregoś dnia pod jednym z centrów pomocy dziennej w Holandii na tablicy ogłoszeń zobaczył czarno-białe zdjęcie kumpla od kieliszka. – Znaleźli go na placu zabaw. Zapił się – mówi. – Wiem, że gdybym w odpowiednim momencie nie trafił na Krzyśka i Darię z Barki, skończyłbym podobnie.

Mówi, że nigdy nie wiadomo, co człowieka może rozwalić psychicznie. Zna takich, którzy lądowali na ulicy po rozwodzie, dlatego, że umarło im dziecko, albo wracali z misji w Iraku rozbici psychicznie. W niego uderzyła choroba i śmierć mamy. Był nauczycielem, ale za pijaństwo wylali go z pracy. Wtedy postanowił wyjechać za chlebem do Holandii, co okazało się najgłupszym z możliwych pomysłów – bez wsparcia otoczenia pił jeszcze więcej, szybko stracił robotę i dach nad głową.

– Spotykaliśmy się z Krzyśkiem na papierosie. Taka gadka szmatka – wspomina. – W ogóle nie było tematu, że jest coś takiego jak Barka. Chłopak zrobił to z głową. Wiedział, że uciekłbym w podskokach, gdyby dorwał mnie jakiś nawiedzony misjonarz. Raz przy fajce rzucił: „Wpadnij do biura, pogadamy przy kawie, co dalej z tobą". Zgodziłem się, ale odkładałem z dnia na dzień. Aż któregoś dnia obudziłem się w areszcie. To był dla mnie mocny impuls, że pora zakończyć tę przygodę. W Polsce nie miałem gdzie się podziać, w dodatku okropnie się wstydziłem, bo w niedługim czasie stałem się zwykłym żulem. Wtedy Krzysiu opowiedział mi o sobie. O tym, jak spędził pięć lat na ulicy...

Dziś Łukasz sam jest liderem i w osobach, którym pomaga, widzi swoje odbicie sprzed kilku lat.

■■■

– Moja rodzina urodziła się w Barce – mówi Andrzej Dawidowski, poeta z „Gazety Ulicznej". – Tutaj poznałem moją żonę, która była osobą bezdomną. Tutaj urodziły nam się dzieci. Ale tak naprawdę poczułem, że rozliczyłem się z przeszłością dopiero wtedy, kiedy przebaczyłem ojcu. Długo miałem żal, że go nie było, że nigdy mnie nie przytulił, nie wziął na kolana. Była tylko karząca ręka sprawiedliwości, za byle gówno. Przyjechałem kiedyś na cmentarz, oboje z mamą już nie żyli, i zobaczyłem, że na rodzinnym grobie nie ma wyrytego jego nazwiska. Nagle przyszła myśl, że muszę to zmienić. Dotarło do mnie, co znaczy czwarte przykazanie. Gdyby mnie nie spłodził, nie byłoby ulicy i więzień, ale nie byłoby też mojej rodziny i tych wszystkich pięknych rzeczy. Pomyślałem, że przekazał mi to, co sam dostał. Cieszę się, że mój los jest inny. Że mój 19-letni syn chce ze mną rozmawiać, radzi się mnie w różnych sprawach i traktuje jak kumpla.

© DOROTA BIDZIŃSKA

TP

MOC CZYTANIA NA DNI ZADUSZNE

Już **26 października** świąteczny numer „Tygodnika", a w nim:

- Jak odnaleźć swoich przodków
- Cmentarz, zwierciadło miasta
- Tajemnice grobów przydrożnych
- Pamiętaj o śmierci i chwytaj dzień
- Kogo budzą cietrzewie
- Codzienne życie upiorów
- Kto nie lubi zmiany czasu

...i wiele więcej.

W wydaniu także **dodatek literacki „Książki w Tygodniku"** – **weź, czytaj!**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ

Stawiszyński: *Powrót Nostradamusa*

„Sprawa rozegra się błyskawicznie... albo będzie się ciągnąć" – usłyszał od pewnego wróżbity mój znajomy, kiedy postanowił zasięgnąć porady tarota w sprawie zbliżającej się rozprawy rozwodowej. Oczywiście przepowiednia spełniła się z zaskakującą precyzją, zanim się jednak spełniła – bo przecież nie mogło być inaczej, skoro spełnienie zostało w nią tak przemyślnie wmontowane – przyniosła owemu znajomemu niewątpliwą ulgę. Mimo że jako człowiek racjonalny i świadomy pułapek, w jakie wpada ludzka percepcja, doskonale zdawał sobie sprawę, iż w wypowiedzianym przez wróżbitę zdaniu nie mieści się żadna realna treść poznawcza, lecz tylko jej specyficzna imitacja. A jednak jakoś go to uspokoiło – sam ten rytuał, sama ta fantazja, że oto pomiędzy symbolami rozmieszczonymi na kilkudziesięciu kartonikach a jego powikłaną i niejasną sytuacją życiową istnieje jakieś powinowactwo.

Czy należy się temu dziwić? Tak jak dziwił się mój znajomy, który długo kultywował w sobie wizerunek człowieka kierującego się wyłącznie rozumem, i dopiero kiedy los postawił go w okolicznościach zupełnie dlań nieprzejrzystych, postanowił zwrócić się do instancji ze zgoła odmiennego porządku? Dziwił się tak, że nawet kiedy już zasiadł naprzeciwko rzutkiego badacza przyszłości, ba, nawet kiedy od niego wychodził – wciąż nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że znalazł się nagle w tym właśnie miejscu.

I czy należy się dziwić, że w drugiej dekadzie XXI w., w erze sztucznej inteligencji, rzeczywistości wirtualnej, medycyny rozwiniętej jak nigdy wcześniej, rekreacyjnych lotów w kosmos oraz kilku innych spektakularnych osiągnięć ludzkiego geniuszu, jedną z najlepiej sprzedających się książek w Wielkiej Brytanii jest, jak donosi „The Guardian", „Nostradamus. The Complete Prophecies for the Future", autorstwa Maria Readinga? Tyleż skrupulatne, co rozległe omówienie wszystkich starannie zindeksowanych, cokolwiek enigmatycznych przepowiedni legendarnego XVI-wiecznego jasnowidza.

Zaznaczyć należy koniecznie, że dzieło Readinga ukazało się w roku 2006, jego autor zmarł w 2017, sukcesem wydawniczym stało się natomiast dopiero we wrześniu 2022, zaraz po śmierci Elżbiety II. Skąd ta nagła popularność? Otóż w jednym z komentarzy do przepowiedni z numerem – *nomen omen* – 10/22 Reading wprost pisze, że królowa umrze w okolicach roku 2022. Przypadek? Jeszcze jednak większą ekscytację aniżeli ta koincydencja wywołała egzegeza kolejnego Nostradamusowego „widzenia", w myśl której król Karol szybko abdykuje, a na tronie zasiądzie wcale nie książę William, lecz niepokorny Harry. Cóż, w odróżnieniu od twierdzeń eksperta, do którego trafił mój znajomy, tego rodzaju predykcje zostaną przynajmniej prędzej czy później zweryfikowane.

Ale – no właśnie – czy tej ostatnimi czasy wyraźnie wzrastającej (jak pokazują statystyki) popularności wróżb i innych technik oswajania czasu należy się dziwić? Wbrew twardym scjentystom, rozpaczającym nad ekspansją irracjonalizmu, odpowiem: w żadnym razie. I to wcale nie dlatego, że przewidywanie przyszłości należy do najdawniejszego arsenału ludzkich sposobów radzenia sobie z chaotycznym i niebezpiecznym światem. I nie dlatego, że astrologia, tarot czy księga „I-cing" to niezwykle subtelne konstrukcje mitologiczno-pojęciowe, pomyślane jako zwierciadła odbijające – w sferze symboli – możliwe modalności ludzkich losów. Oczywiście, zgodnie z całą współczesną wiedzą naukową, to wszystko nie ma prawa działać, ale – o czym sporo pisałem w „Ucieczce od bezradności" – w gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia. W świecie, który stał się tak skrajnie nieprzewidywalny, pragnienie choćby bazowej przewidywalności (nawet zbudowanej na błędach poznawczych albo doskonale okrągłych formułach, które mieszczą wszystko), okazuje się po prostu znacznie silniejsze aniżeli wszelkie racjonalistyczno-naturalistyczne formacje razem wzięte.

Poza obietnicą, że świat nie rządzi się – wbrew pozorom – prawami chaosu, bo pracuje w nim jakaś ukryta harmonia, jest tu jednak coś więcej. A mianowicie zapewnienie, że jednostkowe życie nie jest wyłącznie produktem ślepych sił biologii wydanym na pastwę równie ślepych sił rządzących ludzkimi zbiorowościami. Ale że – przeciwnie – realizuje ono jakiś scenariusz, który, choćby nawet nie cechował się szczęśliwym zakończeniem, jest zarazem częścią większej całości. Skoro więc można go z pomocą takich czy innych narzędzi odczytać, to znaczy, że gdzieś już został zapisany. A jeśli tak, to stoi za nim być może jakiś zamysł, nie zaś tylko ruch materii regulowany bezosobowymi prawidłami.

Dzięki takiej perspektywie da się choć przez chwilę poczuć specyficzną ulgę, analogiczną do tej, którą poczuł mój racjonalistyczny znajomy. Zamiast targaną wiatrem ewolucji i historii trzciną, stać się bohaterem tajemniczej opowieści, którego losy można śledzić niejako z boku, a nie wyłącznie dźwigając je na własnych barkach. Czyż to nie jest nadzwyczaj kusząca perspektywa? Cóż, niech o tym zaświadczy fakt, że w historii korzystali i wciąż korzystają z tego różni sprytarze. Niestety nie zawsze tak literacko utalentowani jak Nostradamus (oraz Mario Reading, oczywiście). ©

POŻEGNANIE

17 września 2022 r. odeszła do Pana

Ś.†P.

Teresa Wasiak

Jej dobroć, wrażliwość, serdeczność
zostaną w naszej pamięci

Głębokie wyrazy współczucia dla Bliskich

Warszawski Klub „Tygodnika Powszechnego"

WIARA MILIARDERA

Jeden z najbogatszych Polaków chce wpłynąć na naszą religijność. I nie szczędzi grosza.

SZYMON ŻYŚKO

Trzystu pięćdziesięciu ośmiu – tylu mieszkańców liczy wieś, której nazwa od dwóch lat jest na ustach Polaków. Wszystko za sprawą billboardów, które można spotkać w niemal każdym mieście. Fundacja Nasze Dzieci – Edukacja, Zdrowie, Wiara, podpisująca swoje plakaty „Kornice", wydała tylko w czerwcu i lipcu tego roku ponad 26 mln zł na kampanie outdoorowe. Wiemy to dzięki portalowi Wirtualnemedia.pl, który dotarł do badań zrealizowanych dla Kantar Media. Nie znajdziemy raportów i sprawozdań finansowych na stronie samej fundacji. Rejestr KRS również milczy. Skąd mała wiejska fundacja czerpie finanse do działań na skalę, która niedostępna jest nawet dla największych NGO-sów? Wystarczy spojrzeć na adres. Przy ul. Spacerowej 4 w Kornicach mieści się nie tylko lokal Fundacji Nasze Dzieci, ale również główny zakład jednego

JAKUB WOSIK / EAST NEWS

z największych producentów okien PVC w Europie. Łączy je również osoba prezesa Mateusza Kłoska.

O Fundacji Nasze Dzieci zrobiło się głośno po raz pierwszy w 2020 r., gdy na fali protestów przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji na ulicach wielu miast pojawiły się billboardy z grafiką płodu w macicy przypominającej kształtem serce. Co ciekawe, sama autorka ilustracji – rosyjska graficzka Ekaterina Glazkova – nie była świadoma użycia jej pracy w kampanii Kornic i opowiedziała się po stronie strajkujących w Polsce kobiet. To jednak nie był koniec społecznego zaangażowania małej fundacji. Aspiracje miała znacznie większe. Co kilka tygodni pojawiały się nowe plakaty, które manifestowały światopogląd autorów kampanii. Billboardy odnoszą się do rozwodów, dzietności Polaków, kryzysu demograficznego i cytują Jana Pawła II.

Nawrócony przedsiębiorca

Wróćmy do kluczowej postaci, jaką jest Mateusz Kłosek, prezes spółki Eko-Okna oraz Fundacji Nasze Dzieci – dwunasty na liście stu najbogatszych Polaków magazynu „Forbes". Przez ostatnie miesiące wielu dziennikarzy próbowało się z nim skontaktować, a on konsekwentnie odmawiał. Wyjątek zrobił dla portalu „Do Rzeczy", odpowiadając na kilka jedynie pytań. „Każdy lepszy pomysł, który byłbym w stanie zrealizować, wezmę pod uwagę" – skomentował lakonicznie pytanie o zarzuty i krytykę, jaka spadła po pierwszej kampanii.

Więcej o jego historii i motywacjach dowiemy się z wystąpienia podczas IV Pielgrzymki Przedsiębiorców na Jasną Górę. W nagraniu zatytułowanym „poruszające świadectwo" Mateusz Kłosek nazywa siebie „ojcem trójki dzieci, w tym jednego w niebie" oraz „mężem jednej żony – na szczęście". Opowiada o tym, jakie piętno wywarł na nim rozwód rodziców, gdy był dzieckiem, oraz późniejszy kryzys we własnym małżeństwie i widmo jego rozpadu. Próba ratowania rodziny doprowadziła go do małżeńskiego Ruchu Czystych Serc oraz programu 12 kroków, w którym mierzył się m.in. z uzależnieniem alkoholowym. Co ciekawe, krótko potem stał się członkiem rady nadzorczej Wydawnictwa Agape, które wydaje m.in. dwumiesięcznik katolicki „Miłujcie się!". Pismo kojarzone jest właśnie z podobną retoryką i rozumieniem ochrony rodziny, z którymi spotykamy się również w przekazie Kornic.

Mateusz Kłosek nie ukrywa, że od zawsze pragnął posiadać własną dużą firmę i być szefem. Nawrócenie miało wpływ również na jego myślenie biznesowe. Prezes Eko-Okien przyznaje, że dopiero po nim zaczął zwracać uwagę na pracowników i ich sytuację życiową. Poczuł odpowiedzialność za rodziny zatrudnionych. Właśnie wtedy postanowił rozwijać się w kierunku CSR (społecznej odpowiedzialności biznesu) i zaangażować obywatelsko.

Nim jeszcze billboardy trafiły na ulice miast, sporo zmian zaszło w samych Eko-Oknach. Jedną z nich była budowa w firmie całodobowej kaplicy adoracji oraz zatrudnienie psychologów, którzy byli dostępni w trudnych sytuacjach życiowych, jakich doświadczają zatrudnieni i ich bliscy. Z czasem powstał również gabinet poza zakładem, pozwalający zachować większą anonimowość. Mateusz Kłosek postawił również na trenerów rozwoju osobistego. Jedną z trenerek jest s. Eleonora Cichoń ze Zgromadzenia Misyjnego Służebnic Ducha Świętego. „Dla mnie liczy się człowiek, osoba, a tutaj pracownik. Każdy z was, nieważne, jakie macie światopoglądy, jakiego jesteście wyznania" – deklaruje zakonnica w filmie dostępnym na oficjalnym kanale firmy Eko-Okna.

Aktualnie trwa budowa przyzakładowego przedszkola i żłobka, w których pracownicy będą mogli zostawiać dzieci na czas pracy. Z obszernego maila, który otrzymałem od przedstawiciela fundacji (bez podpisu), wynika, że zaangażowanie jest naprawdę szerokie i odpowiada aktualnym potrzebom definiowanym ↦

Na billboardzie Fundacji Kornice wykorzystano grafikę rosyjskiej artystki Ekateriny Glazkovej. Ilustratorka odcina się od poglądów autorów plakatu. Warszawa, styczeń 2021 r.

↦ przez fundację w kluczu ich statutu: edukacja, zdrowie, wiara. Ostatnie – największe w historii firmy – skierowane było do uchodźców z Ukrainy oraz ich bliskich pozostałych w kraju, by walczyć. Wspólnym mianownikiem wszystkich tych działań, podkreślono w nadesłanej odpowiedzi, jest rodzina.

Najbogatsza polska fundacja

Na oficjalnej stronie spółki w zakładce CSR firma Eko-Okna szczyci się wspieraniem hospicjów, uzdolnionych dzieci, szpitali, samotnych matek, misji katolickich i wielu innych obszarów. Możemy przeczytać artykuły o darowiznach podczas pandemii i angażowaniu pracowników w akcje charytatywne. Jest również wyraźne przekierowanie do strony Kornic.

Może wydać się dziwne, że tak duża spółka na swoich oficjalnych stronach reklamuje niewielką fundację. Odpowiedź na to, jak bardzo powiązane ze sobą są te dwa podmioty, znajduje się nie tylko w odpisie z Krajowego Rejestru Sądowego, z którego dowiadujemy się, że prezesem fundacji jest Mateusz Kłosek, a członkinią zarządu jego małżonka Katarzyna Kłosek. Także w sprawozdaniu finansowym firmy Eko-Okna, z którego wynika, że Fundacja Nasze Dzieci jest udziałowcem i posiada 49,01 proc. akcji spółki. „Skoro w Ewangelii jest napisane, że powinienem sprzedać wszystko i rozdać biednym, to chyba tak powinienem zrobić. Próbowałem. Natomiast nie jestem jeszcze na to gotowy. Jedynie, co naprawdę zrobiłem, to [że] fundacja jest prawie w 50 proc. właścicielem firmy" – tłumaczy Mateusz Kłosek. W małej śląskiej wsi mamy więc jedną z najbogatszych fundacji w Polsce, bo spółka Eko-Okna niemal 3 mld zł przychodu rocznie.

Pracownicy w większości mają dobre zdanie o pracy w firmie Mateusza Kłoska i potwierdzają to, czym spółka chwali się na zewnątrz. Proszą jednak o zachowanie anonimowości, co może trochę dziwić. – Nie powiem nic złego. Długo byliśmy bez pracy, a jak nas przyjęli, to oboje od razu – mówi Dorota, która grafik ma układany tak, że może wymieniać się z mężem opieką nad dziećmi. – Z kierownikami bywa różnie. Ale dobrze się pracuje. Ja tu spokojnie do emerytury dobiję, a i samotne matki też znajdą etat – tłumaczy Andrzej (imiona zmienione).

Pod googlowską wizytówką firmy trwa jednak zacięta dyskusja. Niewiele tam komentarzy samych zatrudnionych. Przeważają raczej zadowoleni lub niezadowoleni klienci oraz dziesiątki nieznajomych z całej Polski, którzy deklarują, że przez billboardy i „fanatyzm religijny właściciela" nic już nie kupią od Eko-Okien lub wręcz odwrotnie, przyklaskują i wspierają fundację z Kornic. Spór o billboardy dotarł i tutaj.

DOMINIK GAJDA / REPORTER

Mateusz Klosek, prezes Eko-Okien, Wodzisław Śląski, czerwiec 2021 r.

Przykład fundacji Mateusza Kłoska jest interesującym przeniesieniem na polski grunt powiązania biznesu, filantropii i wartości chrześcijańskich, znanego i wykorzystywanego od lat w USA. Gdy obserwuje się zaangażowanie prezesa Eko-Okien, wygląda na to, że czerpie on sporo z rozwiązań wypracowanych przez biznesmenów wywodzących się ze wspólnot ewangelikalnych. Przywołać można tu choćby Davida Greena, syna pastora, multimilionera i właściciela sieci sklepów z wyposażeniem artystycznym, zatrudniającej ponad 43 tys. Amerykanów. Green znany jest szerzej jako filantrop i sponsor Muzeum Biblii w Waszyngtonie, zbudowanego dzięki jego dotacji w wysokości 500 mln dolarów. Przekazał ją poprzez rodzinną fundację, która powstała właśnie w celu krzewienia wartości bliskich założycielowi. O swoim biznesie mówi, że „zbudował go na zasadach biblijnych", a „jedynym właścicielem i udziałowcem firmy jest Bóg".

Podobnych przypadków Ameryka zna więcej. Wiele popularnych również nad Wisłą filmów religijnych, takich jak „Chata" czy głośny antyaborcyjny obraz „Nieplanowane", nie powstałoby, gdyby nie finansowe wsparcie amerykańskich przedsiębiorców i ich firm. W Polsce wciąż jest to jednak nowość, która budzi podejrzliwość i bywa nieumiejętnie zagospodarowywana. Kościelna centralizacja wszelkich przejawów religijności każe nam sądzić, że wszystkie tego typu inicjatywy są oficjalnym działaniem Kościoła.

Skąd te billboardy

Skąd się biorą pomysły na tematy kolejnych kampanii Kornic? Bezpośrednio z inspiracji Mateusza Kłoska. Ich treść natomiast z jego osobistych przekonań. „To jest dla mnie bardzo ważny aspekt mojej pracy, że mogę uzewnętrzniać myśli i piękno, które zauważam" – wyjaśnia, prezentując kolejne kornickie grafiki przedsiębiorcom zebranym na Jasnej Górze. Najbardziej znany z billboardów powstał, gdy poruszony ilustracją Mateusz Kłosek postanowił oplakatować nim po prostu wszystkie miasta w Polsce. „Ze swojego doświadczenia wiele mógłbym powiedzieć na ten temat – tłumaczy enigmatycznie i dodaje w kontekście protestów aborcyjnych: – W taki sposób zareagowałem, jakie miałem możliwości. Dziękuję Bogu i ludziom, którzy mi to pokazali".

Billboard „Dziękuję Ci całym sercem" promujący wielodzietne rodziny jest autorstwa dziecka. To rysunek namalowany przez córkę przyjaciół Kłosków. Plakat „Pokój, pokój, pokój" powstał po zakładowej pielgrzymce do Medjugoria jako efekt świadectw pracowników. Cytat z Jana Pawła II „Niech zstąpi Duch Twój" miał być odpowiedzią na kwestię wojny i pandemii. Lokalnie pojawiła się również reklama firmy Eko-Okna „Polsko, uwierz w siebie", która miała podkreślać wagę wiary w życiu społecznym i umacniać morale Polaków. Nie wyjaśniono, co stało za ostatnią kampanią, która sugeruje, że praktykujący katolicy rozwodzą się rzadziej, powołując się na badania o nieznanej metodologii. Trudno zrozumieć również, jaki cel przyświecał billboardom „Gdzie są TE dzieci?". Odpowiedzi możemy szukać w osobistych doświadczeniach pomysłodawcy, a sam Mateusz Kłosek jest zaskoczony negatywnymi emocjami, jakie budzą kolejne kampanie Kornic. Zapowiada jednak, że nie zamierza rezygnować, jeśli nadal będzie potrzeba takiego działania.

Interesujący wydaje się również aspekt religijny wspomnianych plakatów, który zanalizował na portalu „Więzi" ks. Andrzej Draguła: „Odnoszą się one do bardzo określonej, ale i specyficznej duchowości. Nie jest to na pewno duchowość biblijna. Zresztą jak do tej pory na żadnym plakacie wielu już akcji billboardowych nie znalazł się żaden cytat z Pisma Świętego. Wszystkie odnoszą się do objawień prywatnych: Medjugorie, św. Faustyna, bł. Aleksandrina da Costa, Gietrzwałd, Lourdes,

Fatima, Garabandal". Część z tych objawień wciąż jest badana przez Kościół, lecz nawet gdy zostaną uznane, nie ma obowiązku wiary w nie.

Ks. Draguła w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym" przyznał, że nie widzi w akcji Kornic bezpośredniego zagrożenia dla religijności i wiary. Zaznacza jednak wyraźnie, że źle by się stało, gdyby obraz katolicyzmu został sprowadzony wyłącznie do prywatnych objawień. – W Polsce jest wiele modeli religijności. Dopóki któryś z nich nie jest modelem heretyckim, schizmatyckim, to każdy z nas ma prawo do popularyzacji sposobu rozumienia własnej tożsamości religijnej. Nawet jeśli jest ona nieortodoksyjna, to mamy prawo o tym mówić – wyjaśnia specjalista od religijnej symboliki.

Wydźwięk i krytyka treści samych kampanii to nie jedyny problem kornickiej Fundacji Nasze Dzieci. Niemal od początku, gdy powiązania organizacji z jednym z najbogatszych Polaków wyszły na jaw, sprawą interesował się Maciej Kopiec, poseł Lewicy. Złożył on interpelację w sprawie dostępu do informacji nt. korzystania przez fundację z publicznych pieniędzy. Na podstawie informacji zgromadzonych w trakcie interwencji poselskiej oszacował, że na pierwszą antyaborcyjną kampanię Kornice wydały aż 100 mln zł. Danych tych nie można oficjalnie potwierdzić, sprawozdania finansowe organizacji są bowiem niedostępne.

„Pytaliśmy w styczniu Fundację (związaną z fabryką okien) o zapłacenie 3 okien dla pogorzelców z Rybnika, za 2 tysiące. Odmówili" – dodał na Twitterze poseł Kopiec. Przedstawiciel Fundacji Nasze Dzieci poinformował mnie, że pieniądze na realizację wszystkich statutowych działań – nie tylko kampanii outdorowej – pochodzą ze środków prywatnych. „Żadne z inicjatyw nie były i nie są finansowane ze zbiórek publicznych czy też dotacji rządowych" – czytam w nadesłanym mailu. Próby kontaktu z biurem prasowym Eko-Okien i prezesem okazały się nieskuteczne.

Przekaz wart miliony

Wydaje się zatem, że główną motywacją plakatowania miast jest osobista misja Mateusza Kłoska, skierowana przeciw rozwodom, aborcji i szeroko rozumianej laicyzacji społeczeństwa. On sam daje do zrozumienia, jakie ma intencje. „Myślę, jak mogę pomóc, żeby uniknęli tego, co ja musiałem przeżyć. Zrobiłem sobie rachunek sumienia z własnego życia" – mówi w jedynym publicznym wystąpieniu.

Trudno powiedzieć, kim naprawdę jest Mateusz Kłosek, człowiek, który unika mediów i strzeże prywatności – do czego ma prawo – a jednocześnie daje publiczne świadectwo nawrócenia dzięki Maryi, odkrywając osobiste sfery swojego życia. Jedno jest pewne: ani on, ani fundacja z Kornic nie dadzą o sobie zapomnieć na ulicach polskich miast. Pytanie o zasadność i skuteczność wydawania tak ogromnych pieniędzy na kampanie billboardowe pozostaje otwarte. Nawet jeśli niemal drugie tyle przeznaczane jest bez rozgłosu na realną pomoc.

Ciekawa wydaje się również przyszłość firmy, która, chcąc nie chcąc, wpisuje się swoimi działaniami w aktualne spory światopoglądowe. Czy specyficznie rozumiana przez prezesa Kłoska społeczna odpowiedzialność biznesu obroni się czy może stanie się w przyszłości raczej ciężarem dla spółki? © SZYMON ŻYŚKO

REKLAMA

MAGDA WOLNA

Komunijna musztra

MACIEJ MÜLLER

Anna nie sądzi, że Jezus odpytywał dzieci z modlitw, kiedy do niego przychodziły. Postanowiła sama przygotować córkę do pierwszej komunii. Da się.

Ksiądz ma na sobie sutannę z purpurowymi guzikami, bo to kanonik, a na głowie proboszczowski biret z pomponem. W kancelarii zasiada za masywnym biurkiem, na skórzanym fotelu. Na nią czeka po drugiej stronie krzesło.

– Od początku jest jasne, kto tu jest petentem – złości się Anna. – I taka jest zresztą prawda. Ksiądz tu rządzi, a ja mogę tylko prosić.

Bielszy odcień alby

Anna ma 9-letnią córkę. Krysia zaczęła właśnie trzecią klasę – a więc w myśl kościelnej praktyki czeka ją w tym roku pierwsza komunia. W połowie września proboszcz zapowiedział po wieczornej mszy spotkanie dla rodziców. Anna dowiedziała się, że klasa Krysi będzie miała komunię którejś niedzieli w maju o 9.30. Daty nie zapamiętała, ale godzinę owszem, bo od razu pomyślała, że dziadkowie z drugiego końca Polski nie zdążą przyjechać, chyba że wyruszą o trzeciej nad ranem.

– To typowe – uważa Anna. – Siądzie proboszcz z wikarym i ustalą godziny uroczystości. Sami nie mają rodzin, więc do głowy im nie przyjdą okoliczności dla nas, świeckich, oczywiste.

Niemniej sprzeciwu nie było. Anna mieszka w niewielkiej podkrakowskiej miejscowości. Ludzie nieraz tu sarkają na księdza – że nudzi na kazaniach, że co chwilę na coś zbiera – ale nikt mu się publicznie nie sprzeciwi. Nie żeby się go bali, ale jakoś nie wypada, to nie jest przyjęte. Nie odezwali się ani rdzenni mieszkańcy, ani napływowi z miasta, którzy coraz liczniej się tu budują. Ona też nie odważyła się zabrać głosu.

Ksiądz ogłosił, że wszystkie dzieci powinny być ubrane w jednakowe alby. Już godzinę po spotkaniu na WhatsAppie komunijnych rodziców rozgorzała dyskusja: jaki materiał, jaki odcień, jaka krawcowa? Jaki prezent dla księdza, jaki dla zakonnicy, jaki wystrój kościoła? Ktoś zaproponował: żeby nie było na koniec nieporozumień, zrzucajmy się po kilkadziesiąt złotych miesięcznie, od razu.

– Raz, że to nieekologiczne – mówi Anna. – Krysia ubierze to na komunię, potem na biały tydzień, i tyle. Dwa: czy to wojsko, że wszyscy mają jednakowo wyglądać? Trzy: nie rozumiem tych hołdów dla księdza, przecież on wykonuje po prostu swoje obowiązki. A raz do roku dostaje jak nie nowy ornat, to ozdobne pióro czy ikonę w złoconej oprawie.

Ale to nawet nie wczesna godzina mszy ani kwestie finansowe przechyliły szalę. Do komunii przystępuje się klasami, więc obowiązek przygotowania dzieci spada na katechetów.

Anna: – Uzmysłowiłam sobie, kto będzie odpowiedzialny za rozwój duchowy Krysi. Za jej relację z Bogiem.

Modlitwa na ocenę

Katecheta Krysi nie jest wizjonerem, nie jest też fanatykiem. Nie krzyczy na dzieci ani się z nimi nie śmieje. Jest przede wszystkim nudny. Kurs komunijny zaczął, jeszcze zanim ksiądz zwołał spotkanie. Dzieci miały przepisać z tablicy do zeszytów, czego w najbliższych tygodniach będą się uczyć na pamięć i zdawać na ocenę.

– Czyli moja córka ma stanąć przed nauczycielem i, patrząc się na niego, recytować „Ojcze nasz”? – pyta jej matka. – Przecież to intymna modlitwa; kiedy sama ją odmawiam, zamykam oczy albo patrzę na krzyż. W ogóle nie podoba mi się pomysł zaliczania modlitw na ocenę. Jezus lubił, kiedy dzieci przychodziły do niego, i nie sądzę, żeby wtedy przepytywał je ze znajomości tekstów na pamięć. Denerwuje mnie też nacisk kładziony na różaniec: w ramach przygotowań do

komunii Krysia miałaby regularnie chodzić na to nabożeństwo. Przecież w tradycji katolickiej jest tyle innych modlitw.

Anna przeczytała kiedyś wydane przez benedyktynów „Listy o modlitwie" ojca Johna Chapmana. Z książki zapamiętała: „Módl się tak, jak potrafisz, i nie próbuj modlić się tak, jak nie potrafisz". Krysi tłumaczy: do Boga możesz myśleć, możesz opowiedzieć Mu swój dzień, możesz Mu zaśpiewać, możesz też być z Nim w ciszy. To wszystko jest modlitwa.

Prawdy znikąd

Wśród wypisanych w zeszycie Krysi tekstów do wykucia Anna odnalazła też „Sześć prawd wiary". Kiedyś o tym czytała i wie, że nie ma ich w Katechizmie Kościoła Katolickiego, a mimo to z niewiadomych przyczyn pokutują w polskich książeczkach do nabożeństwa.

Poszła porozmawiać z katechetą. Przygotowała się dobrze: powiedziała mu, że uczenie dzieci o „sędzim sprawiedliwym, który za dobro wynagradza, a za zło karze", wypacza im obraz Boga. Że zamiast uczyć o Bogu, który jest Miłością, uczy się o kimś, kto skrzętnie notuje każdemu grzechy. Że to wizja niebiblijna, bo w psalmach przeczytała, że Bóg „nie postępuje z nami według naszych grzechów ani według win naszych nam nie odpłaca" i że „Jak odległy jest wschód od zachodu, tak daleko odsuwa od nas nasze winy". I że komplet prawd wiary jest przecież w Credo.

Katecheta odparł, że on tylko realizuje podstawę programową i jeśli Anna ma uwagi, może zgłosić je do Konferencji Episkopatu. I że Bóg jest miłosierny, ale przecież i sprawiedliwy.

– Powiedział, że można odnosić się do Pisma Świętego, ale warto także do Dzienniczka siostry Faustyny, która dużo pisze o Boskiej sprawiedliwości – opowiada matka Krysi.

Po powrocie do domu sprawdziła: w podstawie programowej do katechezy dla klasy trzeciej nie ma ani słowa o sześciu prawdach wiary.

Jak mała dziewczynka

Anna słyszała, że w Polsce coraz więcej rodziców samodzielnie przygotowuje dzieci do komunii. I że w pandemii stało się to całkiem popularne. Odkładając smartfona po lekturze dyskusji o szatkach i prezentach, postanowiła, że spróbuje przekonać proboszcza, żeby pozwolił jej przygotować Krysię.

Zwlekała kilka tygodni: sporo czytała i rozmawiała, ale przede wszystkim się bała.

– To byłby chyba pierwszy taki przypadek w parafii, więc mógłby różnie zareagować – mówi. – Że to nowinkarstwo, protestantyzacja.

Zanim weszła do kancelarii, chodziła tam i z powrotem, powtarzając w myślach argumenty. Że nawet w świetle nauczania Kościoła rodzice są najważniejszymi wychowawcami religijnymi swoich dzieci. Że sporo wie o teologii. Że chciałaby czytać z córką Biblię, a nie powtarzać „Mały katechizm". Że zależy jej, by na uroczystość dotarli dziadkowie. Czego się spodziewała? Argumentu, że komunia powinna się odbyć we wspólnocie. Odpowiedziałaby na to, że religijna wspólnota jest w parafii, a nie w szkolnej klasie.

Czuła się na łasce i niełasce proboszcza. Może się zgodzić, nie musi, a ona nie ma do kogo się odwołać.

– Do rady parafialnej? Do Jędraszewskiego? Wolne żarty – mówi Anna. – Teoretycznie mogłabym pójść do innej parafii, ale tam zażądaliby kartki z okrągłą pieczęcią mojego proboszcza, że wypuszcza Krysię. Miał wszystkie atuty w ręku.

– Niby wiem, że kancelaria wygląda tak, jak wygląda, a ksiądz ma na sobie te wszystkie monarsze szaty, żeby wzbudzić we mnie respekt – ciągnie. – Wiem to, złoszczę się na siebie, ale i tak to wszystko na mnie działa. Kulę się w sobie i czuję się jak mała dziewczynka.

Nieprzyzwoite myśli

– Nakręciłam się, nie było tak źle – przyznaje teraz.

Rozmowa trwała siedem minut. Ksiądz nie miał obiekcji, życzliwie odniósł się do poglądów Anny. Po prawdzie: nie do wszystkich, bo nie wytaczała kompletu przygotowanych armat.

– Zgodził się, żeby Krysia przystąpiła do pierwszej komunii na wybranej przez nas mszy. Wcześniej mamy jeszcze spotkać się z księdzem, żeby sprawdził, czy Krysia wie, że hostia to nie jest zwykły opłatek. Mówił, że prawo kanoniczne tego wymaga. Nie przystał natomiast na zwolnienie jej z religii. Powiedział, że dla innych dzieci byłoby niezrozumiałe, że Krysia przystępuje do sakramentu, ale nie chodzi na katechezę. Przez sekundę wahałam się, czy powiedzieć mu, co sądzę o katechecie i jego metodach. I że może on tego nie wie, ale dzieci rozmawiają między sobą nie o Panu Jezusie, tylko o tym, kto dostanie iPhone'a, a kto drona. Ale odpuściłam. W końcu najważniejszy cel osiągnęłam.

Kiedy rozmawiamy, od spotkania z księdzem minął tydzień. Anna nie sprawia wrażenia kogoś, kto odniósł sukces.

– Coraz częściej myślę o tym jak o zgniłym kompromisie – przyznaje. – Oczywiście, cieszę się, że te wszystkie ustalenia na WhatsAppie już nas nie dotyczą. Ale nie rozumiem wymuszania uczestnictwa w szkolnej katechezie.

Przejrzała podręcznik: ilustracje jak z kolorowanki za 3,99 zł z Lewiatana, chyba co trzecia przedstawia księdza. A treść dotyczy głównie grzechów, ich rozpoznawania i ważenia. I ten język: „nieskromne ubrania", „nieprzyzwoite myśli". Zupełny brak względu na świat emocjonalny dziecka. Tak można ukształtować skrupulanta, który za dziesięć lat wyląduje u psychoterapeuty.

Matka Krysi w siebie wierzy.

– Dam radę – mówi. – Ale jednego w tym wszystkim nie rozumiem. Chcę wychować córkę na chrześcijankę, katoliczkę, ale czuję, że Kościół nie jest z nami, tylko przeciwko nam. ©℗

Imiona bohaterek zostały zmienione.

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Gliwicach Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 121/22 toczy się postępowanie z wniosku Mirosławy Rachubik-Kamińskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Jolancie Marii Furman, c. Edwarda i Leokadii z d. Winiarz, ur. 19 kwietnia 1957 r. w Gliwicach, zm. 23 października 2021 r. w Gliwicach. Ostatnie miejsce zwykłego pobytu spadkodawcy to Gliwice.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Dotrzeć do kresu

ARCHIWUM PRYWATNE

SEBASTIAN KOŁODZIEJCZYK, FILOZOF:

Przez większość trasy pielgrzym mija zamknięte kościoły. Odkrywa, że pielgrzymowanie jest robieniem rzeczy „wbrew", bo tego symbolicznego porządku już nie ma.

KAROL KLECZKA: Ile dni idzie się z Wieliczki do Santiago de Compostela?

SEBASTIAN KOŁODZIEJCZYK: W moim przypadku 90 dni do Santiago i kolejne cztery dni na przylądek Fisterra, nad Oceanem Atlantyckim.

Łączna odległość?

3651 kilometrów, ale to niewiele znaczy. Pokonać taką odległość jest naprawdę łatwo, mimo narastającego zmęczenia i wszechogarniającego bólu.

Co jest trudniejsze?

Znacznie trudniej stanąć twarzą w twarz ze sobą, gdy człowiek znajduje się w sytuacji skrajnego wyizolowania.

Wyszedłeś z domu 9 kwietnia 2022 roku, żeby samotnie dojść na koniec Europy. Skąd Ci się to wzięło?

Oddzieliłbym motywację, dojrzewanie do podjęcia decyzji i samo jej podjęcie. W sumie cały proces trwał od jesieni 2016 roku, od pewnych wydarzeń, które sukcesywnie zaczęły na mnie wpływać (co stało się dla mnie jasne dopiero kilka lat później). Świadomości, że być może będę musiał przemierzyć sam tę drogę, nabrałem, gdy po raz pierwszy, z moim synem, pielgrzymowałem Camino del Norte z Bilbao do Santiago. Decyzję podjąłem w połowie grudnia 2021 roku, a zakomunikowałem ją bliskim i przełożonym na przełomie 2021 i 2022 roku.

Raz przejść nie wystarczyło?

Nie chciałem ograniczyć się do terenu Hiszpanii. Tam droga wsparta jest bardzo dobrą infrastrukturą, siecią schronisk, czyli tzw. alberg. Pielgrzymka staje się czymś w rodzaju obozu wędrownego. Trzeba tylko rano wstać i maszerować kilkanaście czy maksymalnie 30 kilometrów. Zaskakującą konsekwencją jest odcięcie od łask, które płyną z ludzkich serc, a których doświadcza się przemierzając Europę.

Pamiętajmy też, że poza Hiszpanią, być może z wyjątkiem odcinka z Le Puy-en-Velay do Saint-Jean-Pied-de-Port we Francji, osoby postronne najczęściej nie mają pojęcia, że istnieje coś takiego jak Droga św. Jakuba.

Dobrze – ale po co wracać tam, gdzie już byłeś?

Pielgrzymowanie od progów własnego domu to zupełnie inny typ doświadczenia. Nie przejdę drugi raz Camino z domu, nie wiem zresztą, czy w ogóle jeszcze pójdę Drogą św. Jakuba. Choć niektórzy żartują, że istnieje jednostka chorobowa „caminoza". Jedząc w Santiago lancz z innymi pielgrzymami widziałem, jak to wygląda. Oni już planowali nowe przedsięwzięcie.

Dlaczego nie wyruszysz jeszcze raz z własnego domu?

Bo miałbym poczucie, że nadużywam szczodrości i troski ludzi, których spotykam na szlaku, a od których doświadczyłem ogromnego dobra. Na końcu, w Hiszpanii można tego nie zauważyć: szlak wyraźnie wytyczony, właściwie nie można zbaczać i niekiedy idzie się jak w rynnie. Wcześniej jest pod tym względem zupełnie inaczej.

To jak to możliwe, że się nie zgubiłeś?

Czasem świadomie schodziłem ze szlaku. Najdłuższe odcinki pokonywałem w późnych godzinach popołudniowych i wieczornych, czasem szedłem przez las i owszem, zdarzyło mi się zgubić. Trzeba koniecznie mieć GPS, bo oznaczeń nie ma albo jest ich niewiele. Niedaleko mojego domu w Wieliczce przebiega Via Regia, czyli Droga Królewska – dawny szlak handlowy, po którym w średniowieczu poruszali się kupcy, ale również wędrowcy do Santiago. Oznaczenia są rzadko rozsiane. Już po powrocie napotkałem pielgrzyma, który szedł z Medyki do Piekar Śląskich, rozpoznałem go po muszli na plecaku. Gdy zapytałem, co tu robi, przyznał, że zgubił drogę.

Wróćmy do skali dobra. Czy to nie sprzyja popadnięciu w pychę?

Pokusa pychy bierze się z ról społecznych, w których się funkcjonuje na co dzień, a mnie zależało na odcięciu się od nich. Nie mówiłem o sobie, że jestem profesorem uniwersytetu – mówiłem, że jestem pielgrzymem. Rezygnacja z roli to wymagające doświadczenie, bo rola kształtuje nasze życie i poniekąd zwalnia z pytania o to, kim się jest. Można wpaść w złudne przekonanie, że mamy prawo myśleć o sobie jako o kimś lepszym.

Nawet jeśli tak było, to pielgrzym idący z Polski musiał robić wrażenie.

Starałem się z tym nie afiszować. Na początku drogi, przechodząc przez Nowy Jiczyn w Czechach, zatrzymałem się w barze, żeby podładować baterie. Spotkałem dwóch mężczyzn, którzy przyszli na piwo po pracy. Nie mieli pojęcia, że w ogóle jest jakaś Droga św. Jakuba – nie to wzbudziło ich zainteresowanie, natomiast zaciekawiło ich, że ktoś może próbować dostać się na piechotę na koniec Europy, śpiąc po drodze w namiocie (dla mnie to było jedno z podstawowych założeń). Podeszli do mnie jak do wariata, ale obdarzyli zaskakującym dobrem. Jeden z nich dał mi bony na obiady w dowolnym barze czy restauracji na terenie Czech. Chociaż oddałem te bony kilka kilometrów dalej, nie mogłem temu człowiekowi odmówić. Ten gest był dla niego ważny, a podanej ręki nie wolno odtrącić.

Innego dnia, we Francji, rozbiłem namiot pod kościołem kalwińskim, który stoi na szczycie wzniesienia. To są niepewne sytuacje, bo jest się na widoku i można przykuć uwagę policji. O świcie faktycznie miałem odwiedziny. Przyszedł do mnie mężczyzna, lokalny działacz społeczny, i zaprosił na kawę. Na tym – w skrócie – polega to dobro. Słowo, gest, niekiedy dar w różnych postaciach. Co ja wiem na temat pobudek innych ludzi? Gdy wchodzę w kontakt z drugim, nie jest to istotne, podobnie jak nie są istotne moje rozliczne role społeczne, rodzinne i koleżeńskie.

SEBASTIAN KOŁODZIEJCZYK jest filozofem, nauczycielem akademickim, od dwudziestu lat związanym z UJ. Opublikował m.in. „Granice pojęciowe metafizyki" (dwa wydania). W kwestiach wiary i religijności – niewierzący i niereligijny.

Może myśleli, że jesteś w kryzysie bezdomności.

Być może. We Francji i w Hiszpanii spotkałem kilka osób, które żyły z przemieszczania się na szlaku. Miały problemy, które określiłbym jako organizacyjno-życiowe, i uważały, że jeśli będą cały czas w drodze, to doświadczą wolności, ale też wygody.

To jednak przywilej: pozwolić sobie na zniknięcie z pracy na sto dni...

...i jestem za to ogromnie wdzięczny wszystkim, którzy się na to zgodzili. Trudnością, którą wcześniej dostrzegałem w pielgrzymowaniu, jest bycie w wielu światach naraz. W mediach, w kontakcie ze znajomymi, czasem wykonując czynności zawodowe. Wiem, że często po prostu nie jest możliwa taka izolacja, jaką osiągnąłem. A radykalne odosobnienie było drugim z moich kluczowych założeń. Zdawałem sobie sprawę, że każdy rodzaj rozproszenia, takiego jak transmitowanie marszu w mediach społecznościowych, śledzenie wiadomości, a nawet kontakt z bliskimi osobami, będą mnie z drogi spychać i w pewnym sensie niweczyć trud. Podobnie z noclegami – gdybym sypiał na plebaniach czy w klasztorach, byłaby to forma sprzeniewierzenia się przyjętej przeze mnie intencji. Na żadnym etapie (prócz pożaru na szlaku w Hiszpanii) nie korzystałem też ze wsparcia logistycznego, podwózek. To nie jest takie proste, by np. w ulewnym deszczu odmówić podwiezienia, ale mnie chodziło o trzecie ważne założenie.

Jaka była funkcja tych wyrzeczeń?

Może zabrzmi to dziwacznie w ustach filozofa i człowieka racjonalnego, ale powiem tak: ofiary i daru. Będąc sam ze sobą, poza zewnętrzną kontrolą, postrzegałem złamanie zobowiązań, które przyjąłem, jako słabość, a jedną z najważniejszych cech Camino jest przezwyciężanie słabości. Zwłaszcza w wymiarze fizycznym, bo pokonywanie dzień po dniu odległości 40 kilometrów to dla człowieka, którego mierzi sport, prawdziwa mordęga. Zobowiązując się do marszu, przezwyciężyłem słabość, a to było moje narzędzie związane ze złożeniem daru i ofiary.

Ktoś mógłby powiedzieć, że w sumie jest to trekking, którego chciałeś uniknąć!

Jestem daleki od stwierdzenia, że samo przejście Camino było heroicznym czynem, ale też uważam, że nie była to żadna przyjemność. Jeśli chciałbym sobie ją sprawić, to mógłbym pojechać na miesiąc do Oksfordu i zamknąć się w bibliotece, a nie pokonywać 3651 kilometrów. Jednak jeśli się na coś ze sobą umawiasz, to chcesz być wierny sobie – tak do tego podszedłem. Powtórzę też raz jeszcze: droga to nie jest egoistyczne przedsięwzięcie, ale dar i ofiara, które składa się komuś innemu, w różnych wymiarach życia. Jeśli przyjmuje się intencję i za nią podąża, to trzeba dotrzymać słowa.

Komu się ten dar i ofiarę składa?

To pewnego rodzaju nakierowanie strumienia dobra na kogoś innego. Nie wiem, jak to działa, nawet nie wiem, jak i czy to dobro się odbiera. Ale mam głębokie przekonanie, że coś takiego się dokonuje.

Intencja jest wtedy, gdy się daje na mszę w kościele.

Za tym aktem kryje się coś zupełnie innego, bo obejmuje on gest liturgiczny. Ludzie głęboko wierzą, że składając ofiarę, będącą częścią mszy, mogą wyprosić u Boga coś dla kogoś innego; rzadko lub w ogóle nie dają na mszę za siebie samych. Takie postawienie sprawy jest mi obce. Więcej: uważam, że gdybym był człowiekiem religijnym i przemierzał Europę, zawierając z Bogiem transakcję, byłby to z mojej strony instrumentalizm. Niemniej zdaję sobie sprawę, że w wyrzeczeniu, którym jest pielgrzymowanie, zawiera się podobny schemat: pielgrzymowaniem daję coś, co jest niemierzalne i niewyrażalne. W drodze – podkreślę to – jest tajemnica.

Sposób, w jaki opisujesz schemat intencji, zawiera jednak element religijny.

On jest wykorzystywany w religii, natomiast sam z siebie ma charakter uniwersalny i jest częścią ludzkiej natury. Działamy w świecie w intencji różnych ↦

↦ spraw. Często to nie jest instytucjonalizowane czy werbalizowane, często nawet bywa nieuświadomione.

A jednak uparłeś się na Drogę św. Jakuba i mówisz o pielgrzymowaniu – to język religijny!

Pielgrzymowanie jest częścią ludzkiej kondycji. Rozumiane nie religijnie, ale jako przemierzanie drogi życia – zadanej bądź przyjmowanej (inna nazwa na Camino de Santiago to Camino de la Vida – Droga Życia). Że pielgrzymowanie uzyskuje rangę religijną, to inna sprawa. Powstaje pytanie, czy jako ludzie zamykamy metafizyczną domenę doświadczeń i oczekiwań w przestrzeni życia i śmierci, czy też, jak wierzą ludzie religijni, przekraczamy bramy śmierci, by stanąć twarzą w twarz z Bogiem i nowym życiem? Dla mnie ta druga oferta jest nieobecna, ale pierwszą w pełni rozumiem. Nawet jeśli moje ziemskie pielgrzymowanie ma się domknąć śmiercią, nie zmienia to faktu, że zostaję wpisany w ten schemat antropologiczny.

Zidentyfikowanie swoich doświadczeń w jakimś zewnętrznym, istniejącym formacie jest dosyć pierwotną potrzebą. Człowiek poszukuje takich tożsamościowych dookreśleń, co wypływa zwłaszcza w sytuacjach spotkania z drugim. Chociaż nie jestem religijny, zdecydowałem przyjąć przed sobą samym, że jestem pątnikiem, uczestniczę w jakiejś praktyce pokutnej. Wreszcie – potrzebowałem celu, a konkretnie Cabo Fisterra, przylądka na Wybrzeżu Śmierci, czyli miejsca, gdzie kończy się Droga św. Jakuba i gdzie zgodnie z nazwą jest symboliczny koniec ziemi. Tradycyjnie pielgrzymi dokonywali tam obmycia w wodach oceanu, a ja, prócz zjedzenia wielkiego arbuza, wykąpania się w zimnych wodach Atlantyku, zostawiłem też całkowicie zniszczone buty, w których przeszedłem Europę.

Dużo tych symboli. Zastanawiałeś się, jak wiele ustanawiasz sam z siebie, nadając drodze sens?

Myślę, że każdy, kto przemierza drogę, musi to rozeznać. Nigdy niczego nie rozpoczynamy z kartą w pełni czystą. Pewne rzeczy są nam wcześniej dane, ale musimy też wykonać trud nadania znaczenia temu, co robimy. Ja pewnie sporo dałem od siebie. Chciałem najgłębiej jak to możliwe przeżyć drogę, doświadczyć jej bez znieczulenia. Nie chodziło mi wyłącznie o to, że przemieszczam się z jednego końca świata na drugi.

Pielgrzyma prowadzą niewidzialne znaki związane z trudem, cierpieniem, bólem, ale i z radością ze spotkania innych ludzi.

Obok tego są aspekty, które mógłbym określić jako wyraz wspomnianej tajemnicy. Pielgrzyma prowadzą niewidzialne znaki związane z trudem, cierpieniem, bólem, ale i z radością ze spotkania innych ludzi, wdzięcznością za obecność świata roślin i zwierząt. Człowiek patrzy na to i z tej sfery przyrody wyłania się to, co symboliczne. Costa de la Muerte to wybrzeże, a zatem punkt kresu, i w końcowym rachunku droga jest właśnie o takich sprawach – ostatecznych, nie o rzeczach błahych.

Jest wiele miejsc świętych.

Ale Santiago i Wybrzeże Śmierci są tam, gdzie są. Wyznacza je bliskość oceanu, czyli nieludzkiego bezkresu, który w żaden sposób nie odpowiada na naturalne ludzkie potrzeby związane z bezpieczeństwem. Od setek lat ludzie podążają tą drogą i ta tradycja jest darem, z którego skorzystałem. Jeśli pytasz, czemu nie poszedłem do Istambułu albo nie wspinałem się w Himalajach, to odpowiem, że dla mnie to właśnie symbolika Drogi św. Jakuba jest ważna, bo czuję z nią związek. Zresztą w Himalaje nie jeździ się samemu, bo z tyłu masz braterstwo liny. Droga przynagla do tego, by być samemu.

Jak w celi u kamedułów.

Różnica jest kolosalna. W celi samotność jest wynikiem wyboru reguły, która ma całkowicie zewnętrzny charakter, a w przemierzaniu drogi regułę tworzy się samemu i samemu decyduje się, by pozostać jej wiernym. Taka praktyka prowadzi do robienia jakiegoś rachunku sumienia, oczyszczenia.

Ponownie przywołujesz język o konotacjach religijnych.

I nie uciekam od tego. Konotacja chrześcijańska nie jest czymś złym, ale nie trzeba wszystkiego tłumaczyć religijnie, żeby uczestniczyć w procesach takich jak oczyszczenie. To wspólne doświadczenie niezależnie od wiary. Niełatwo znaleźć kategorie alternatywne, które miałyby podobną treść.

Człowiek religijny wcale nie jest w lepszej sytuacji, ponieważ szereg elementów bazujących na transcendencji, odniesieniu do Boga, ma charakter czysto ludzki. Widzę w strukturze religijnej depozyt kultury, funkcję społeczną, powtarzane ludzkie schematy, a obok nich część własnego życia. Ciekawym doświadczeniem podczas drogi było dla mnie obserwowanie powszechnego zanikania kontekstu religijnego. Między Wieliczką a Fisterrą rozciąga się pustynia obojętności. Przez większość trasy pielgrzym mija zamknięte kościoły. Odkrywa, że zanurzenie w przestrzeń symboli drogi jest robieniem rzeczy wbrew, bo tego porządku już nie ma. Nam, w Polsce, może się wydawać, że Kościół jest silny, że ludzie powszechnie praktykują, ale to już relikty. Pozostają symbole i istnienie chrześcijaństwa w ludzkich sercach, w wyciągniętej ręce, sercach niekoniecznie identyfikujących się jako serca chrześcijan, a mimo to dobrych i ofiarnych. Nie trzeba być zatem chrześcijaninem, żeby to dostrzegać.

Dużo mówisz o potrzebie głębokiego przeżywania drogi. Można ją przejść lepiej lub gorzej?

Już na terenie Hiszpanii, za Burgos, spotkałem Włocha, który zapytał o moje doświadczenie, zakładając, że pielgrzymowanie przez tyle kilometrów daje jakąś tajemniczą wiedzę i mądrość. Na początku pomyślałem, że oczywiście zaraz podzielę się wiedzą, jak się rzeczy mają, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Każdy ma swój czas potrzebny do tego, by pokonać swoją drogę. I nie myślę, że jest lepsze czy gorsze przemierzanie pielgrzymiego szlaku, bo to wszystko dzieje się w duchowej przestrzeni człowieka.

Pewnie można byłoby przeżyć to wszystko inaczej, dokonać innych wyborów. Nie mówię, że Droga św. Jakuba to recepta dla każdego, choć każdy może ją pokonać – nawet wychodząc z progów własnego domu. A najbardziej dojmujące jest to, że zarówno symbolicznie, jak i realnie przemierzamy ją każdego dnia – na drodze życia. © Rozmawiał KAROL KLECZKA

WOJCIECH

Bonowicz: *Mobilizacja*

Oto, czego teraz potrzebujemy: mobilizacji. Ci, którzy mają więcej, muszą też więcej poświęcić. Ci, którzy mają mniej, powinni być gotowi podzielić się tym, co mają. Nie, tej zimy katastrofy nie będzie. Nie u nas. Ale musimy się wzajemnie wspierać, bo tylko w ten sposób damy radę pomóc tym, których katastrofa dosięgnie na pewno.

Odkąd Sylwia Chutnik zaproponowała, żeby nasze państwo zmieniło nazwę na „zrzutka.pl", minęło pół roku. A sytuacja, mówiąc eufemistycznie, nie poprawiła się i raczej szybko się nie poprawi. Na wyzwania zewnętrzne – wyjątkowo trudne, nie zaprzeczam – nasz rząd dzielnie odpowiada chaosem wewnętrznym. Chciałbym mieć tak dobry humor, jak pielgrzymujący po kraju prezes rządzącej partii, ale nie mam. Może jak człowiek tak jeździ w konwoju, w opancerzonej limuzynie, i wszędzie go przyjmują jak króla, karmią, obsypują kwiatami, śpiewają mu pieśni, a on nie musi sobie niczym rąk brudzić, dowcip faktycznie się wyostrza. Mnie jednak nie jest do śmiechu. Codziennie spływają do mnie propozycje udziału w kolejnych zrzutkach, zbiórkach i aukcjach. Kolejka osób szukających pomocy w miejscach, z którymi współpracuję, się wydłuża. I wiem, że gdyby nie stała ofiarność moich rodaczek i rodaków, wielu proszących musiałoby odejść z niczym. Pan prezes jeździ, rozbawia i obiecuje – a ludzie, jak słyszą obietnice, to myślą, że już dostali, co im obiecano, i są zadowoleni. Nie muszę dodawać, że coś mi w tym wszystkim nie gra, ale nie gra od tak dawna, że już się przyzwyczaiłem.

Niektórzy twierdzą, że pomaga mniejszość. Że w ogóle mniejszość angażuje się w cokolwiek. No dobrze, ale po pierwsze – jak to zbadać, a po drugie – co z tego miałoby wynikać? Mamy odpuścić? Wycofać się? Mnie się wydaje, że ta mniejszość jest mimo wszystko dość spora. Owszem, są tematy, w których trudniej zmobilizować ludzi do pomocy; byłem niedawno w Zochcinie u siostry Małgorzaty Chmielewskiej i wiem, że bardzo potrzebuje wolontariuszek i wolontariuszy. W ostatnich miesiącach w domach wspólnoty przybyło ludzi, którzy z powodu wieku bądź niepełnosprawności nie są w stanie pracować w gospodarstwie czy nawet utrzymywać porządku wokół siebie. O ręce do takiej pracy zawsze było trudno. Ale domy istnieją, ofiarodawcy się znajdują, powinno się udać przetrwać zimę – jeśli rachunki drastycznie nie podskoczą. Może więc z czasem pojawią się i dodatkowe ręce.

Na moim osiedlu działa stowarzyszenie Latarnia. Wydaje obiady tym, których z różnych powodów nie stać na ciepły posiłek, organizuje zajęcia dla dzieci i seniorów, a na święta przygotowuje kilkaset paczek dla potrzebujących. Wszystko to nie byłoby możliwe, gdyby nie młodzi ludzie, którzy się w tę działalność angażują. Ostatnio wpadli na pomysł niezwykłej licytacji: można np. wylicytować umycie okien w domu jakiejś starszej osoby czy zorganizowanie seniorom wspólnego bingo. Młodzi wolontariusze są chętni, by to zrobić, a wpłacone pieniądze przydadzą się na bieżącą pomoc. Do wylicytowania jest też m.in. zwiedzanie Wawelu, sto rogalików, biżuteria, przetwory domowe, lekcja gry na bębnach czy wycieczka w góry z miejscowym proboszczem. W chwili, kiedy czytacie te słowa, licytacja na Facebooku wciąż trwa, więc można dołączyć; ja licytuję ruskie pierogi.

Piszę o tej akcji dlatego, że takie inicjatywy podnoszą mnie na duchu, mobilizują, więc może zmobilizują również Was. Z mediów najczęściej słyszymy o mobilizacji w kontekście wojny. Albo o mobilizowaniu elektoratu. I dobrze, jest demokracja, elektorat – ważna rzecz. Mnie by się marzyło, żeby mobilizować ludzi do konkretnych działań, a o elektorat po prostu dbać. Nie obiecywać, tylko dbać. No ale to są takie marzenia głupiego, który nie był w stanie obejrzeć nawet jednego sezonu „House of Cards"... Na szczęście ciągle wiele rzeczy zależy od nas. I o wiele zadbać musimy sami. Świadomość, że nie jest nas wcale tak mało w tych staraniach, pomaga ciągnąć to dalej, czyż nie? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nowe „Książki w Tygodniku"

Już w następnym wydaniu o najlepszych tekściarzach w polskiej literaturze, najnowszej prozie science fiction, najciekawszych kryminałach oraz adaptacjach komiksów.

Zapraszamy także na Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie na stoisko „Tygodnika Powszechnego" nr CO.

WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNEREM WYDANIA JEST STOWARZYSZENIE AUTORÓW ZAIKS: zaiks sprzyjamy wyobraźni

„TOMÁŠ” RUSZA NA FRONT

Czesi żartują z Rosji i za pieniądze z publicznej zbiórki kupują Ukraińcom czołg. Ale na ulice wychodzą też zwolennicy zmiany kursu wobec Rosji.

PATRYCJA BUKALSKA

Ponad sto dziesięć tysięcy koron nazbieraliśmy!" – pisze do mnie wcześnie rano Tomáš Kotrouš, student historii i jeden z głównych organizatorów happeningu „*Make Královec Czech Again*" (Przywróćmy Królewiec Czechom), który odbył się dzień wcześniej przed rosyjską ambasadą w Pradze.

Była to, jak podkreśla Kotrouš, akcja satyryczna. Ale już jak najbardziej serio zbierano tam pieniądze dla ukraińskiej armii. W zamian można było dostać koszulkę z przesłaniem dla Putina – podobnym do tego, jakie kiedyś usłyszał kapitan rosyjskiego okrętu wojennego.

Na wakacje do Královca

– To miał być dowcip, wyśmianie nielegalnych rosyjskich referendów na Ukrainie poprzez deklarację, że my przeprowadzimy referendum w sprawie przyłączenia Kaliningradu do Czech – wyjaśnia Kotrouš. Popularność akcji go zaskoczyła: na miejscu stawiło się około trzystu osób, na Facebooku interesowało się nim kilka tysięcy, a relacje trafiły do wszystkich najważniejszych czeskich mediów.

Innych niespodzianek nie było. Zgodnie z przewidywaniami uczestnicy fikcyjnego referendum poparli aneksję Kaliningradu.

Głosowanie zorganizowane przez praskich studentów było kolejną odsłoną żartu, który zaczął żyć własnym internetowym życiem po tym, jak eurodeputowany Tomáš Zdechovský udostępnił na Twitterze mapkę stworzoną przez polskiego internautę pokazującą podział obwodu kaliningradzkiego między Polskę a Czechy – tak, „aby nasi bracia Czesi mieli w końcu dostęp do morza".

Nawet historyczne uzasadnienie się znalazło: Königsberg, po czesku Královec (czyli dosłownie Królewski Gród), założono w 1255 r. i nazwano na cześć czeskiego króla Przemysła Ottokara II, który dowodził zorganizowaną przez zakon krzyżacki wyprawą, mającą podbić te ziemie. Teraz Czesi rzucili się do tworzenia memów i wkrótce Královec miał połączenie kolejowe z Pragą, własną stronę propagującą turystykę, planowano też piłkarskie bałtyckie derby, a po Bałtyku zaczął krążyć czeski pancernik „Vondráčková". W zabawę włączyli się politycy i niektóre instytucje państwowe.

Walczymy także humorem

„Czesi to śmiejące się bestie – stwierdzili organizatorzy happeningu przed ambasadą Rosji. – Nie mamy wielkiej armii ani broni jądrowej, ale mamy poczucie humoru". Określenie „śmiejące się bestie" przypisuje się Reinhardowi Heydrichowi, który podczas II wojny światowej pełnił funkcję niemieckiego namiestnika Protektoratu Czech i Moraw. Miał trzymać Czechów w ryzach, a zginął w wyniku zamachu przeprowadzonego przez ruch oporu.

– Czesi zawsze śmieją się z tego, co najgorsze, w ten sposób są w stanie to najgorsze znieść – mówi „Tygodnikowi" Tomáš Kotrouš . I dodaje: – Wyśmianie reżimu czy dyktatora to najlepszy sposób, by nie traktować go poważnie.

Studencka akcja „Královec", przeprowadzona z lekkością i humorem, nie tylko przypomniała, że rosyjskie aneksje są nielegalne, ale pokazała też ich absurd.

– Czesi nie walczą siłą, ale humorem – mówi także socjolog Nikola Hořejš z ośrodka badania opinii publicznej STEM. – Boimy się, by nie prowokować Rosji, ale Královec jest humorystycznym sposobem walki, którego się nie boimy.

Na marginesie královeckiego uniwersum warto przypomnieć, że Czesi mają wprawę w tworzeniu realistycznych fikcji. Np. w ankiecie na największego Czecha w historii miał wygrać Jára Cimrman, fikcyjny dramatopisarz i wynalazca. Jego imieniem nazwano kilka ulic, powstają o nim prace naukowe i filmy dokumentalne. Nie jest zaskoczeniem, że – jak donosi teraz Twitter – Cimrman urodził się w Královcu.

Zrzutka na czołg

Żarty na bok – Czesi pomagają też Ukrainie na serio i konkretnie.

Zrzucili się na przykład na czołg dla ukraińskiej armii. Potrzebne 33 mln koron (6,5 mln zł) zebrali w niecały miesiąc. Zmodernizowany czołg T-72 Avenger, któremu nadano imię „Tomáš" (na pamiątkę Tomáša Garrigue Masaryka, pierwszego prezydenta suwerennej Czechosłowacji), niedługo ruszy na wschód. Minister obrony Jana Černochová żartowała, że to odpowiedni prezent dla Putina, który niedawno obchodził 70. urodziny.

Teraz na stronie internetowej „Dárek pro Putina", która działa niemal od początku inwazji i wspiera ukraińską armię (pozyskane środki są przekazywane ukraińskiej ambasadzie, a ta kupuje wyposażenie dla żołnierzy), trwa zbiórka na amunicję dla „Tomáša".

Czołg „Tomáš" to oddolna pomoc, ale Ukrainie od początku pomaga też państwo. Czechy były wśród pierwszych krajów, które przekazały jej czołgi, już w kwietniu. Rząd Petra Fiali ma w tej kwestii jednoznaczne stanowisko. Instytut Światowej Gospodarki z Kilonii szacuje, że wojskowa pomoc Czech sięga 0,3 mld euro (dla porównania: znacznie bogatsze Niemcy przeznaczyły 0,7 mld euro, a Francja 0,2 mld).

„To nie nasza wojna"

Nie wszyscy jednak myślą tak, jak premier Fiala czy student Kotrouš i jego przyjaciele.

We wrześniu dwukrotnie na ulice Pragi wyszli ludzie, by protestować – formalnie z powodu rosnących kosztów życia, ale *de facto* przeciw proukraińskiej polityce rządu, postrzeganej przez protestujących jako przyczyna wzrostu cen. W pierwszej demonstracji w Pradze uczestniczyło ok. 70 tys. osób, w drugiej nieco mniej, ale wciąż kilkadziesiąt tysięcy. Za drugim razem protesty organizowano też w innych miastach, m.in. Brnie i Pilźnie.

Protesty odbyły się pod hasłem „Czechy na pierwszym miejscu", przypominającym trumpowskie „*America First*". Można je określić jako antyrządowe czy wręcz antysystemowe: uczestnicy to zarówno skrajna prawica, jak i komuniści, antyszczepionkowcy i wyznawcy teorii spiskowych. Choć premier Fiala mówił, że demonstrację zwołały siły prorosyjskie, a nawet określił organizatorów jako „rosyjską piątą kolumnę", to jednak byłoby uproszczeniem określić tak wszystkich jej uczestników.

Kim zatem są? – Łączy ich brak zaufania do rządu i do demokracji, wielki strach spowodowany wzrostem cen energii i inflacją, teorie spiskowe, poglądy antyunijne. Nie można powiedzieć, że wszyscy są przeciwnikami NATO i zwolennikami Rosji. Organizatorzy są wprawdzie prorosyjscy, ale uczestnicy nie chwalą Putina, nie chcą, by Rosja wygrała z Ukrainą – uważa dr Nikola Hořejš. – Zresztą ludzi, którzy ↦

Demonstracja Czechów i Ukraińców na placu Wacława przeciw rosyjskim nalotom na ukraińskie miasta. Praga, 11 października 2022 r.

MICHAELA RIHOVA / CTK / PAP

↦ mają takie poglądy, jest w kraju niewielu. Według naszych badań to ok. 4 proc. i ten odsetek się nie zmienia.

Protestujący domagali się dymisji rządu i podjęcia negocjacji z Rosją w sprawie dostaw taniego gazu. Deklarowali, że chcą pokoju, a wojna w Ukrainie to „nie nasza wojna".

– Chcieliby, żeby Republika Czeska ogrodziła się płotem i nie musiała rozwiązywać problemów świata – mówi Hořejš.

Czeski przypadek

Gwałtownie rosnące ceny energii i koszty utrzymania, inflacja, obawa przed nadchodzącą zimą – to nie są tylko czeskie problemy. Odczuwają je mieszkańcy chyba każdego europejskiego państwa i w każdym władze muszą się z tym obawami – w znacznym stopniu uzasadnionymi – zmierzyć.

Na tym tle przypadek Czech jest o tyle ciekawy, że takim strachem napędzają się przede wszystkim ugrupowania i ruchy będące na skraju lub wręcz poza sceną polityczną – poza zasiadającą w parlamencie populistyczną partią Wolność i Demokracja Bezpośrednia (SPD) Tomio Okamury, ale ona organizuje własne demonstracje.

– Lęku wywołanego wojną, ale głównie cenami i inflacją doświadcza co najmniej jedna trzecia Czechów, a prawie połowa ma związane z tym pewne obawy. Ale gdy demonstrację zorganizowały związki zawodowe, w Czechach dość słabe, frekwencja była niska. Antysystemowe i marginalne ruchy stworzyły dużo kanałów w mediach społecznościowych jeszcze w czasach protestów antyszczepionkowych i teraz przestawiły je na protesty antyrządowe – ocenia Nikola Hořejš.

– Choć parlamentarne partie opozycyjne ANO i SPD flirtują z podobnym kierunkiem, próbują go wykorzystać i dotrzeć do podobnych ludzi, to nie mogą z nimi konkurować pod względem radykalności czy konspiracjonizmu – dodaje socjolog.

Słowem: ulicę przejęli radykałowie.

Kapitał lęku

Pod koniec września w Czechach odbyły się wybory samorządowe i częściowe wybory do Senatu (co dwa lata wymieniana jest jedna trzecia tej wyższej izby parlamentu). Andrej Babiš – były premier i lider największej partii opozycyjnej ANO – chciał, aby głosowanie to stało się testem popularności rządu. Jednak w wyborach do Senatu koalicja rządząca obroniła swoją pozycję.

Natomiast w wyborach lokalnych zabrzmiał dzwonek alarmowy: liczbę radnych trzykrotnie zwiększyła skrajna i ksenofobiczna SPD (ugrupowanie postulujące m.in. wyjście Czech z NATO). Teraz SPD będzie miała swoich ludzi w radach wszystkich miast wojewódzkich, również w Pradze.

Kolejne wybory, tym razem prezydenckie, czekają Czechów w styczniu 2023 r. Parlamentarne powinny się odbyć w 2025 r. i do tego czasu wiele może się zdarzyć. W poprzednich wyborach do parlamentu na partie skrajne i radykalne, jak właśnie SPD czy komuniści (ci nie przekroczyli jednak progu wyborczego), oddano w sumie ponad 17 proc. głosów.

Jest to więc duża grupa wyborców, z których wielu może czuć, że teraz nie są reprezentowani. Pytanie, czy organizatorzy ostatnich protestów mogą tę frustrację przetworzyć w polityczną siłę.

– Takie demonstracje mogą wpłynąć na to, gdzie przesunie się ANO, SPD i inne podobne partie. Spójrzmy na kryzys migracyjny z roku 2015: najpierw antymuzułmańską histerię podchwyciły siły marginalne, które dziś już nawet nie istnieją. Ale one przyczyniły się do powstania SPD, a do pewnego stopnia także ANO. Atmosferę strachu przemienili w polityczny kapitał – przypomina Hořejš.

Socjolog zaznacza jednak, że radykalne żądania i slogany nie wystarczą, bo potrzebne są także finanse, media i zdolność organizacyjna. – Tego radykalne siły w Czechach nie mają – podkreśla Hořejš.

Zbiórka „Tygodnika" dla ukraińskich obrońców

„SĄ PILNE POTRZEBY. Nadeszła jesień, chłody. Mamy prośby z frontu. Pomożecie? Będziemy wdzięczni za cokolwiek" – pisze do nas Ihor, znajomy ukraiński wolontariusz. Między rodzinnym Lwowem a frontem Ihor krąży nieustająco. Ostatnio dla żołnierzy, którzy są na frontach pod Iziumem i Chersoniem, zawoził specjalistyczne apteczki taktyczne: podarowane przez uniwersytet w Akwizgranie, z naszą pomocą trafiły na Ukrainę zachodnią, a potem dalej, dzięki takim ludziom jak Ihor. Wiemy, że ratowały życie konkretnym osobom. Chcemy odpowiedzieć na prośbę Ihora – i na podobne prośby, jakie docierają do nas także od innych wolontariuszy, którzy pomagają ukraińskim obrońcom.

Drogie Czytelniczki, Drodzy Czytelnicy: prosimy Was o takie konkretne rzeczy:

- termobielizna (rozmiary duże i średnie)
- ciepłe śpiwory
- materace / karimaty
- polary (ciemne kolory)
- ciepłe skarpety
- czapki ciepłe (ciemne kolory)
- buty wodoodporne (typu wojskowego lub turystycznego)
- kurtki ciepłe (typu wojskowego; można je dostać w sklepach z demobilem).

Dary można przynosić do redakcji lub przysyłać do nas pocztą (można też, gdyby ktoś chciał, dołączyć np. pocztówkę czy rysunek – to także może pomóc, podnieść na duchu).

Nasz adres:
„Tygodnik Powszechny", ul. Dworska 1C/ LU 3-4
30-314 Kraków

Natomiast zbiórka pieniężna, o którą pytało wielu Czytelników, organizowana jest przez:

Fundacja S.O.S. Ukraina
Numer KRS: 0000962758
Adres: ul. Wspólna 2 G, 35-205, Rzeszów

Numery kont (Bank PKO BP):
Złotówki: 28 1020 4391 0000 6102 0217 8408
Euro: PL 57102043910000680202178416
Dolary: PL 62102043910000660202178424
Funty: PL 67102043910000640202178432

Koniecznie z tytułem przelewu:

Akcja Tygodnika Powszechnego

Bardzo dziękujemy za przekazane już rzeczy i wpłaty!

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Wierzę, że wytrwamy

Zdaniem komentatorów przyszłość rządu Fiali zależy od tego, jak poradzi sobie z kryzysem energetycznym. Na razie, podobnie jak w innych krajach, wprowadzono limit wzrostu cen energii.

Jeśli chodzi o wsparcie dla Ukrainy, tutaj stanowisko rządu się nie zmieni – za to mogą się zmienić nastroje społeczne. I znów zasadnicze znaczenie może mieć sytuacja na rynku energetycznym i zahamowanie (lub nie) wzrostu kosztów utrzymania. Bo o ile na początku rosyjskiej inwazji ludzie bali się głównie zagrożenia militarnego, to teraz bardziej boją się właśnie rosnących cen i skupiają na problemach dnia codziennego.

– Zasadniczo jesteśmy po stronie Ukrainy, ale pada pytanie o siłę tego poparcia – wskazuje Hořejš. – Boimy się pomagać ukraińskim uchodźcom, żebyśmy sami nie zubożeli.

Faktycznie, coraz częściej pojawiają się narzekania na koszty pomocy dla uciekinierów i to także wykorzystują organizatorzy protestów. „Republika Czeska potrzebuje czeskiego rządu. Gabinet Fiali jest może ukraiński, a może brukselski, ale na pewno nie czeski" – wołała na demonstracji Zuzana Majerová Zahradníková, liderka skrajnie prawicowej i eurosceptycznej partii Trikolora. Kolejne protesty zapowiedziano na 28 października, w święto państwowe (odpowiednik polskiego 11 listopada).

Tomáš Kotrouš jest jednak optymistą, jeśli chodzi o poparcie Czechów dla Ukrainy.

– Nie zapomnieliśmy, co Rosjanie nam zrobili w roku 1968 – mówi, przypominając inwazję wojsk Układu Warszawskiego, która zdławiła ówczesną próbę reformy systemu komunistycznego. – Ta trauma okupacji nadal jest odczuwalna.

– Pamięć o roku 1968 to jedna sprawa – dodaje Kotrouš. – A druga... Cóż, na początku pandemii wszyscy pomagali sobie nawzajem, a potem to osłabło. Z pomocą dla Ukrainy może być podobnie. Myślę jednak, że większość ludzi w Czechach nie zmieni poglądu na pomoc Ukraińcom, bez względu na kryzys energetyczny. Wytrwamy. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

PAŃSTWOWE GIMNAZJUM POLSKIE IM. J. PIŁSUDSKIEGO W DAUGAVPILS X2

Półkolonie z nauką języka polskiego w Państwowym Gimnazjum Polskim im. J. Piłsudskiego w łotewskim Dyneburgu, czerwiec 2019 r.

Ścięta klasa

TOMASZ OTOCKI Z KOWNA

Głośno zrobiło się znowu o polskiej oświacie w krajach bałtyckich. Na Litwie trwają protesty, na Łotwie wyczekiwanie.

Polskie szkoły na Wileńszczyźnie od lat są oczkiem w głowie polityków z Warszawy. Już niejeden raz protestowali przeciwko, jak mówili, dyskryminacji mniejszości polskiej na Litwie – najaktywniej w czasie rządów Platformy Obywatelskiej.

Wtedy to, w 2011 r., do litewskiego Sejmu trafił projekt ustawy o reformie oświatowej, która miała zwiększyć liczbę przedmiotów wykładanych po litewsku. Akcja Wyborcza Polaków na Litwie – ugrupowanie wówczas opozycyjne do rządzących litewskich konserwatystów (pod tym względem podobnie jest i dziś) – zebrała 60 tys. podpisów pod protestem przeciw nowemu prawu. Protest był nieskuteczny: Sejm uchwalił ustawę, co na wiele lat zamroziło stosunki między Warszawą i Wilnem.

Protesty przeciw ograniczaniu polskiego szkolnictwa dostarczyły za to Akcji politycznego paliwa, dzięki czemu udało jej się rok później – po raz pierwszy w jej historii – przekroczyć próg 5 proc. i wejść do parlamentu. W litewskim Sejmie partia spędziła dwie kadencje, dwa razy wchodziła w skład rządów, miała swoich ministrów.

Odgrzewany kotlet?

Dziś Akcja, która w swej historii miała słodko-gorzkie relacje z rządami w Warszawie (choć zakrawa to na paradoks, lepsze z PO, a gorsze z PiS; za rządu PiS zaczęła się walka ze środowiskiem jej lidera Waldemara Tomaszewskiego, postrzeganego jako polityk prorosyjski), jest w znacznie gorszej sytuacji.

Jesienią 2020 r. ugrupowanie wypadło z Sejmu, a słupki sondażowe odtąd nie wzrosły. Tymczasem powoli zbliżają się wybory samorządowe. Ostrożne do nich przygotowania – kandydatów na merów wciąż nie ogłoszono – zbiegają się z protestami przeciw likwidacji polskich szkół w rejonie (powiecie) trockim, gdzie prawie jedna trzecia mieszkańców to Polacy.

Choć krytycy poczynań Akcji (od 2016 r. występuje ona pod nazwą Akcja Wyborcza Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich Rodzin) twierdzą, że walka o polskie szkolnictwo na Wileńszczyźnie to „odgrzewany przedwyborczy kotlet", który ma zwrócić uwagę społeczności polskiej na działalność mniejszościowych aktywistów – to losu polskiej edukacji na Litwie nie można lekceważyć.

To dzięki istnieniu polskich szkół w litewskiej republice sowieckiej tutejszym Polakom udało się zachować, gorzej lub lepiej, język polski. Zupełnie inaczej niż ↦

↦ w sąsiedniej republice, sowieckiej Łotwie, która szkolnictwo polskie zlikwidowała całkowicie w 1949 r. Dlatego dziś większość etnicznych Polaków znad Dźwiny nie mówi po polsku.

Samorząd reorganizuje

– Nie widzę możliwości kompromisu z władzami rejonu trockiego – mówi mi Jarosław Narkiewicz, były poseł i minister, działacz AWPL-ZChR, szef oddziału trockiego Związku Polaków na Litwie.

– Dzieci w klasach jedenastej i dwunastej wciąż się uczą, choć oficjalnie nie powinny. Jest to tymczasowe rozwiązanie, nauczyciele nie otrzymują wynagrodzenia za naukę w tych klasach – zdradza mi Renata Krasowska, dyrektorka polskiej szkoły w Połukniu w rejonie trockim. To właśnie te dwie klasy miały zostać „ścięte".

Sytuacja polskich szkół w tym rejonie zmieniła się na początku tego roku, gdy AWPL-ZChR wyszła z koalicji po przegranych przedterminowych wyborach na mera rejonu trockiego. Wcześniej funkcję wicemera, pilnującego spraw polskiej społeczności, pełniła przez kilka lat Maria Pucz – dziś na śmierć i życie walcząca na Facebooku ze swoimi byłymi koalicjantami.

Już wiosną, 30 marca, przez gmachem litewskiego rządu odbył się wiec protestu przeciwko, jak podali organizatorzy, „nacjonalistycznej polityce partii liberałów i konserwatystów, w obronie polskiego Gimnazjum w Połukniu i polskiej Szkoły Podstawowej w Starych Trokach". Zorganizował go Związek Polaków na Litwie, kierowany przez Waldemara Tomaszewskiego – będącego jednocześnie europosłem i szefem AWPL-ZChR.

Powodem demonstracji były decyzje samorządu trockiego, który postanowił zreorganizować dwie polskie szkoły w rejonie trockim. Miały zostać przekształcone w filie innych szkół, a więc zdegradowane do niższego poziomu. Polska społeczność rejonu trockiego zaprotestowała. Wielu z Polaków dopatruje się w tym planu zniszczenia w ogóle polskiej oświaty na Litwie.

Obiektywnie rzecz biorąc, od lutowej rosyjskiej inwazji na Ukrainę Litwa nie podjęła na poziomie centralnym żadnych kroków, by ograniczyć działalność oświaty mniejszości narodowych. Pomysł części konserwatystów, by w klasach gimnazjalnych nauczać – wzorem sąsiedniej Łotwy – w proporcji 60:40 na korzyść języka państwowego, nie spotkał się z sympatią premier Ingridy Šimonytė i obecnie nikt już o nim nie pamięta, może poza litewskim sejmowym radykałem Laurynasem Kasčiūnasem.

– Chodzi o stosunki z Polską. Rząd konserwatystów i liberałów nie zamierza ich psuć, nie będzie zatem wzorem Łotwy uderzał w oświatę mniejszości. Na tym korzystają zresztą litewscy Rosjanie, którzy wciąż mogą uczyć się w szkołach po rosyjsku – mówi mi Denis Paraskiewicz-Kiszyniewski, rosyjskojęzyczny dziennikarz z Kłajpedy.

Na Łotwie jest inaczej

Na sąsiedniej Łotwie jest inaczej. Na początku września, tuż przed łotewskimi wyborami parlamentarnymi, tutejszy Sejm przygotował „prezent" dla miejscowych Rosjan i przyjął ustawę o całkowitym przejściu szkół mniejszości narodowych – od 2004 r. nauczających w trybie dwujęzycznym – na język państwowy. W efekcie nad Dźwiną – odwrotnie niż na Litwie – polskie szkoły, które istnieją dopiero od 1991 r. (są cztery: w Rydze, Dyneburgu, Rzeżycy i Krasławiu), mogą otrzymać cios rykoszetem.

Gdy Łotysze postanowili rozprawić się ostatecznie ze szkołami mniejszości, Warszawa nie protestowała oficjalnie – inaczej niż w przypadku Litwy (niedawno podczas Warsaw Security Forum o polskich szkołach przypomniał Ingridzie Šimonytė premier Mateusz Morawiecki, a wcześniej minister Zbigniew Rau prosił swojego odpowiednika Gabrieliusa Landsbergisa o interwencję u mera rejonu trockiego w sprawie polskiego gimnazjum w Połukniu). W tym przypadku Polska podjęła inną taktykę: zakulisowych rozmów z władzami Łotwy.

To kolejna już reforma szkolnictwa mniejszości na Łotwie – pierwsza taka odbyła się w 2004 r., druga w 2018 r. W tym drugim przypadku odwiedzający wtedy Dyneburg prezydent Andrzej Duda mówił do lokalnych Polaków: „Prezydent Łotwy zapewnił mnie, że reforma nie wpłynie na polską oświatę. Gdyby jednak coś złego się działo, informujcie mnie".

Andrzej Duda miał podstawy do optymizmu. Teoretycznie szkoły polskie na Łotwie działają na zasadzie porozumienia między ministerstwami oświaty obu krajów, a więc ich los może być nieco łagodniejszy niż tych rosyjskich. W dodatku, jak informują mnie dyrektorki polskich

szkół w Rydze i Dyneburgu, Terēza Dinula i Halina Smułko, obie szkoły opracowały program autorski, który powinno zatwierdzić Ministerstwo Oświaty i Nauki w Rydze. Jeśli to zrobi, uda się zachować dotychczasową liczbę godzin języka polskiego. Która jest zresztą o wiele mniejsza niż na sąsiedniej Litwie.

Dwie godziny to za mało

W zapewnienia dyrektorek nie wierzy Tomasz Jundo, Polak z Rygi. Jundo pochodzi z Wileńszczyzny i, jak mówi, dobrze pamięta swoją tamtejszą szkołę, gdzie prawie wszystkie przedmioty były wykładane po polsku (na Łotwie byłaby to wtedy, a tym bardziej teraz, herezja).

Jeszcze niedawno Jundo posyłał dwójkę dzieci do polskiej szkoły średniej imienia Ity Kozakiewicz w Rydze. Rok temu napisał alarmujący tekst, zlekceważony w mediach, o tym, co dzieje się w tej placówce. „Liczba lekcji wykładanych w języku polskim w szkole średniej zmniejszyła się w ciągu dwóch lat przeszło o połowę. Wprowadzone w 2020 roku przez rząd Łotwy regulacje w sektorze oświaty uderzają przede wszystkim w nauczycieli z Polski. Zakaz pełnienia przez nich funkcji wychowawców, zmniejszenie liczby lekcji wykładanych po polsku z pewnością wpłynie za-

Zakończenie roku szkolnego w Gimnazjum Polskim im. J. Piłsudskiego w Dyneburgu, 2016 r.

równo na poziom edukacji, ale też atrakcyjność i konkurencyjność szkoły" – pisał na portalu Inbaltic.lt.

Teraz w rozmowie z „Tygodnikiem" Jundo mówi otwarcie: – Dwie godziny języka polskiego tygodniowo w ósmej klasie to stanowczo za mało. A innych atutów polska szkoła w Rydze niestety nie ma. Jest to *de facto* szkoła łotewska, a polski jest wykładany jako język obcy.

Z Tomaszem Jundą, który jako jeden z nielicznych rodziców rozmawia w domu po polsku, nie zgodziłaby się pewnie duża część nauczycieli i rodziców, dla których sam fakt istnienia polskiej szkoły jest już dużą wartością – skoro, jak wspomnieliśmy, w latach 1949-90 w Rydze w ogóle nie było polskiej edukacji.

W podobnym duchu co Jundo wypowiada się jednak były dyrektor Krzysztof Szyrszeń, który „z katolickiej szkoły, w której dzieciaki rozmawiają na przerwach po rosyjsku", chciał zrobić placówkę „polską z ducha". Jednak w zeszłym roku został odwołany – jak twierdził, „z powodów politycznych", bo zbyt duża część nauczania była prowadzona po polsku. Taka jest wersja dyrektora; pracownicy polskiej ambasady przedstawiają sprawę nieco inaczej. Jednak nikt z polskiej placówki dyplomatycznej nie chciał z nami oficjalnie rozmawiać, choć prosiliśmy o komentarz do ustawy uchwalonej przez Sejm we wrześniu.

Goodbye, polska szkoło?

Tymczasem na Litwie problemem nie są proporcje językowe w nauczaniu, lecz spadająca liczba szkół, często położonych w bardzo małych miejscowościach.

Od lat niezależni dziennikarze na Litwie pytają także o jakość nauczania w języku polskim. Działacze polscy unikają tego tematu: na portalu l24.lt, który jest organem partii AWPL-ZChR, możemy przeczytać, że „celem władz Litwy jest zlikwidowanie bądź zdegradowanie do niższego szczebla kilkunastu szkół polskich w rejonach wileńskim, solecznickim i trockim, w tym ośmiu gimnazjów".

Polemizuje z tym jeden z Polaków związany z obecną władzą litewską, który woli pozostać anonimowy. Mówi mi wprost: – Jaki jest sens utrzymywania takich szkół? Niech dzieciaki uczęszczają do lepszych i większych placówek w innych miejscowościach, wtedy mają większe szanse na rozwój. Pod warunkiem, że zostanie zapewniony transport.

Z tym poglądem nie zgadza się z kolei dziennikarka litewskiego nadawcy publicznego LRT Anna Grygojć: – Walka o małe szkoły ma sens. Trzeba pamiętać, że szczególnie w niewielkich miejscowościach szkoła ma szerszy zakres odpowiedzialności społecznej. Wiele rodzin we wsiach boryka się z poważnymi trudnościami i taka szkoła, o ile nauczyciel sumiennie i z sercem wykonuje swoją pracę, daje uczniowi dodatkową szansę na lepszą przyszłość.

– Klasy są w takich szkołach małe, co pozwala pedagogowi więcej widzieć i słyszeć, czy dziecko jest najedzone, czy się wyspało, czy ma przynajmniej minimalne warunki do nauki w domu, jak można pomóc, jeżeli jest taka potrzeba – dodaje dziennikarka.

Szkoły polskie na Litwie – niezależnie czy w Wilnie, czy w rejonie solecznickim, gdzie rządzi polska partia – mają jednak również inne problemy.

– Nauczycieli Polaków brakuje, polskie szkoły zatrudniają coraz więcej nauczycieli Litwinów. Polscy działacze problemu nie widzą, a on jest. Za dekadę w polskich szkołach 50-60 proc. pedagogów stanowić będą Litwini nauczający w języku litewskim, bo polskiego nie znają. Goodbye, polska szkoło – mówi „Tygodnikowi" redaktor naczelny portalu Inbaltic.lt Witold Janczys.

Ocaleją, ale...

Nawet jeśli liczba szkół polskich na Litwie spadnie, pozostanie ona państwem, które oferuje polskiej mniejszości najlepsze warunki do edukacji (może obok Czech). W dużej mierze dlatego, że społeczność polska liczy 200 tys. osób, zamieszkuje zwarty teren, a nad wszystkim czuwa państwo polskie, które reaguje każdorazowo, gdy dzieje się coś złego.

Na Łotwie polskie szkoły też prawdopodobnie ocaleją, ale raczej będą to szkoły łotewskie z pewnymi elementami polskimi. Bardzo ubolewał nad tym zmarły w zeszłym roku działacz polonijny z Rygi Zbigniew Mieszkowski. – To nie jest normalne, że większości przedmiotów w polskiej szkole naucza się po łotewsku. Nie tego chciała Ita Kozakiewicz, założycielka i pierwsza prezeska Związku Polaków – skarżył mi się w 2020 r.

Kraj nad Dźwiną nie skupia jednak tak bardzo uwagi polityków z Warszawy. Łatwiej krytykować im to, co dzieje się na Wileńszczyźnie. © TOMASZ OTOCKI

FABRICE COFFRINI / AFP / EAST NEWS

Referendalny plakat przeciwników reformy emerytalnej. Lozanna, Szwajcaria, 28 sierpnia 2022 r.

Równouprawnienie po szwajcarsku

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU

Kobiety w Szwajcarii będą przechodziły na emeryturę w tym samym wieku, co mężczyźni. Tak zdecydowała demokratyczna większość. Ale nie kobiet.

Przed dworcem głównym w Bernie przechodnie z trudem przeciskają się przez tłum stojących razem kobiet. Poniedziałek to nie jest w Szwajcarii zwyczajowy dzień na organizowanie demonstracji. Chyba że na ulice spontanicznie wypycha kogoś gniew. Zgromadzone na dworcowym placu kobiety trzymają samodzielnie wymalowane transparenty i nie kryją emocji: „Jesteśmy wściekłe".

Dzień wcześniej demokratyczna większość zdecydowała w referendum o wydłużeniu im pracy o rok. Od teraz, aby przejść na emeryturę, będą musiały – tak jak mężczyźni – pracować do 65. roku życia. – To jest policzek wymierzony w twarz wszystkich kobiet – komentuje wyniki referendum organizatorka demonstracji Tamara Funiciello, parlamentarzystka i wiceprezeska sekcji kobiet Socjaldemokratycznej Partii Szwajcarii.

Temat zrównania wieku emerytalnego, ostatecznie rozstrzygnięty głosami obywateli i obywatelek, podzielił Szwajcarię prawie na pół. Prawie, bo zwolennicy przeważyli referendalną szalę niewiele ponad 30 tysiącami głosów (50,5 proc.).

Natomiast gdyby adwokatkami we własnej sprawie były same kobiety, reforma przepadłaby z kretesem: odrzuciło ją aż dwie trzecie głosujących obywatelek. Podobny odsetek mężczyzn był na „tak". Jeszcze nigdy w historii demokracji bezpośredniej (kobiety mogą tu głosować dopiero od 1971 r.) nie ujawniła się w Szwajcarii tak głęboka genderowa przepaść, jeśli chodzi o wizję przyszłości kraju.

Tamara Funiciello, tak jak i setki kobiet zgromadzonych na placu w Bernie, jest rozczarowana wynikiem referendum i uważa, że „przegłosowali nas biali, starzy, bogaci mężczyźni".

Pierwsze próby zrównania

Szwajcaria była do tej pory jednym z niewielu państw należących do Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD; skupia ona kraje rozwinięte i demokratyczne), w których nie ma równego dla wszystkich wieku emerytalnego; należy do nich także Polska.

Kiedy w 1948 r. utworzono tutaj pierwszy, państwowy filar emerytalny, wiek przejścia na zawodowy odpoczynek wynosił 65 lat dla obu płci. Później obniżono go dla kobiet do 63., a następnie do 62. roku życia. Rząd argumentował wówczas, że kobiety są bardziej obciążone obowiązkami pozazawodowymi, więc wytchnienie od pracy należy im się wcześniej. Nieoficjalnie zaś mówiło się, że mężczyźni zadecydowali o tej zmianie dla własnego dobra, aby – często starsi od swoich żon, przyzwyczajeni do ugotowanych obiadów

i posprzątanych mieszkań – nie musieli spędzać emerytury samotnie.

Dopiero reforma z 1997 r. uwzględniła stopniowe podnoszenie wieku emerytalnego kobiet do 64. roku życia. Późniejsze próby jego zrównania z wiekiem mężczyzn napotykały stanowcze „nie" obywateli. Na pewien czas temat ucichł. Aż do momentu, kiedy prognozy wydolności państwowego fundamentu systemu emerytalnego nie pozostawiały już żadnych wątpliwości, że pilnie potrzebne są zmiany.

Pożar w krainie seniorów

To, że Szwajcaria się starzeje, a składki płacone przez osoby pracujące nie nadążą za rosnącymi świadczeniami emerytalnymi, wiadomo nie od dziś. Na koniec roku 2021 w tym 8,5-milionowym kraju żyło już ponad 1,6 mln seniorów, czyli osób powyżej 65. roku życia. Nigdy wcześniej nie było ich aż tylu. Szacuje się, że w kolejnych latach, w związku z przejściem na emeryturę pokolenia tzw. baby boomu, w państwowym systemie emerytalnym powstanie dziura wielkości kilku miliardów franków rocznie.

Za tymi alarmującymi wyliczeniami szły coraz to nowe pomysły, jak uratować przyszłe emerytury Szwajcarów. Reforma pierwszego filaru to temat pełzający w tutejszej polityce od lat, jednak w kraju, w którym ostatni głos mają zawsze obywatele głosujący w referendum, nie jest łatwo pogodzić sprzeczne interesy i wypracować kompromis. Zwłaszcza, jeśli sprawa – czyli w tym przypadku bezpieczeństwo finansowe – dotyczy wszystkich.

Najmniej bolesnym dla podatników, a skutecznym – przynajmniej doraźnie – rozwiązaniem miała być przyjęta właśnie w referendum podwyżka podatku VAT oraz właśnie późniejsze przechodzenie na emeryturę kobiet. Rząd nie przewidział jednak tego, że planując odciążenie systemu o ponad 6 mld franków do 2032 r., przebije narastający od lat balon frustracji kobiet, walczących o równouprawnienie na rynku pracy.

Równość to nie równouprawnienie

W konstytucji Federacji Szwajcarskiej od połowy lat 90. XX w. widnieje zapis o równouprawnieniu płci. Jednym z praktycznych następstw tej gwarancji jest zabezpieczenie świadczeń emerytalnych kobiet. Szwajcarki długo walczyły o kompensację luk w składkach, spowodowanych przerwami w pracy m.in. na czas opieki nad dziećmi, czy o zabezpieczenie na wypadek rozwodu lub śmierci lepiej zarabiającego partnera. Dzięki temu, mimo że pracują krócej i wpłacają do państwowej kasy mniej, z pierwszego filaru emerytki otrzymują dzisiaj podobnie wysokie świadczenie jak emeryci.

Wydawałoby się, że na drodze do równouprawnienia zrównanie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn jest racjonalnym i konsekwentnym krokiem do przodu, skoro aktywność zawodowa Szwajcarek w ostatnich dekadach znacznie wzrosła.

– Niekoniecznie, jeśli spojrzeć na system emerytalny jako całość – uważa Nora Meuli, socjolożka, badaczka nierówności ekonomicznych i społecznych na Uniwersytecie Nauk Stosowanych Północno-Zachodniej Szwajcarii (FHNW). – Ta reforma oznacza wyłącznie tyle, że kobiety i mężczyźni będą traktowani na równi, jeśli chodzi o wiek emerytalny. Z punktu widzenia równych praw jest to jednak krok wstecz. Kobiety oddały w zastaw rok emerytury i nie otrzymały w zamian nic, co poprawiłoby ich sytuację finansową na starość – mówi Meuli „Tygodnikowi".

Szwajcarski system zabezpieczeń emerytalnych, podobnie jak polski, ma trzy filary: pierwszy państwowy, drugi pracowniczy (składki odprowadzane są do funduszy emerytalnych) oraz trzeci – prywatny i dobrowolny. Jeśli wziąć pod uwagę emeryturę z wszystkich trzech filarów, Szwajcarki otrzymują jedynie dwie trzecie tego, co Szwajcarzy. Wskaźnik zwany Gender Pension Gap (różnica w wysokości emerytur kobiet i mężczyzn) jest w Szwajcarii znacznie wyższy, niż wynosi średnia w krajach OECD. Różnica wysokości świadczeń z samego tylko drugiego filaru wynosi tutaj dokładnie 63 proc. – na niekorzyść kobiet.

Biedne emerytki w bogatym kraju

– Kobiety częściej pracują na część etatu, zarabiają mniej niż mężczyźni, wykonują niskopłatne prace w sektorze usług, aby związać koniec z końcem zatrudniają się u kilku pracodawców jednocześnie albo dorabiają na własny rachunek. Wszystkie te nierówności na rynku pracy znajdują odzwierciedlenie w systemie emerytalnym – tłumaczy Nora Meuli.

Przykładowo połowa kobiet, które w 2018 r. przeszły na emeryturę, otrzymuje z drugiego filara poniżej 1165 franków miesięcznie. W sfeminizowanych branżach emerytury w wysokości 500–800 franków nie są wyjątkiem. To jedynie marny dodatek do państwowego świadczenia, który nie pozwala na przeżycie w jednym z najdroższych krajów Europy. Z kolei w trzecim filarze, tym prywatnym, oszczędności ma czterech na pięciu mężczyzn, ale tylko niespełna dwie trzecie kobiet.

– Ubóstwo seniorek jest faktem – uważa Meuli. – Żyjąc średnio dłużej od mężczyzn, kobiety nierzadko na starość zostają same, co zmusza je do korzystania z opieki instytucjonalnej. Jednak aby mogły sobie na to pozwolić, nie pozostaje im nic innego, jak zwrócić się po pomoc socjalną.

W 2019 r. z tzw. świadczeń uzupełniających, czyli dodatku socjalnego do emerytury, korzystało ponad 140 tys. kobiet – dwa razy tyle co mężczyzn.

To właśnie po to, aby zamanifestować swój sprzeciw przeciwko życiu w strachu przed zubożeniem po odejściu z pracy, kobiety – pełnoetatowe matki, osoby pracujące na część etatu, żeby móc zajmować się dziećmi, zarabiające najniższe stawki godzinowe, samozatrudnione – przyszły demonstrować w Bernie w tamten poreferendalny poniedziałek. Dla wielu z nich państwowe świadczenie to jedyne pewne źródło utrzymania w przyszłości. A ono wynosi maksymalnie 2390 franków, czyli niewiele więcej niż granica ubóstwa.

Dobre i złe feministki

Zrównanie wieku emerytalnego było w ostatnich miesiącach najgorętszym tematem dyskusji w kobiecych sekcjach partii politycznych, w organizacjach pozarządowych i wśród aktywistek feministycznych. Ponadprzeciętna frekwencja referendalna (powyżej 50 proc.) to znak, że udało się zmobilizować kobiety do wypowiedzenia się w swojej sprawie. Co nie znaczy, że ten głos wybrzmiał jednym tonem.

Katharina (branża medialna, singielka, bez dzieci) wypełniała kartę referendalną, jak mówi, z ciężkim sercem: – Zgadzam się z przeciwniczkami reformy punktującymi obszary, w których do równouprawnienia jest jeszcze długa droga. Jednak nie widzę powodu, dla którego kobiety miałyby pracować krócej niż mężczyźni. ↦

↦ Wcześniejsze przechodzenie na emeryturę, tłumaczone w historii słabością fizyczną i psychiczną kobiet, to argument z gruntu mizoginistyczny. Dlatego zagłosowałam na „tak". Koleżanki feministki nazywają mnie teraz zdrajczynią.

Yvonne (część etatu, dobrze zarabiający mąż, trójka dzieci) zwraca uwagę, że czasy, gdy kobiety nie mogły same decydować o tym, czy i jak dużo chcą pracować, już minęły: – Każda z nas wie, jaki wpływ decyzje zawodowe będą miały na naszą przyszłość finansową. Żyjemy dłużej niż mężczyźni. Teraz będziemy mogły też dłużej płacić składki i dzięki temu otrzymać później nieco wyższą emeryturę.

Christina (część etatu, mąż ze stabilną posadą, dwójka dzieci) martwi się o system emerytalny: – Grozi nam kryzys i nie ma tu drogi na skróty. Poparcie dla reformy jest według mnie przede wszystkim aktem solidarności. To oczywiste, że dobro społeczne jest ważniejsze niż moje osobiste interesy. A pracować rok dłużej? Co to za problem!

Denise (samozatrudniona, w konkubinacie, bez dzieci) głosowała na „nie" w akcie protestu: – Państwowa emerytura nie wystarczy mi na życie, więc będę musiała pracować tak długo, jak się da, czy tego chcę, czy nie. Myślę też o samotnych matkach, których szanse na rynku pracy są mocno ograniczone. Podobnie jak kobiet po pięćdziesiątce czy zwalnianych z pracy tuż przed przejściem na emeryturę, ponieważ ich stanowiska są dla pracodawcy za drogie. Dla nich rok pracy dłużej to dodatkowy rok niepewności o byt.

Rozczarowania wynikiem referendum nie kryje Katia (własna firma, dorosłe dzieci, kilka lat do emerytury): – Wydłużenie wieku emerytalnego pozwoli państwu ujechać kilka kilometrów dalej, żeby na chwilę uciec przed pożarem. Ale to jazda na plecach kobiet. A tu pilnie potrzebne są zmiany w całym systemie emerytalnym.

Choć w Szwajcarii kobiety i mężczyźni poświęcają pracy tyle samo czasu, roczne dochody pań **są o ok. 100 mld franków niższe.**

Praca w domu to też praca

Liberalne polityczki, które zwłaszcza w niemieckojęzycznej części Szwajcarii nawoływały kobiety do głosowania za podniesieniem wieku emerytalnego, mają za złe Tamarze Funiciello, że podczas demonstracji w Bernie wypowiadała się w imieniu wszystkich kobiet.

Marianne Binder, parlamentarzystka Partii Centrum, nazwała arogancją dyktowanie przez kobiety lewicy, na czym ma polegać równouprawnienie i negowanie zaangażowania tych kobiet, które są po stronie reformy. Faktem jest, że za podniesieniem wieku emerytalnego opowiedziały się komitety kobiece większości partii reprezentowanych w szwajcarskim parlamencie. Lewica zarzuca im, że za zafundowany kobietom dodatkowy rok pracy nie zaproponowały nic w zamian.

Co mogłoby złagodzić gniew tych Szwajcarek, które wynik referendum rozczarował? Postulatem powtarzanym od lat w kontekście równouprawnienia jest ten o uznaniu pracy opiekuńczej.

– Jej ogrom wciąż wykonują kobiety, a nie cieszy się uznaniem, na jakie zasługuje w społeczeństwie. Jest po prostu pomijana – mówi socjolożka Nora Meuli.

Ekspertki z kobiecego think tanku Economie Feministe szacują, że choć w Szwajcarii kobiety i mężczyźni poświęcają pracy tyle samo czasu, to ich roczne dochody są o ok. 100 mld franków niższe niż mężczyzn. Powodem jest właśnie nieuwzględnianie w rachunku ekonomicznym zadań, które w tradycyjnym postrzeganiu roli kobiety nie są pracą, lecz obowiązkiem, który nie ma ceny.

– Dopóki praca nieodpłatna nie będzie traktowana jak praca, czyli także uwzględniana w systemie emerytalnym, nie może być mowy o równouprawnieniu – uważa Meuli.

„Będziemy coraz głośniejsze"

Wygląda na to, że na takie zmiany trzeba będzie jeszcze długo czekać. Tuż przed referendum w sprawie wyrównania wieku emerytalnego parlament odrzucił kompromisową propozycję związków zawodowych na temat modernizacji systemu emerytalnego, która miałaby zmniejszyć lukę w drugim filarze, m.in. poprzez dodatek dla osób o niskich zarobkach, pracujących na część etatu.

Ale kobiety, które w jesienny poniedziałek długimi godzinami protestowały przed dworcem w Bernie, tak szybko nie odpuszczą. Do walki o swoje prawa są przecież przyzwyczajone. – Opór rośnie i wraz z każdą decyzją pogarszającą sytuację życiową kobiet będziemy coraz głośniejsze – zapowiada Funiciello.

Na czerwiec 2023 r. planowany jest w Szwajcarii strajk generalny kobiet. Treść postulatów na transparenty jest już gotowa. © AGNIESZKA KAMIŃSKA

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Oławie pod sygn. akt I Ns 444/21 toczy się postępowanie z wniosku Marii Wnuk o stwierdzenie zasiedzenia z dniem 31 grudnia 1989 r. własności nieruchomości położonej w powiecie oławskim, gminie Oława, w miejscowości Siecieborowice pod nr 23, dla której Sąd Rejonowy w Oławie IV Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą o nr. WR1O/00001361/9.

Sąd Rejonowy w Oławie wzywa zainteresowanych, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawo własności przedmiotowej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostało ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 209/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Mikołaju Feliksie Sobczyku, zm. 19 września 2000 r. w Sporniaku Palikijskim (gm. Wojciechów, powiat lubelski) i tam ostatnio stale zamieszkałym.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i wykazali swoje prawa, albowiem w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. W skład spadku wchodzi nieruchomość położona w gminie Bełżyce, obręb Bełżyce Rolne, oznaczona w ewidencji gruntów jako działka nr 1243 o powierzchni 0,52 ha.

JAHI CHIKWENDIU /THE WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

W pierwszym półroczu tego roku w Baltimore było 179 zabójstw, większość z użyciem broni palnej; to rekord w historii miasta. Na zdjęciu: dzielnica Highlandtown, gdzie przestępczość jest szczególnie wysoka, 2021 r.

Dostałem drugą szansę

JOSEPH SAKRAN, AMERYKAŃSKI CHIRURG RATUJĄCY OFIARY STRZELANIN:

To niedorzeczne, że w wielu stanach USA niemal każdy może kupić broń, która pozwala wystrzelić nawet sto pocisków bez konieczności przeładowania.

MARTA ZDZIEBORSKA: W Stanach tak często dochodzi do strzelanin, że mówi się już o kryzysie w zdrowiu publicznym. Czy to pora, by pokazywać ludziom zdjęcia ciał podziurawionych kulami? Niektórzy lekarze wierzą, że tylko to wstrząśnie Ameryką.

JOSEPH SAKRAN: Nie sądzę, żeby to cokolwiek zmieniło. Ludzie za bardzo przyzwyczaili się do newsów o kolejnych strzelaninach. Pokazywanie zdjęć ofiar byłoby zresztą zbyt bolesne dla ich rodzin. Czy wie pani, że po strzelaninie w Uvalde [w czerwcu w szkole podstawowej w Teksasie napastnik zabił 19 uczniów i 2 nauczycieli – red.] rodzice ofiar musieli czekać na wyniki testów DNA? Zwłoki ich dzieci były tak zmasakrowane, że nie dało się zidentyfikować ich w inny sposób. To przerażające kadry, które powinny być zarezerwowane wyłącznie dla służb medycznych, policji i rodzin ofiar.

Jaka jest różnica między ranami postrzałowymi z karabinu AR-15, użytego w Uvalde, a tymi ze zwykłego pistoletu?

Skala obrażeń zależy od prędkości lotu pocisku. W przypadku tego wystrzelonego z karabinu jest ona wyższa, co powoduje poważne zniszczenia tkanek, i to nawet tych, z którymi pocisk nie jest w bezpośrednim kontakcie. Proszę sobie wyobrazić łódź na jeziorze: im szybciej płynie, tym większa tworzy się za nią fala. Pocisk wystrzelony z karabinu AR-15 może poćwiartować ramię ofiary, zmienić w miazgę organy wewnętrzne i roztrzaskać kości. Obrażenia są szczególnie śmiertelne wśród dzieci, bo pocisk uderza w ciało, w którym organy i tętnice ściśnięte są na niewielkiej powierzchni.

Dzieci, do których strzelał zamachowiec w Uvalde, nie miały szans?

Niektóre przeżyły. Wszystko zależy od trajektorii lotu pocisku i miejsca uderzenia. Karabiny AR-15 co do zasady sieją większe zniszczenie. Także z uwagi na większe magazynki, nawet o pojemności stu naboi. Ludzie mówią, że tak samo niebezpieczne dla życia może być dźgnięcie nożem. To nieprawda. Pojedynczy nóż nie wyrządzi tak dużej krzywdy jak broń, z której można wystrzelić sto naboi bez konieczności przeładowania. To niedorzeczne i przerażające, że w USA właściwie każdy może kupić karabin z tak dużą pojemnością magazynka.

Jak do tego doszło?

Przede wszystkim należy winić administrację George'a W. Busha. W 2004 r. zniosła federalny zakaz sprzedaży karabinów szturmowych, który obejmował również restrykcje dotyczące pojemności magazynków [Bush zniósł przepisy obowiązujące od 1994 r. – red.]. Niedługo potem wzrosła liczba masowych strzelanin, w których w większości przypadków używano właśnie broni szturmowej. Ale pamiętajmy, że masowe strzelaniny stanowią zaledwie 2 proc. przypadków przemocy z użyciem broni palnej. Reszta to strzelaniny na ulicach miast, samobójstwa i tragedie wywołane niezamierzonym użyciem broni. Szacuje się, że aż prawie 5,5 mln dzieci mieszka w domach, gdzie broń trzymana jest w dostępnym dla nich miejscu. A przecież tragedii, ↦

↦ w której dziecko zabija przez przypadek swojego brata lub siostrę, można byłoby uniknąć.

Skupmy się na Baltimore, gdzie Pan pracuje w szpitalu. Tylko w pierwszym półroczu tego roku odnotowano 179 zabójstw, w większości z użyciem broni palnej. To rekord w historii tego miasta.

Wzrost liczby zabójstw to ogólnokrajowy trend, ale w Baltimore problem narasta od dawna. Już od siedmiu lat w mieście dochodzi do średnio trzystu zabójstw rocznie. A to nie oddaje w pełni skali: na każde zabójstwo przypadają średnio dwa-trzy przypadki postrzeleń, które nie kończą się śmiercią. W zeszłym roku odnotowano siedemset takich przypadków.

Kto zazwyczaj trafia do Pana na stół operacyjny?

To głównie brązowi i czarni młodzi mężczyźni. Aż 40 proc. z nich powróci do nas z kolejnymi ranami postrzałowymi w ciągu najbliższych pięciu lat.

Skąd ta pewność?

Strzelaniny to w Baltimore problem mocno powiązany z nierównościami społecznymi. Większość sprawców i ofiar mieszka w biednych enklawach, do których zepchnęły ich dekady stosowania dyskryminujących przepisów.

Na przykład jakich?

Spójrzmy na wprowadzoną w latach 30. XX w. politykę mieszkaniową. W jej ramach przyznawano korzystne kredyty hipoteczne białym Amerykanom, co pozwalało im osiedlać się na przedmieściach. Kolorowe społeczności mogły liczyć jedynie na przydział lokalu komunalnego w ściśle do tego przeznaczonych, mniej atrakcyjnych dzielnicach. Nierówności społeczne pogłębiła także amerykańska wojna narkotykowa, która doprowadziła do zaostrzenia kar za posiadanie kokainy w formie cracku, stosowanego głównie wśród biednych czarnoskórych. To sprawiło, że znacznie częściej trafiali oni za kraty niż biali, którzy brali kokainę w proszku, obwarowaną mniejszymi restrykcjami.

Opowiadając o tym wszystkim, wygląda Pan na bardzo zmęczonego. Czy w tym tygodniu miał Pan dużo pacjentów, również tych z ranami postrzałowymi?

W tym konkretnym przypadku przeprowadziłem tylko jedną operację.

To mało, jak na miasto z rekordową liczbą zabójstw.

Niestety większość trafiających do nas ofiar strzelanin jest już w zasadzie martwa. Najczęstszą przyczyną zgonów przy ranach postrzałowych jest wstrząs krwotoczny wynikający ze zbyt dużej utraty krwi. Mówiąc wprost: ludzie wykrwawiają się na śmierć, zanim dotrą do szpitala. Ale na szczęście ostatnio miałem niewiele takich tragicznych przypadków, bo padało.

Nie rozumiem.

Gdy pada deszcz, ludzie częściej zostają w domu i siłą rzeczy dochodzi do mniejszej liczby strzelanin. Oczywiście mówię tutaj o wschodnim Baltimore. Aż 80 proc. naszych pacjentów mieszka w promieniu ośmiu kilometrów od szpitala.

Opowie Pan o tej okolicy?

Wschodnie Baltimore to przykład getta dla kolorowych, o którym już mówiłem. Jak na dłoni widać tu nierówności społeczne będące efektem niesprawiedliwego systemu sądownictwa i niedoinwestowania szkół publicznych.

A gdzie Pan chodził do liceum? Czytałam, że w wieku 17 lat postrzelono Pana w pobliżu szkoły.

W Fairfax w północnej Wirginii. Wychowywałem się tam od dziecka.

Jak doszło do strzelaniny, która niemal pozbawiła Pana życia?

Razem z kolegami po szkolnym meczu piłki nożnej poszliśmy do pobliskiego parku. W pewnym momencie dwóch stojących tam mężczyzn zaczęło się kłócić i doszło do strzelaniny. Jedna z kul trafiła mnie w tętnicę szyjną. Przeżyłem tylko dzięki szybkiemu przewiezieniu do szpitala i dobremu chirurgowi, który przeprowadził u mnie tracheotomię.

Poszedłem na medycynę, bo chciałem ratować innych **– tak jak chirurg, który kiedyś mnie uratował.**

Jak długo dochodził Pan do zdrowia?

Spędziłem w szpitalu ponad miesiąc. Przez następne pół roku przeszedłem serię zabiegów. Po powrocie do domu nie było szans, abym szybko zaczął znów chodzić do szkoły. Musiałem nauczyć się na nowo chodzić i mówić. W wyniku strzelaniny mam sparaliżowaną strunę głosową i nerw przeponowy, co sprawia, że mój głos już nigdy nie będzie tak donośny jak kiedyś. Pamiętam, że jeszcze jako nastolatek stresowałem się, że nikt nie usłyszy mnie w towarzystwie. Do dziś obawiam się tego podczas wystąpień publicznych. Na szczęście mam wtedy mikrofon.

Czy wspomnienia powracają, gdy operuje Pan ofiary strzelanin?

Nie. Zazwyczaj przypominają mi się przypadki innych pacjentów. Przyznam, że do dziś najtrudniejsze są dla mnie rozmowy z ich bliskimi. Często opowiadam im swoją historię, bo to pozwala mi skrócić dystans. W przeciwnym razie rodzina pacjenta patrzyłaby na mnie jak na kolejnego białego faceta, który nie wie, z jakimi problemami zmagają się czarnoskórzy w Baltimore. A ja poszedłem na medycynę, bo chciałem ratować innych, tak samo jak chirurg, który podarował mi w życiu drugą szansę.

Wykorzystać tę drugą szansę mieszkańcom Baltimore może być trudno. Bo nawet jeśli przeżyją, to niekiedy zmagają się z poważnymi problemami. Co czeka ofiary strzelanin?

Niektórzy są sparaliżowani, inni do końca swoich dni muszą być podłączeni do respiratora. Zdarzają się pacjenci, u których na skutek licznych operacji nie ma możliwości bezpośredniego zamknięcia jamy brzusznej. W wyniku komplikacji pooperacyjnych chorzy miewają również przetokę jelitową, co wymaga długotrwałego leczenia.

W Stanach, gdzie nie ma powszechnej opieki zdrowotnej, takie leczenie kosztuje nawet setki tysięcy dolarów. Jak radzą sobie pacjenci, których już wcześniej nie było stać na wykupienie polisy ubezpieczeniowej?

Gdy trafiają do nas ludzie z ranami postrzałowymi, nie sprawdzamy, czy mają ubezpieczenie zdrowotne. Przyjmujemy każdego i nie wystawiamy potem za to rachunku. Problemy zaczynają się później. Wielu osób nie stać na koszmarnie drogie leczenie. Mogą liczyć jedynie na zbiórkę internetową lub na pomoc ze strony organizacji pozarządowych.

Czy jest jakiś pacjent, o którym nie może Pan zapomnieć?

Tak, to siedemnastolatek, który kilka lat temu trafił do szpitala z raną postrzałową głowy. Doszło do poważnego uszkodzenia mózgu i nie miał szans na przeżycie. Ta sytuacja kompletnie mnie zdruzgotała: ten chłopak miał tyle samo lat co ja, gdy zostałem postrzelony. Na dodatek jego matka powiedziała mi, że jako pierwszy w rodzinie miał skończyć liceum i planował iść na studia. We wschodnim Baltimore to naprawdę ambitne plany. Nigdy nie zapomnę, gdy po śmierci tego chłopca jego matka podeszła do mnie, położyła rękę na moim ramieniu i spytała, czy dobrze się czuję. A to przecież ona właśnie straciła syna i potrzebowała wsparcia. Takie chwile sprawiają, że wierzę w człowieczeństwo i mam motywację, by dalej wykonywać tę pracę.

Zna Pan okoliczności, w jakich do tego chłopaka strzelano?

Nie znam. Zwykle nie mamy takich informacji na temat pacjentów.

W kwietniu tego roku postrzelony został chirurg z Waszego szpitala. Media podały, że zaatakowali go napastnicy, którzy chcieli mu ukraść samochód. Jak czuje się teraz?

Fizycznie dobrze. To ja go operowałem, gdy trafił do nas z raną postrzałową. Ale nie powiem nic więcej. Nie chcę naruszać jego prywatności.

Przemoc w Maryland stała się jednym z tematów kampanii przed wyborami gubernatorskimi w listopadzie. Jak ocenia Pan propozycje reform kandydata Partii Demokratycznej? Mam wrażenie, że Wes Moore mówi niewiele o zaostrzeniu dostępu do broni.

Bo Moore skupia się na rozwiązaniach, które mają zniwelować nierówności społeczne. A to one w dużej mierze sprzyjają przemocy w takich miastach jak Baltimore. Tu nie chodzi o zabranie ludziom broni, ale np. o powszechne prześwietlanie jej nabywców i promowanie odpowiedzialnego jej przechowywania.

KEITH WELLER / ARCHIWUM PRYWATNE

DR JOSEPH SAKRAN (ur. 1977) jest ordynatorem oddziału chirurgii urazowej w Szpitalu Johnsa Hopkinsa w Baltimore w Maryland – siódmym w kolejności stanie, gdzie dochodzi do największej liczby zabójstw z użyciem broni palnej. W 2018 r. zainicjował internetową akcję #ThisIsOurLane – skupia ona chirurgów sprzeciwiających się polityce Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego NRA, które blokuje reformy mające zaostrzyć dostęp do broni palnej. W wieku 17 lat Sakran sam padł ofiarą strzelaniny. Po serii operacji i długiej rekonwalescencji postanowił zdawać na medycynę i kształcić się na chirurga urazowego.

Ale rozumiem, że sprzedaży karabinów szturmowych by Pan zakazał?

Tak, oczywiście. Uważa tak zresztą większość Amerykanów. Mało się o tym mówi, ale wielu członków Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego (NRA) opowiada się za reformami, jak np. wspomniane powszechne prześwietlanie nabywców [tzw. *background checks* nie są wymagane podczas transakcji online i na targach broni – red.]. Niestety hamulcowym jest kierownictwo NRA, które od lat lobbuje przeciw restrykcjom.

I jest w tym skuteczne. Usunąć luk prawnych dotyczących prześwietlania nabywców nie udało się nawet po strzelaninie w Sandy Hook w 2012 r. Z rąk zamachowca zginęło wtedy 26 osób, w tym 20 dzieci.

Nie uważa Pan, że sprawa zaszła zbyt daleko i jedynym rozwiązaniem jest zniesienie drugiej poprawki do konstytucji?

Podkreślę jeszcze raz: zakazanie ludziom posiadania broni nie jest dobrym rozwiązaniem w naszym społeczeństwie.

To co nim jest? Stany stały się krajem, gdzie osiemnastolatek nie może kupić legalnie piwa, ale może kupić karabin. Amerykańskie miasta zalewa tzw. broń widmo, czyli zestawy do samodzielnej konstrukcji, z których można złożyć np. karabin maszynowy bez numerów seryjnych. Wystarczy złożyć zamówienie online.

Akurat z tym walczą władze Maryland. Niedawno wprowadzono przepisy zakazujące kupowania i sprzedawania broni bez numerów seryjnych. Takie zasady powinny obowiązywać w całych Stanach.

Trzyma Pan w domu broń?

Nie, w żadnym wypadku. Nie wychowywałem się w rodzinie, gdzie czymś naturalnym jest trzymanie pistoletu lub strzelby w domu. Jestem synem imigrantów, którzy przyjechali do Stanów Zjednoczonych po lepsze życie. Nigdy nie przyszło im do głowy, by przechowywać w mieszkaniu broń, a co gorsza, nosić ją przy sobie.

Skąd pochodzą Pana rodzice?

Tata jest Izraelczykiem, a mama Libanką. Poznali się w Izraelu i wyemigrowali do Stanów ponad 40 lat temu.

Jak zareagowali, gdy jako 17-latek zdecydował się Pan zdawać na medycynę?

Od początku zachęcali mnie, żebym przekuł moje doświadczenia w coś konstruktywnego. Nie zapomnę, gdy kilka dni po postrzeleniu patrzyłem w szpitalu na swoje odbicie w lustrze. Widziałem okropne blizny na twarzy i wystającą z szyi rurkę tracheostomijną. Byłem przerażony. Podszedł do mnie wtedy ojciec i powiedział, że mam teraz wybór. Albo zrobię z siebie ofiarę, albo wykorzystam drugą szansę, jaką właśnie dał mi los. Wziąłem sobie te słowa do serca.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

PRZEKLĘTE CIAŁO ŚWIĘTEJ EVITY

Eva Perón, legendarna pierwsza dama Argentyny, wpływała na losy kontynentu jeszcze długo po śmierci.

DOMA MATEJKO

Gdy umieramy, zwykle nasze ciało wystawione jest na kontakt z żywymi przez parę dni. Potem znikamy i po jakimś czasie nawet najbliżsi mogą mieć trudności z odtworzeniem, jak dokładnie wyglądaliśmy. Są jednak w historii przypadki, gdy ciało nie tylko nie znika, lecz nabiera znaczenia tak wielkiego, iż staje się symbolem samym w sobie.

Jest rok 1976. Trumna z ciałem Evy Perón, pierwszej damy Argentyny, jest chowana na cmentarzu la Recoleta, w jednej z najbardziej prestiżowych dzielnic Buenos Aires o tej samej nazwie.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że Eva Perón zmarła ponad 20 lat wcześniej. Jednak jej doczesne szczątki są zachowane w takim stanie, że nieświadomy jej historii obserwator tego wydarzenia mógłby stwierdzić, iż odeszła najdalej w zeszłym tygodniu.

Zabalsamowane ciało zostaje złożone aż sześć metrów pod ziemią i dla bezpieczeństwa przykryte wyjątkowo grubą płytą. Może tym razem nikt go nie zabierze. Może w końcu zazna wiecznego odpoczywania.

ARCHIVE PHOTOS / GETTY IMAGES

Eva Perón i Carlo Sforza, minister spraw zagranicznych Włoch. Argentyna, ok. 1947 r.

„Na zawsze w sercach"

Na jej grobowcu z czarnego kamienia pojawią się wezwania, które nie pozostawią złudzeń, iż nawet dekady po śmierci Eva Perón nadal jest Duchową Szefową Narodu – jak zwykli ją nazywać wielbiciele. „Jest i będzie przewodniczką argentyńskich robotników, a jej dziedzictwo na zawsze oświeci drogę ku sprawiedliwości społecznej". „Evita! Na zawsze w sercach ludu". Takie zdania mogłyby zdobić plakaty drukowane tanim tuszem, przyklejane na murach. Tutaj, na cmentarzu la Recoleta, są wyryte w mosiądzu i pozostaną niezniszczalne, podobnie jak jej ciało.

Eva Perón chciała tego rodzaju nieśmiertelności i jej życzenie się spełniło.

Jej mąż, prezydent Juan Perón, niemal od razu po odejściu 33-letniej żony – zmarłej 70 lat temu, 26 lipca 1952 r., w wyniku raka szyjki macicy – zlecił zabalsamowanie ciała swojej ukochanej najlepszemu specjaliście od anatomii tamtych czasów.

Hiszpański doktor Pedro Ara przez kilka dni do pustego krwiobiegu wpuszczał litry gliceryny. Ciało Evity – jak ją nazywano – miało pozostać takie, jak w chwili jej ostatniego oddechu. Kąpiele w formalinie i zabiegi upiększające sprawiły, że zaczęła przypominać piękną lalkę – lub świętą.

Blisko ludzi

Za życia była i jednym, i drugim.

Do Buenos Aires przyjechała w wieku 14 lat z prowincjonalnego miasteczka oddalonego 300 km od stolicy. Miała jedno marzenie: zostać aktorką. Była piękna, ale nawet ponadprzeciętna uroda nie pomogła jej w robieniu kariery. Są tacy, którzy twierdzą, iż jej talent aktorski był na tyle mizerny, że to i tak cud, iż występowała w filmach i audycjach radiowych. Głównie tych niedocenianych.

Późniejsza muza projektanta Christiana Diora – mówił on o Evicie, że była jedyną królową, jaką ubierał – miała za to inny talent: zjednywała sobie ludzi tak, jak nie potrafił tego żaden polityk.

Będąc już pierwszą damą (a została nią w wieku 27 lat, gdy w 1946 r. jej mąż, starszy od niej o 24 lata, po raz pierwszy został prezydentem), założyła fundację swojego imienia, w ramach której pomagała najbiedniejszym obywatelom. W siedzibie ministerstwa pracy codziennie przyjmowała tłumy Argentyńczyków, którzy często spędzali w kolejce noce, z gorącą yerba mate w dłoniach, aby w końcu móc przed nią stanąć i powiedzieć Evie, Evicie (tak do niej się zwracali) o swoich problemach.

Znajdowała rozwiązania na wszystkie bolączki: utratę pracy, brak mieszkania i przemocowego męża. Codziennie otrzymywała prawie 400 listów.

Ikona peronizmu

W swojej roli Evita stała się także uosobieniem peronizmu – swego rodzaju ikoną ruchu politycznego, stworzonego przez jej przyszłego męża Juana w latach 40. XX w., który miał za zadanie bronić praw robotników i dążyć do sprawiedliwości społecznej.

W Argentynie, gdzie miliony ludzi cierpiały (i nadal cierpią) biedę, wsparcie ze strony państwa pomogło wielu z tych, którzy żyli na granicy skrajnego ubóstwa. Jeżeli dodać do tego fakt, że Perón walczył o przestrzeganie m.in. ośmiogodzinnego dnia pracy, to nic dziwnego, że szybko do tego ruchu dołączały kolejne rzesze Argentyńczyków.

Peronizm dążył także do niezależności ekonomicznej państwa poprzez nacjonalizację przemysłu – i tym samym tworzył nowe miejsca pracy. Mimo że z perspektywy czasu można mówić o kilku fazach peronizmu i jego postaciach – od umiarkowanego socjalizmu po ugrupowania terrorystyczne, takie jak Triple A – to za życia Evity peronizm był tym, co sprawiało, że ludzie wychodzili na place, domagając się swoich praw z wiarą, iż „towarzyszka Evita" jest po ich stronie. Bo choć nigdy nie zajmowała żadnej oficjalnej funkcji, to jak nikt inny wiedziała, czego potrzebuje lud.

W ten sposób już za życia stała się dla Argentyńczyków świętą.

Kondukt kobiet

Pogrzebowy pochód – z pierwszą damą ubraną w cienką białą sukienkę – ruszył ulicami Buenos Aires 9 sierpnia 1952 r., w samym środku argentyńskiej zimy.

W tamtym czasie stolica liczyła około 3 milionów mieszkańców, z czego 2 miliony uczestniczyły w tej uroczystości. Tłumy stały wzdłuż ulic i na balkonach, żegnając ukochaną Evitę. Tuż za trumną maszerowało dziesięć kobiet z założonej przez nią Kobiecej Partii Peronistów. Nieco dalej szły uczennice szkoły pielęgniarstwa, która powstała w ramach fundacji „Eva Perón". Przez lata kobiety te, podobnie jak miliony innych w całym kraju, zbierały się w domach i zakładach pracy, żeby posłuchać przemówień pierwszej damy emitowanych w radiu; nawoływała w nich do uczestnictwa kobiet w życiu publicznym.

Gdy kilkanaście lat wcześniej nastoletnia Evita przyjechała do stolicy (prawdopodobnie pod opieką śpiewaka tango), marząc o karierze artystki, nie mogła przypuszczać, że kiedyś będzie porywać tłumy dyskursem politycznym, a nie recytacją poezji. Bo to dzięki jej staraniom kobiety zaczęły się organizować. Evita osobiście wybrała grupę 24 delegatek z Kobiecej Partii Peronistów, z których każdą wysłała do innej prowincji kraju. Niedługo dołączyły do nich subdelegatki, odpowiedzialne za mniejsze terytoria.

Kobiety były odpowiedzialne nie tylko za szerzenie ideologii partii Juana ↦

↦ Perón, ale również za prowadzenie szkoleń i warsztatów, które miały przygotować kobiety do wejścia na rynek pracy.

„Ustawa Evity"

To był przełom polityczny i kulturowy. W Argentynie kobiety zaczęły być traktowane podmiotowo, również w polityce.

Niemal dokładnie pięć lat przed śmiercią, 23 września 1947 r., Evita czekała z innymi kobietami na korytarzu Kongresu (parlamentu), podczas gdy rząd uchwalał ustawę numer 13.010, znaną też jako „ustawa Evity". Przyznawała ona prawa wyborcze kobietom w Argentynie (przypomnijmy, że w Polsce miały je od 1918 r., we Francji od 1944 r., a w Szwajcarii dopiero od 1971 r.).

Stało się to w czasach, kiedy w Argentynie kobiety nie posiadały nawet prawa do dowodu osobistego – zmieniło się to rok później, w 1948 r. A uzyskanie prawa wyborczego dla kobiet, o które tak walczyła Evita, wpłynęło na los kraju. To również dzięki ponad 4 milionom kobiet, które pierwszy raz w życiu zagłosowały, Perón został wybrany na powtórną kadencję w 1952 r. Rok później aż 30 proc. składu Kongresu stanowiły właśnie kobiety. Dla porównania: w sąsiednim Chile, gdzie prawa wyborcze przyznano kobietom w 1949 r., do roku 1957 w tamtejszym parlamencie zasiadły zaledwie cztery kobiety.

Pośmiertna odyseja

Tamta ostatnia droga Evity ulicami stolicy stała się też początkiem jej pośmiertnej odysei.

Po oficjalnym korowodzie i pożegnaniu Argentyńczyków z Evitą, jej ciało przeniesiono do siedziby związków zawodowych – Generalnej Konfederacji Pracy (Confederación General del Trabajo). Tam, na drugim piętrze, zorganizowano pracownię doktora Ary, który ścigał się z naturalnym procesem biologicznym. W tym czasie planowano budowę pomnika dedykowanego robotnikom, w którym miała spocząć „towarzyszka Evita".

Doktor balsamował pierwszą damę tak długo i z taką dokładnością, z jaką artysta pracuje nad dziełem swojego życia. Po dziesięciu miesiącach intensywnej pracy Evita stała się niemal niezniszczalna.

Jednak nie doczekała się wtedy uroczystego pochodu do miejsca wiecznego spoczynku, a robotnicy nie zobaczyli swojego pomnika, który – jak pierwotnie zakładano – miał co najmniej dorównywać wieży Eiffla. Wszystkie plany pokrzyżował pucz wojskowy, do którego doszło 16 września 1955 r.: obalił on Juana Peróna. Ratując życie, prezydent opuścił kraj. Władzę w państwie przejęli – jak mówili: w imię Boga i Narodu – antykomuniści i antyperoniści, zwani „Gorylami" i popierani przez Kościół katolicki.

> Za sprawą Evy Perón w Argentynie nastał przełom polityczny i kulturowy: **kobiety zaczęto traktować podmiotowo.**

Dla nowej władzy zabalsamowana Evita była wyjątkowo niewygodna. Obawiano się, że peroniści wykradną ciało i użyją do podburzenia ludu przeciwko wojsku. Rozważano różne scenariusze, łącznie z tym, żeby zwłoki zrzucić z samolotu do oceanu. Istniało jednak zagrożenie, że mogłaby wypłynąć w najmniej oczekiwanym miejscu i zapewne w najmniej sprzyjającym momencie.

Poza granicą szaleństwa

Początkowo z ciałem Evity puczyści chcieli postąpić względnie humanitarnie. Nowy prezydent, generał Pedro Eugenio Aramburu, zadecydował, że najbezpieczniej będzie pochować ją na jednym z peryferyjnych cmentarzy, tyle że pod fałszywym nazwiskiem.

Do tajnej operacji zaciągnięto kilku wojskowych, których charakteryzowało duże doświadczenie i niskie morale. Głównodowodzącym został podpułkownik Carlos Moori Koenig, a jego bezpośrednim współpracownikiem major Eduardo Arandía.

Wojskowi jednak nie wykonali rozkazu. Moori miał obsesję na punkcie Evity i jej ciała. Nienawiść połączona ze swego rodzaju pożądaniem uruchomiła u niego najbardziej prymitywne instynkty. Moori woził ciało po całym Buenos Aires w furgonetce, która była przeznaczona do przewozu kwiatów. Podpułkownik uciekał zarówno przed swoimi zwierzchnikami, jak i przed opozycjonistami, których wywiad prowadził intensywne poszukiwania „towarzyszki Evity".

Podobno przez jakiś czas Moori ukrywał zwłoki za ekranem w jednym z kin. Paranoja i strach podsuwały mu coraz bardziej makabryczne rozwiązania. Umówił się z Arandíą, że ten weźmie ciało do siebie. Tym sposobem Evita znalazła się na półpiętrze domu przy ulicy General Paz, o czym wiedzieli tylko ci dwaj oficerowie, pozbawieni hamulców.

Arandía był bliski obłędu. Praktycznie nie wychodził z domu, nie spał. Czuwał nad ciałem dzień i noc, nasłuchując podejrzanych szmerów. Jednej nocy był pewien, że się nie przesłyszał. Ktoś po cichu skradał się do domu. Major podejrzewał, że to peroniści przyszli wykraść Evitę. Wyjął pistolet, wymierzył i strzelił... Jego ciężarna żona zmarła na miejscu.

Gdzie jest Evita?

Ta tragiczna śmierć nie ostudziła makabrycznych pomysłów podpułkownika Moori Koeniga. Evita należała do niego i nie zamierzał jej oddać. Przełożył ją do skrzyni po sprzęcie elektronicznym i ustawił w pozycji pionowej w swoim biurze, w siedzibie Służby Wywiadu Wojskowego.

Świadkowie, w tym pułkownik Héctor Eduardo Cabanillas, opowiadali potem o licznych przypadkach profanacji zwłok i „niechrześcijańskich praktykach" owładniętego obłędem Koeniga. Miał bowiem zwyczaj pokazywać Evitę gościom. Szczycił się jej zwłokami niczym myśliwy eksponujący swą zdobycz.

Tymczasem peroniści byli wszędzie, a działali po cichu. Byli nawet w siedzibie Służby Wywiadu Wojskowego. Zostawiali przy trumnie Evity kwiaty i świece. W ten sposób nie wykradając ciała, dawali znać, że są czujni.

Informacja o praktykach podpułkownika dotarła do prezydenta Aramburu. Znowu pojawił się problem, co zrobić z ciałem Evity. Rozważano nawet jego wysadzenie w powietrze.

Ostatecznie zdecydowano się na wywiezienie poza granice kraju. Pułkownik Cabanillas odpowiadał za transport statkiem do Genui, a następnie do Mediolanu, gdzie przy pomocy namiestnika papieskiego wykupił kwaterę na największym miejskim cmentarzu. W kwietniu 1957 r. Evita została tam pochowana – pod fałszywym nazwiskiem María Maggi de Magistris.

Przez wiele lat nikt oprócz Cabanillasa i najbliższych współpracowników nie wiedział, co stało się z Evitą. Nawet prezydent. Na murach w Buenos Aires pojawiały się napisy: „Gdzie jest ciało Evity?".

Powrót do domu

Wieczny sen Evity w Mediolanie trwał 14 lat.

W tym czasie w Argentynie wrzało. Opozycjoniści mieli plan, jak odpowiedzieć na tortury i morderstwa ze strony władz. Argentyńska ziemia wchłonęła już wystarczająco dużo krwi.

Porwanie i zabójstwo prezydenta Aramburu – dokonane przez partyzantów z grupy Montoneros – zmusiło dyktaturę do pójścia na ustępstwa. Urzędujący prezydent Agustín Lanusse wiedział, że ciało Evity jest jedną z najlepszych kart do rozegrania w sytuacji, kiedy on sam w każdej chwili mógł stracić urząd – w najlepszym przypadku. Postanowił oddać ciało Juanowi Perónowi, który od kilkunastu lat przebywał na wygnaniu w Hiszpanii.

Z początkiem września 1971 r. konwój aut z ciałem Evity podjechał pod jego madrycką rezydencję, Puerta de Hierro. Wraz z dwoma ludźmi – przyjacielem Carlosem Spadonem oraz ogrodnikiem – Juan Perón wyjął zabalsamowane zwłoki z trumny. Były na nim widoczne liczne uszkodzenia. Nos był wgnieciony, a stopy zdeformowane. Ktoś musiał użyć ogromnej siły, aby tak zniszczyć ciało, które, jako zabalsamowane, jest bardziej wytrzymałe na uderzenia niż organizm żywego człowieka.

Trzecia żona Perón Isabel ostrożnie rozczesała włosy i umyła ciało Evity. Podziwiała tę legendę. Była jej inspiracją, ale też obiektem zazdrości. Wynajęła nawet Lópeza Regę, zwanego „argentyńskim Rasputinem", specjalistę od astrologii i ezoteryki. Razem odprawiali rytuały, dzięki którym Isabel miała przejąć charyzmę Evity. Nieskutecznie.

Po tym, jak dyktatura upadła, Juan Perón wrócił do kraju. Ciało Evity zostało natomiast w Madrycie, przy czym miejsce jej tamtejszego spoczynku było trzymane w tajemnicy.

W 1973 r. po raz trzeci Perón został prezydentem. Jego urzędowanie nie trwało jednak długo – zmarł po ośmiu miesiącach od przejęcia na nowo władzy.

Isabel, która za życia męża objęła urząd wiceprezydenta, zaczęła teraz sprawować funkcję głowy państwa. Jednak brakowało jej zarówno doświadczenia, jak i – mimo odwoływania się do nadzwyczajnych środków – charyzmy. Sytuacja w kraju była niestabilna.

I tutaj znowu pojawiła się Evita: ta sama zbrojna grupa Montoneros, która zamordowała Aramburu, ukradła z cmentarza la Recoleta ciało Juana Perón i ogłosiła, że go nie odda, dopóki „towarzyszka Evita" nie wróci do kraju.

Wieczne odpoczywanie

Ciało Evity sprowadzono do Argentyny w 1974 r. i wystawiono w kaplicy rezydencji prezydenckiej Quinta de Olivos.

Dwa lata później, w wyniku zamachu stanu, wojsko znów przejęło władzę. Był to początek jednej z najbardziej brutalnych dyktatur na kontynencie południowoamerykańskim. Nowy rząd przekazał Evitę jej rodzinie i nakazał skromny pochówek w rodzinnej krypcie na cmentarzu la Recoleta. Pochowano ją po cichu, w środku nocy, w obecności tylko najbliższej rodziny. Jej ciało, które przez lata było potężnym narzędziem politycznym, w końcu spoczęło w pokoju.

Dziś, 70 lat po śmierci, jej legenda nadal rośnie w siłę. Evita, żywa i martwa, była i jest symbolem. © DOMA MATEJKO

REKLAMA

NAUKA

ROŚLINY PRZYSZŁOŚCI

Ich powstanie było punktem zwrotnym w dziejach życia, a udomowienie – początkiem naszej cywilizacji. Dziś wielu badaczy stara się nauczyć je nowych sztuczek.

MARTA ALICJA TRZECIAK

Rośliny są fundamentalnym składnikiem znanego nam życia, stanowią ponad 80 proc. całkowitej ziemskiej biomasy (wszystkie zwierzęta, włącznie z nami – poniżej 0,5 proc.). Nie do końca wiemy, kiedy wyewoluowały – najstarsze krasnorosty, glony zaliczane do królestwa roślin, mogły żyć już 1,6 mld lat temu. Uważa się, że około pół miliarda lat temu rośliny opanowały i na zawsze zmieniły lądy. Co ciekawe, proces fotosyntezy, któremu zawdzięczają swój ewolucyjny sukces i znaczenie w ekosystemach, jest znacznie od nich starszy – mógł pojawić się nawet 3,5 mld lat temu. Rośliny odziedziczyły go po bakteryjnych przodkach.

Sztuczna fotosynteza

Pod koniec XVIII w. holenderski lekarz Jan Ingenhousz, który jako pierwszy próbował ten proces opisać, zauważył, że zielone części roślin pod wpływem energii słonecznej produkują tlen. Niedługo potem okazało się, że potrzebują także wody i dwutlenku węgla, jednak na znane równanie, zgodnie z którym w fotosyntezie sześć cząsteczek dwutlenku węgla i sześć cząsteczek wody daje pod wpływem energii słonecznej cząsteczkę glukozy i cząsteczkę tlenu, trzeba było czekać do pierwszej połowy XX w.

Od lat 70. XX w. próbowano fotosyntezę przeprowadzić „sztucznie” – bez udziału roślin. Początkowo wydajność większości tych procesów była niska. Ale wyniki współczesnych badań są już bardzo obiecujące. Przykładowo, w 2018 r. Thomas Haas i współpracownicy opublikowali w „Nature Catalysis” raport z eksperymentu, którego celem było nie tylko przeprowadzenie skutecznej, syntetycznej fotosyntezy, ale również pozyskanie nowego, ekologicznego źródła energii. Badacze wykorzystali panele słoneczne oraz specjalnie wyhodowane bakterie. Te pierwsze odpowiadały za przekształcenie energii słonecznej w elektryczną. Uzyskany prąd doprowadzano do mieszaniny reakcyjnej, w skład której wchodził dwutlenek węgla i woda. Impuls elektryczny rozrywał wiązania cząsteczek, zmieniając je w prostsze i bardziej reaktywne: tlenek węgla oraz wodór. Otrzymane w ten sposób związki podawano bakteriom, które włączały je do swojego cyklu metabolicznego i łączyły w złożone cząsteczki chemiczne – alkohole (butanol oraz heksanol). A te mogą mieć zastosowanie w przemyśle i energetyce.

Wykorzystanie tych produktów jako paliw – jak przekonują autorzy – wymagałoby mniejszych emisji gazów cieplarnianych w porównaniu z aktualnie używanymi pochodnymi ropy. Dodatkowo, taką „sztuczną fotosyntezę” można traktować jako proces modułowy, co oznacza, że inne bakterie mogłyby z tych samych chemicznych cegiełek składać inne produkty – np. octan czy etanol.

KATARZYNA KROCIEL / ADOBE STOCK

Odmienne podejście do fotosyntezy zastosowali autorzy pracy opublikowanej w 2020 r. w „Science". Zamiast przerzucać pracę na bakterie, postanowili samodzielnie wyprodukować takie same struktury jak te, z których korzystają rośliny. Chociaż bowiem fotosynteza wydaje się prostą, kilkuelementową reakcją, w rzeczywistości jest niesłychanie złożonym procesem, w który zaangażowanych jest wiele enzymów i struktur anatomicznych umożliwiających „żonglowanie" elektronami wewnątrz liścia.

Badacze zaczęli od stworzenia sztucznych odpowiedników tylakoidów – struktur, w których zachodzi jasna faza fotosyntezy. Wykorzystali układ mikrofluidowy – w miniaturowych kropelkach płynu, przy użyciu innych enzymów niż te występujące u roślin, udało się im przeprowadzić sztuczną fotosyntezę. A uzyskana wydajność procesu była nawet wyższa niż w naturze.

W pracach nad sztuczną fotosyntezą pojawiały się jeszcze inne podejścia – Virgil Andrei z Uniwersytetu w Cambridge i współpracownicy wykorzystali w 2019 r. kobalt do przekształcenia dwutlenku węgla i wody w tzw. gaz syntezowy (można z niego uzyskać np. syntetyczną benzynę), a zespół z Waterloo University stworzył sztuczny liść, który zużywał kłopotliwy gaz cieplarniany i wytwarzał metanol.

Szpinak wysyła e-mail

W przyszłości rośliny mogą stać się nie tylko inspiracją dla syntetycznych rozwiązań, ale także ich docelowymi odbiorcami. W wielu miejscach trwają bowiem także prace nad wyposażeniem roślin w całkiem nowe właściwości. Jedną z nich miałaby być bioluminescencja.

W 2017 r. Michael Strano z MIT opisał w „Nano Letters" wyniki prac, których celem było stworzenie roślin świecących w ciemności. Ich podejście określa się mianem nanobioniki – czyli łączenia naturalnych tkanek z materiałami syntetycznymi w nanoskali. Uczeni wzbogacili tkanki roślinne w enzym (lucyferazę) przekształcający związek lucyferynę (występującą m.in. u świetlików) w oksylucyferynę – molekułę emitującą światło.

Co nam po roślinach świecących w ciemności? Przede wszystkim mogłyby pomóc ograniczyć zużycie energii elektrycznej. Autorzy opisanego projektu twierdzą, że opracowane przez nich rozwiązanie pozwala roślinie świecić przez około 3,5 godziny, a marzą im się świecące drzewa, które zastąpiłyby w miastach latarnie – zakładając, że cały proces udałoby się usprawnić.

Rośliny można nauczyć jeszcze innych sztuczek. W 2016 r. na łamach „Nature Materials" opisano efekty prac (m.in. wspomnianego już prof. Strano) nad stworzeniem roślin, które wykrywają materiały wybuchowe. Autorom publikacji udało się wyhodować m.in. szpinak, który po zetknięciu się z substancjami znajdującymi się w minach przeciwpiechotnych emitował fale światła o określonej długości (w tym przypadku – podczerwień). Poza tym takie rośliny zachowywały wszystkie swoje typowe funkcje – można by je normalnie uprawiać tam, gdzie występuje zagrożenie.

Taki system ostrzegawczy mógłby działać bardzo szybko. Według autorów badania, od pojawienia się w glebie lub wodach gruntowych substancji wybuchowych do przekazania sygnału przez roślinę powinno minąć ok. 10 min. Badacze opracowali nawet metodę, dzięki której roślina mogłaby pośrednio wysyłać e-mail o zagrożeniu występującym na danym terenie. Dla uzyskania takiego efektu wystarczy ustawienie kamery na podczerwień podłączonej do komputera, który wykrywszy emisję odpowiedniej długości fali z liści rośliny, wysyła wiadomość. Ze zdjęciem rośliny „informującej" o zagrożeniu w załączniku.

Analogiczne wiadomości mogą być wysyłane w odpowiedzi na inne sygnały. Rośliny są lepiej przystosowane do precyzyjnego wykrywania związków chemicznych w środowisku niż zwierzęta – nawet te posiadające znakomity węch. Trwają już prace nad stworzeniem upraw, które byłyby w stanie wychwytywać subtelne zmiany w składzie powietrza czy gleby i „przewidywać" suszę, na długo zanim nasza ludzka aparatura jest w stanie to zrobić. Nanobionika mogłaby w przyszłości doprowadzić do powstania roślin, które wykrywają substancje toksyczne w środowisku albo same dają znać, gdy stężenie środków ochrony roślin zastosowanych na polu jest zbyt duże.

Według jeszcze bardziej odległych i futurystycznych wizji rośliny mogłyby być wykorzystywane nawet do przechowywania danych. Odbywałoby się to na podobnej zasadzie, ↦

↦ na jakiej działają współczesne dyski zewnętrzne, tylko że zamiast „języka maszyn", czyli ciągów zer i jedynek, organiczne dyski wykorzystywałyby „język życia": kod genetyczny złożony z czterech rodzajów zasad azotowych.

Plantoid w kosmosie

Niektórzy uczeni mają inny pomysł. Zamiast modyfikować organizmy roślin, wolą z nich czerpać inspiracje i na ich podobieństwo budować wielozadaniowe roboty. Plantoidy – bo tak właśnie określa się urządzenia, których szkielet przypomina pokrój rośliny – są oparte na innym planie niż większość kojarzonych przez nas maszyn. Układ ciała zwierzęcia to zwykle scentralizowany system (z mózgiem odgrywającym kluczową rolę), który zarządza kończynami i rozmaitymi procesami fizjologicznymi. Podobnie zbudowane są zwykle nasze klasyczne roboty: posiadają procesor, który wydaje polecenia podzespołom. Rośliny wykorzystują inne rozwiązanie – każda z ich części podejmuje decyzje bardziej autonomicznie. Np. stożki wzrostu w korzeniach same „decydują", w którą stronę i jak podążać oraz czego unikać. To system bardziej rozmyty, zdecentralizowany, a roślinom w zasadzie brak jest organów, które są niezastąpione i których utrata oznacza śmierć. To właśnie te cechy – wraz z ogromną precyzją analizowania składu środowiska – zainspirowały badaczy do stworzenia plantoidów.

Jednym z większych projektów tego typu był „Plantoid Project", który kilka lat temu realizowano w Centrum Mikrobiorobotyki w Istituto Italiano di Tecnologia. W jego toku uzyskano plantoid, który budową przypominał korzenie roślinne i – podobnie jak one – zaopatrzony był w system czujników wykrywających różne „zmienne środowiskowe", np. skład określonych substancji chemicznych. W tym przypadku inspiracja roślinami była jeszcze dalej posunięta, bowiem plantoid rósł przez cały czas swojego funkcjonowania. Wykorzystując technologię druku 3D, robot był w stanie nie tylko poruszać członkami, ale też budować własne „ciało".

A. SKORA / MASTER BURN / ADOBE STOCK

Nie ma również wątpliwości, że rośliny przyszłości będą towarzyszyły naszym kolejnym próbom podboju kosmosu. Na tę chwilę każda wyprawa człowieka poza Ziemię wiąże się z koniecznością zabrania ze sobą całego prowiantu. Będzie się to musiało zmienić, jeśli zamierzamy wysyłać załogi na dłuższe loty w przestrzeń kosmiczną lub na inne planety, choćby Marsa. Ich uczestnicy będą musieli przynajmniej częściowo wyhodować swoje pożywienie na miejscu. Nic więc dziwnego, że organizacje zajmujące się lotami kosmicznymi od dawna interesują się wzrostem roślin w warunkach pozaziemskich. Ostatniego większego odkrycia w tej dziedzinie dokonano 6 lat temu, gdy NASA ogłosiła wyniki swojego eksperymentu dotyczącego wzrostu organizmów samożywnych w warunkach mikrograwitacji.

Okazało się, że rośliny są w stanie prawidłowo rosnąć i rozwijać się bez udziału przyciągania ziemskiego, a ich korzenie w kosmosie penetrują glebę w sposób podobny jak na powierzchni naszego globu. Jednocześnie zauważono, że w hodowanych w ten sposób sadzonkach doszło do zmian w ekspresji niektórych genów. Czy ma to jakieś znaczenie użytkowe dla człowieka, czy modyfikacja ta wpłynie na skład i wartość odżywczą upraw – tego jeszcze nie wiemy. Jednak inne badania, np. opublikowane w zeszłym roku w „Nature Plants", wykazały, że rośliny mogą reagować zmianą ilości składników odżywczych i antyodżywczych w odpowiedzi na subtelne wahania stężenia substancji chemicznych w ich środowisku. Jest to tym bardziej istotne, że wiele z uprawianych przez nas współcześnie warzyw wywodzi się od roślin, które były dla nas trujące lub zdatne do spożycia tylko w niewielkich ilościach czy po odpowiedniej obróbce (np. ziemniaki, maniok). Posiadają więc potencjał do tego, by negatywnie oddziaływać na nasze zdrowie. To oznacza, że planując uprawy przyszłości w warunkach innych niż ziemskie, musimy wziąć pod uwagę, iż nawet dobrze znane nam gatunki roślin mogą dawać inne plony niż te, które znamy z naszego globu.

Na rozwiązanie tego oraz innych, potencjalnych problemów związanych z roślinami przyszłości mamy jeszcze trochę czasu, ponieważ wszystkim powyższym projektom – od sztucznej fotosyntezy po plantoidy – daleko jeszcze do masowych wdrożeń. Jednak każdy z tych konceptów jest systematycznie i skrupulatnie rozwijany. Niewykluczone zatem, iż przyszłość przyniesie nam całkiem nowy trend. Mianowicie: że technologia, zamiast oddalać nas od natury, przybliży nas do niej. I spowoduje, że wrócimy „do korzeni".

© MARTA ALICJA TRZECIAK

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 266/21 toczy się postępowanie z wniosku Moniki Pilat o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności części nieruchomości położonej w gminie Wilków, obręb 21-Kolonia Wrzelów, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 700, o powierzchni 1,28 ha, która posiada założoną księgę wieczystą nr LU1O/00000090/1.

Sąd wzywa wszystkich, którzy roszczą sobie prawa do ww. nieruchomości, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i wykazali swoje prawa, albowiem w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie jej własności zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie ono udowodnione.

ALBERTO GHIZZI PANIZZA / AFP / EAST NEWS

Niektórzy biolodzy twierdzą, że rośliny wykazują elementarną świadomość, a ich repertuar zachowań można porównać do tego obecnego u owadów.

Nie całkiem zielone

PAWEŁ JEDYNAK

Czy rośliny się uczą? Pytanie może wydawać się dziwne, ale w nauce nie można niczego zakładać z góry. Trzeba przeprowadzić eksperyment.

Zwierzęta są znacznie wygodniejszym materiałem do badań, bo „coś robią" – zmienia się ich zachowanie, poruszają się. Możemy zobaczyć, jak podejmują decyzje, skręcając w labiryncie, i zapamiętują lepsze oraz gorsze wybory, gdy ponownie znajdą się w tym samym labiryncie kolejnego dnia. W naturze pomaga im to mierzyć się z przeciwnościami losu, uciekać w cień podczas skwaru i chować się do ciepłej nory, gdy zapada zmrok. Ale rośliny też borykają się z różnymi problemami, więc i one powinny „coś robić", aby zapamiętywać i lepiej przygotowywać się na czekające wyzwania. Dobór naturalny jest bowiem bezlitosnym sitem, które w toku ewolucji wyeliminowałoby niedostatecznie przygotowane organizmy.

Aby rozstrzygnąć, czy rośliny rzeczywiście potrafią się uczyć i zmieniać swoje reakcje, potrzebny będzie eksperyment. Już w latach 60. XX w. zaobserwowano, że mimoza, znana z błyskawicznego składania liści w odpowiedzi na dotyk, przestaje reagować na powtarzające się szturchnięcia. Czy można to nazwać przyzwyczajeniem się do bodźca – a więc formą nauki – czy tylko wymęczeniem organizmu? Aby to sprawdzić, zastosowano kilka bodźców. Początkowo mimozę stymulowano, zraszając ją kroplami wody, a gdy przestawała reagować, poszturchiwano ją palcem. Okazało się, że na nowy bodziec roślina reagowała. W 2014 r. Monica Gagliano z Uniwersytetu Krzyża Południa w Nowej Południowej Walii przyjrzała się temu zjawisku jeszcze dokładniej. Trenowała swoje mimozy, przyzwyczajając je do szturchnięć. I odkryła, że nawet po miesiącu od ostatniej stymulacji rośliny nie reagowały na taki sam dotyk. Powinni o tym pamiętać właściciele tych kwiatów – jeśli zbyt często będą zmuszać je do demonstrowania swoich umiejętności, to te w końcu przestaną reagować.

Mimozy mogą najprawdopodobniej rozpoznawać i klasyfikować różne rodzaje bodźców, czasem bardzo precyzyjnie. Udało się ustalić, że roślina ta z czasem przestaje reagować na gwałtowne szarpnięcie w dół, jednak nawet wtedy zwija liście, gdy z równą siłą poruszy się nią w bok.

Wiele wskazuje więc na to, że rośliny nie tylko reagują na bodźce, ale także klasyfikują je jako groźne lub nie i długo o tym pamiętają. Mimoza nie jest wyjątkiem. W serii eksperymentów groch musiał pokonać drogę w labiryncie (dla naukowców labiryntem jest także pojedyncze rozwidlenie korytarza w kształcie Y). Zwierzęta uczą się precyzyjnego nawigowania, jeśli czeka na nie na końcu jakiś smakołyk. Dla rośliny nagrodą jest światło, napędzające fotosyntezę. W tych eksperymentach okazało się, że groch można uwarunkować. Z kierunku padania światła zawsze dmuchano na roślinę strumieniem powietrza. Wykonano więc podobne doświadczenia jak ze słynnymi psami Pawłowa – „jedzenie" łączono z neutralnym bodźcem. I analogicznie jak psy, wytrenowane rośliny wybierały tę odnogę labiryntu – rosnąc w odpowiednią stronę – z której padał podmuch powietrza, nawet jeśli później nie były już oświetlane. To zdaje się potwierdzać istnienie u roślin podstawowego mechanizmu uczenia się i obecność odruchu warunkowego.

Prąd w łodydze

Jak to jednak możliwe, że rośliny potrafią cokolwiek odczuwać? Badania molekularne pomogły zrozumieć, że dysponują całym arsenałem receptorów – np. światła. Rozróżniają światło czerwone, niebieskie, a także reagują na ultrafiolet i niektóre zakresy podczerwieni.

Rośliny reagują też na temperaturę oraz na dotyk, nacisk czy rozciąganie (wąsy czepne ogórka czy dyni muszą „wiedzieć", że dotykają podpory, o którą należy się zaczepić). Odpowiedzialne za wyczuwanie tych bodźców receptory znajdziemy u wszystkich roślin. Kanianka, pasożytnicza roślina spokrewniona z powojem, reaguje na wydzielane przez swoje ofiary cząsteczki zapachowe – potrafi rosnąć i wyginać swoje bezlistne pędy bezbłędnie w kierunku sadzonek pomidorów.

Często jednak jedyną reakcją, jaką możemy wykryć u roślin, jest zmiana aktywności genów. Wzrost temperatury w upalny dzień nie sprawi, że ucieknie ona do cienia – zamiast tego zacznie produkować więcej przeciwutleniaczy, więcej białek naprawiających uszkodzenia ↦

↦ i barwniki działające jak krem z filtrem UV. Żerowanie gąsienic powoduje drgania i dźwięki odbierane za pomocą włosków (trichomów) na liściach rzodkiewnika – te dźwięki uruchamiają produkcję związków obronnych. Roślina może także zapamiętać porę, gdy wystawiona jest na atak (co można zademonstrować w laboratorium, nakładając głodne larwy na liście o wybranej godzinie) – i uruchamiać procesy obronne dokładnie na czas. Zaobserwowano także, że buczenie zapylaczy stymuluje wydzielanie nektaru.

Wiemy też, że korzenie roślin wydają dźwięki, i odkryliśmy całą gamę precyzyjnie wydzielanych hormonów, regulujących wzrost, obronę przed patogenami, a nawet wydzielanych w formie gazowej – zatem potencjalnie mogących odgrywać rolę w komunikacji pomiędzy osobnikami. W ostatnich latach stwierdzono występowanie w roślinach zjawisk elektrofizjologicznych, czyli możliwość przesyłania sygnałów elektrycznych pomiędzy komórkami, oraz występowanie tzw. potencjałów czynnościowych, przypominających te obserwowane w neuronach zwierząt.

W odkryciu tym wykorzystano mszyce, które wbijały swój narząd ssący precyzyjnie w komórki łyka – roślinnej tkanki przewodzącej. Mszycę odcinano następnie laserem, a do wbitej w roślinę owadziej rurki podpinano elektrody miernika. Rośliny transportują również wodę i sole mineralne w tkance zwanej drewnem – mamy tu więc do czynienia z przewodzącym prąd elektrolitem. Okazuje się, że sygnały elektryczne przekazywane są tą drogą na dalekie odległości, w kilka-kilkanaście minut mogą pobudzić całe drzewo, a do rozpoczęcia sygnalizacji wystarczy czasem podrażnienie jednego z liści. Falę elektrycznego szoku może wyzwalać przypalenie płomieniem lub kropla bardzo zimnej wody. To właśnie takie sygnały elektryczne inicjują opadanie liści mimozy czy zamykanie się pułapek muchołówki.

Prywatne życie roślin jest jeszcze bardziej złożone – mają one własny zegar biologiczny, wykazują rytmy dobowe i związane z nimi czas spoczynku oraz wzmożonej aktywności. Do tego dochodzi fascynujące spektrum interakcji, w jakie wchodzą z mikroorganizmami. Zwykle kojarzy się je z mikoryzą (związkiem partnerskim z grzybami), ale wydzielając do gleby m.in. aminokwasy, rośliny mogą stymulować namnażanie się korzystnych dla siebie bakterii glebowych, tworząc całe sieci zależności.

Pasożytnicza kanianka reaguje na wydzielane przez ofiarę cząsteczki zapachowe. Potrafi rosnąć **i wyginać swoje bezlitosne pędy w kierunku sadzonek pomidorów.**

Jak zwierzę

O tym, jak złożone potrafią być zachowania roślin, można się przekonać, oglądając filmy poklatkowe nakręcone przez zespół Františka Baluški z Uniwersytetu w Bonn. Można na nich zobaczyć korzenie roślin wykonujące robakowate ruchy w poszukiwaniu wszelkich szczelin, w które mogłyby się wcisnąć – trudno nie odnieść wrażenia, że patrzy się na zwierzę. Ale Baluška idzie o krok dalej. Dostrzega w tych ruchach znacznie więcej i jest zdania, że rośliny dysponują inteligencją, a nawet świadomością. Uważa, że w korzeniach (trwałych, zimujących organach) należy szukać mózgu roślin, używając przy tym określenia „neurobiologia roślin". Wskazuje, że komórki roślin produkują szereg neurotransmiterów – substancji, które w ludzkim mózgu służą do komunikacji między neuronami.

Wielu naukowców odrzuca jednak propagowany przez Baluškę pogląd, iż rośliny mają uczucia, są wrażliwe na ból czy też bawią się z sobą jak młode ssaki czy ptaki. Znany autor podręczników akademickich Lincoln Taiz zwraca uwagę, że takie tezy nie wynikają wprost z zebranych danych i mogą być nadinterpretacjami, podczas gdy na naukowcu ciąży odpowiedzialność za słowa. Stąd samo pojęcie „neurobiologia roślin" jest dla niego kontrowersyjne – wszak rośliny nie mają neuronów ani tym bardziej mózgu, a neurotransmitery wydzielane także w tkankach zwierząt działają w nich po prostu jak hormony.

Prawo do uczuć

Może dziwić, że naukowcy kłócą się o interpretacje, a nie o same fakty, ale prosty przykład pozwala zrozumieć istotę tego sporu. W latach 90. XX w. Wouter Van Hoven badał problem zagadkowej masowej śmierci antylop kudu. W jednym sezonie padło nawet trzy tysiące zwierząt, a wszystko za sprawą suszy i etylenu – gazowego hormonu roślin, wydzielanego m.in. podczas żerowania roślinożerców. Obgryzana z liści kępa drzew akacji, znakomicie radzących sobie podczas suszy, rozpylała tę substancję, wywołującą nagromadzenie w liściach toksycznych dla zwierząt tanin. Etylen rozwiewany z wiatrem docierał do kolejnych, odległych drzew akacji, uruchamiając w nich produkcję toksyn. Wkrótce na całym obszarze nie pozostało już wiele jadalnych liści. Od ponad trzech dekad to spektakularny przykład komunikacji między osobnikami roślin – zaatakowana wszczyna alarm i jej pobratymcy się mobilizują. To możliwa interpretacja, ale równie prawdopodobne jest, że produkcja etylenu zachodzi tylko na użytek jej producenta – ta metoda działa szybciej niż transport hormonu przez tkanki, a alarmowanie innych osobników odbywa się przypadkiem, gdy „pomyłkowo" odczytują one obcy sygnał jak własny.

Nie jesteśmy w stanie tego rozstrzygnąć, bo nie możemy się wczuć w stan rośliny – ale przecież nie możemy również spojrzeć na świat oczami innego zwierzęcia.

Wielu neurobiologów odmawia możności czucia bólu choćby karpiowi, którego układ nerwowy nie zawiera obszarów koniecznych dla odczuwania bólu u człowieka. Na tej samej podstawie odmawia się roślinom możliwości czucia i bycia świadomymi, gdyż wydaje się, że do tego potrzebny jest mózg, którego są pozbawione. Naukowcy przypisujący ból rybom często po prostu odhaczają z listy współwystępujące z bólem fenomeny (np. wrażliwość na anestetyki, znoszące przewodnictwo elektryczne u zwierząt – ale co ciekawe także u roślin) i na podstawie określonej ich liczby przypisują zwierzęciu prawo do czucia.

Wiemy jednak na pewno, że rośliny nie są biernym elementem krajobrazu, zielonym dywanem, po którym przechadzamy się w parku, ale aktywnym bytem, prowadzącym bujne życie pod naszymi stopami. © PAWEŁ JEDYNAK

Autor jest doktorem biologii, pracuje na Wydziale Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii UJ. Członek Stowarzyszenia Rzecznicy Nauki.

JACEK

Podsiadło:
Pierwszy ma pierwszeństwo

Syndrom gotowanej żaby, taktyka polegająca na ciągłym przesuwaniu granic przyzwoitości (władz) i wytrzymałości (obywateli, żeby nie powiedzieć: ludzi), to zjawisko obserwowalne na osi czasu sięgającej daleko poza początki państwowości pisowskiej. Większość złych cech państwa PiS to cechy samego państwa, które dzięki nałożeniu na nie złych cech *stricte* pisowskich zyskują tylko na wyrazistości.

Żabę przyrządza się dwutorowo: gotuje się żabę jako gatunek, ale też podgrzewa się atmosferę wokół każdej żaby z osobna. Przepisy na żabę *en bloc* to fundamentalne dla „państwa prawa" odwieczne przepisy, złote paremie prawne, nienaruszalne prawdy w rodzaju: *dura lex, sed lex*; *ignorantia iuris nocet, ignorantia facti non nocet*; *ignorantia legis non excusat*. Właśnie ignorancja będzie mnie dziś zajmować, ale nie ignorancja poddanych prawu, lecz prawodawców.

Żeby nadać bezprawiu walor prawa, trzeba trochę sprytu. Dokonać tego, nie naruszając nienaruszalnych prawd, można albo naciągając rzeczywistość do tych prawd, albo zmieniając znaczenie słów, za pomocą których prawdy te są sformułowane.

W przypadku dogmatu o obowiązku przestrzegania nieznanych ustaw rzeczywistość, do której się go stosuje, zmieniła się gruntownie. Zastanawialiście się, dlaczego prawnicze paremie wyrażone są w łacinie? Bo pochodzą sprzed stuleci, z czasów, kiedy łacina była językiem wszystkich uczonych, kiedy świat był prostszy i nie było smartfonów, ani nawet samochodów. Odruchowo akceptujemy ten dogmat, bo pierwsze przykłady przychodzące na myśl są właśnie proste: kiedy złodziej ukradnie smartfon, nie chcemy, żeby mógł się usprawiedliwić tym, że nie znał przepisów zabraniających kradzieży smartfonów. Poza tym wyobrażamy sobie, że prawo stanowione, podobnie jak przed wiekami, wypływa z prawa moralnego lub praw logiki, zatem każdy może się go domyślić, nawet nie znając jego litery. Ale tak nie jest. Już nie. Jeśli mam smartfon, regularnie otrzymuję powiadomienia o zmienionych regulacjach prawnych, ostatnie dotyczyło „zasad prywatności konta Samsung". 32 000 znaków, czyli równowartość siedmiu moich felietonów, ale w odróżnieniu od nich sformułowana w niemożliwej do zrozumienia karykaturze języka („Podmioty trzecie kontrolujące witryny WWW, aplikacje, usługi i funkcje mogą działać niezależnie od firmy Samsung i mogą mieć własne zasady lub polityki dotyczące prywatności. Zalecamy zapoznanie się z nimi, aby się upewnić, że rozumiesz, w jaki sposób przetwarzają Twoje informacje, a także zapoznanie się z niniejszymi Zasadami prywatności, aby się dowiedzieć, jak przetwarzamy Twoje informacje"). Kto ma samochód, musi bardzo dobrze znać kodeks drogowy: 325 stron. W odróżnieniu od biografii smartfona ta akurat książka cieszy się dużym zainteresowaniem czytelników. Ja też się przy niej zatrzymam.

Jak wiadomo, przepisy ruchu drogowego służą czerpaniu przez państwo lub nadzorowane przez nie „samorządy" dochodów z wykroczeń popełnianych przez kierowców. Reguły pierwotnie służące bezpieczeństwu uczestników ruchu musiały zatem zostać przeformułowane tak, żeby uniemożliwić kierowcom jazdę zgodną z przepisami. Np. w dużych miastach wystarczy przestrzegać jednego tylko przepisu, żeby nigdzie nie dojechać, a dodatkowo być otrąbionym i ofakowanym przez milion szoferów: „zabrania się wjeżdżania na skrzyżowanie, jeżeli na skrzyżowaniu lub za nim nie ma miejsca do kontynuowania jazdy" :-). Wśród ostatnich zmian w tych przepisach najwięcej miodu leją na wątrobę człowieka wersety, jakich Orwell z Bareją nie daliby rady spłodzić w ciągu jednego miodowego miesiąca. Prym wiedzie nowe rozumienie istoty pierwszeństwa, pozornie konserwatywne, bo nawiązujące do odwiecznej zasady „kto pierwszy, ten lepszy", ale twórczo tę zasadę modyfikujące.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że ustalanie pierwszeństwa w ruchu drogowym miało kiedyś służyć określeniu z góry, który z dwóch będących na kolizyjnym kursie obiektów ma pierwszeństwo, a który ma obowiązek przepuszczenia drugiego. Innymi słowy, który z obiektów ma jako pierwszy znaleźć się w miejscu przecięcia się ich tras. Obecne przepisy mówią o tym, że pierwszeństwo ma ten, kto jest w tym miejscu pierwszy: „Pieszy znajdujący się na przejściu dla pieszych ma pierwszeństwo przed pojazdem. Pieszy wchodzący na przejście dla pieszych ma pierwszeństwo przed pojazdem". Widzę tu poważną lukę prawną, bo nic się nie mówi o pierwszeństwie pieszego schodzącego z przejścia – jak któryś kierowca zrobi pieszemu z luki garaż, niech się powoła na mój felieton. Ale to na marginesie. Jawne nakłanianie do wyścigów o palmę pierwszeństwa znajdujemy w paragrafie: „Kierujący pojazdem, zbliżając się do przejścia dla pieszych, jest obowiązany (...) zmniejszyć prędkość tak, aby nie narazić na niebezpieczeństwo pieszego znajdującego się na tym przejściu albo na nie wchodzącego i ustąpić pierwszeństwa pieszemu znajdującemu się na tym przejściu albo wchodzącemu na to przejście". Tak naprawdę przepis ten mówi, że pierwszeństwo ma ten, kto je sobie wymusi. Bo jeżeli jadę motorynką, widzę przejście dla pieszych i pieszego, który jeszcze na nie nie wchodzi, to co robię? Wiadomo, przyśpieszam, żeby zawalidroga nie zdążyła mi wleźć pod koła. Co robi pieszy? Też przyśpiesza, bo wie, że jak tylko zacznie wchodzić na przejście, to on będzie miał pierwszeństwo. W ten sposób wszyscy poruszamy się bardziej energicznie, świat kręci się coraz szybciej, interes coraz lepiej, a ludzie żyją dostatniej. ©

KULTURA

ZWIERZENIA MEDIALNYCH ELIT

Polskie elity symboliczne dobrze wiedzą, że uczyniły z debaty publicznej jałowy rytuał i spektakl polaryzacji. Grają w tę grę, bo nie mają pomysłu, jak zmienić reguły.

TEKST MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

ILUSTRACJA NATALIA POLASIK DLA „TP"

W poniedziałek 3 października na portalu „Krytyki Politycznej” ukazał się wywiad z Tomaszem Lisem, pierwszy od momentu, kiedy latem wysunięto wobec ikony dziennikarstwa zarzuty mobbingu i molestowania seksualnego. Rozmowę prowadziła redaktorka naczelna portalu, Agnieszka Wiśniewska. Pomysł wydawał się trafiony: oto progresywna publicystka przepytywała reprezentanta medialnego establishmentu, który zwykle występował w roli głosu pouczającego innych, a nie rozliczanego. Smaku dodawało to, że po wybuchu skandalu Wiśniewska zastąpiła Lisa w porannej audycji Jacka Żakowskiego w radio TOK FM. Piątkowa „trzódka” Żakowskiego, spotykająca się od 19 lat (aż do śmierci Tomasza Wołka we wrześniu), była dla jej krytyków synonimem „dziaderskiego” zaklinania świata. Wiśniewska miała to „boomerskie” towarzystwo wzajemnej adoracji nieco rozbić.

W rozmowie z Lisem padają rzadko słyszane słowa. „Zrozumiałem, że moje metody zarządzania były trochę retro. (...) A może bardzo retro – mówi były redaktor naczelny „Newsweeka” – trzeba tę zmianę przyjąć, zaakceptować i jakoś się do zmiany przystosować. Debata, mentalność ludzi jest już inna”. Mimo to wywiad jest głęboko rozczarowujący, rozmówcy krążą wokół problemu, nie chcąc go ugryźć. Lis oskarżenia o mobbing odrzuca i zdaje się mówić, że zrozumiał tyle, iż musi przeprosić tych, którzy poczuli się urażeni, ale jego sprawa to wiele hałasu o nic. Dziennikarka, chcąc nie chcąc, to przyjmuje.

Parę dni później Jacek Żakowski zapowiedział, że w piątek 21 października Tomasz Lis może wrócić do Tok FM (ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła). Sam udzielił wywiadu „Gazecie Wyborczej”, wybierając rolę pośrednika między starymi a młodymi wilkami. „Samo myślenie w kategoriach »my« – »wy« jest pułapką. Są wśród »was« ludzie fajni i są świnie, są błyskotliwi analitycy i są idioci. Tak samo wśród starych, dziennikarzy, menedżerów libków i lewicy – przekonywał i rzucił młodym rękawicę. – Nie chodzi o to, żeby usiąść na miejscu Lisa, tylko żeby odbiorcy Lisa zaakceptowali cię jako następcę Lisa”. Twitterowo-facebookowy komentariat rękawicę podniósł, po czym wrzucił w błoto. Zaczęto się boksować oskarżeniami o paternalizm i ignorancję.

Wiadomo, że jest źle

Burza wokół Tomasza Lisa i innych dziennikarzy głównego nurtu to niszowy i środowiskowy spór. Dla młodszych odbiorców – szum tła i, w najlepszym przypadku, mem. Młodzi nie tylko nie korzystają z tradycyjnych mediów, ale czasem nawet nie kojarzą nazwisk-symboli liberalnego dziennikarstwa III RP, takich jak Jacek Żakowski, Monika Olejnik czy Adam Michnik. Nie lepiej wygląda znajomość tuzów mediów prawicowych. Dwudziestolatkowie kojarzą prędzej Wojciecha Cejrowskiego niż braci Karnowskich. Rozpoznawalność Lisa nadal jest relatywnie duża, ale raczej nie z powodu doniosłości jego poglądów. Po prostu były naczelny „Newsweeka” jest aktywnym użytkownikiem Twittera, zbierającym skrajne komentarze, i nieślubnym teściem rapera Taco Hemingwaya.

Mimo to sprawa Lisa jest warta namysłu. To nie tylko symptom feudalnych relacji w mediach jako zakładach pracy. To także znak tego, że dyskurs publiczny przestaje być środkiem komunikacji między tymi, którzy go tworzą. Nie chodzi już o to, że debata jest spolaryzowana i między przeciwnymi obozami nie ma nawet wątłej nici porozumienia, ale o to, że także autorom o mniej więcej zbliżonym światopoglądzie nie chce się ze sobą szczerze pogadać. Bagatelizowanie spraw obciążających kogoś z własnego środowiska oznacza dziś nie tylko obronę *status quo*, ale jest wyrazem rozczarowania grupą, do której się należy. W tej niechęci do krytyki tkwi zresztą coś racjonalnego. Nie ma sensu przekłuwać balonu samozadowolenia tych, którzy profesjonalnie zajmują się jego pompowaniem.

Jednocześnie zewsząd słychać głosy niezadowolenia polskim dyskursem publicznym. Prym w tym lamencie wiodą ludzie mediów. Ubolewanie nad niską jakością komunikowania to dyżurny temat dla komentatorów życia politycznego i społecznego. To również poręczna „wrzutka” dla polityków. Jeśli brakuje argumentów, najłatwiej zarzucić oponentowi, że jego ugrupowanie psuje dyskurs publiczny. I w zasadzie będzie to prawda. Dyskurs psują wszyscy – choć w różnym stopniu.

Badacze dyskursu, do grona których należę, powinni się cieszyć. Uprawiana przez nas krytyka komunikacji publicznej rezonuje w mediach, a za ich pośrednictwem trafia pod strzechy. Problem w tym, że medialnie przetworzona krytyka jest fatalistyczna. Utrwala wizję totalnego i nieprzekraczalnego podziału na Polskę pisowską i antypisowską. Zwykle jest jałowa, bo nie podejmuje wysiłku szukania środków naprawczych, oraz narcystyczna, gdyż jej autorzy oceniają innych, chroniąc siebie samych przed oceną. Jest też modna i potrzebna rynkowi medialnemu jako listek figowy dla brutalnej konkurencji. Sięgając do socjologów kapitalizmu Daniela Bella (którego „Kulturowe sprzeczności kapitalizmu” przywołuje Żakowski we wspomnianym wywiadzie), Luca Boltanskiego i Ève Chiapello, można powiedzieć, że jest to krytyka oswojona przez rynek.

Krytyka może być błaha, ale nie jest czymś niewinnym, jeśli pada z ust tych, którzy parają się wyjaśnianiem innym, jak należy rozumieć oraz oceniać to, co się dzieje w Polsce i na świecie. Są to elity symboliczne. Tę kategorię wprowadził 30 lat temu Teun van Dijk, holenderski badacz dyskursu, zainspirowany socjologiem Pierre’em Bourdieu. Szybko zadomowiła się w polskich badaniach komunikacji publicznej. Odnosi się do osób, które mają władzę nad znaczeniami i symbolami. Które z racji zawodu i obecności w mediach wpływają na to, co ludzie myślą o rzeczywistości, jak oceniają bieżące zdarzenia, co uważają za prawdziwe i moralne. Ten typ elit odpowiada za to, o czym dyskutuje się w mediach i w polskich domach.

Badania polskich elit symbolicznych pokazują, że jeszcze do niedawna ton debacie publicznej nadawała inteligencja promująca własny model wykształcenia i wychowania obywatelskiego. Jednak już w latach 90. elity symboliczne przystąpiły do rytualizacji sporu politycznego i inscenizowania pluralistycznej dyskusji. To, co miało być gwarantem ich władzy symbolicznej, okazało się ich zgubą. Przemiany technologiczne i rynkowe tylko przyspieszyły proces przez nie zapoczątkowany – odrywania się debaty publicznej od rzeczywistości społecznej. Wedle badań sondażowych CBOS dziennikarze są jedną z kilku profesji, której ocena uczciwości i rzetelności radykalnie spadła na przestrzeni dwóch dekad. Większość Polaków (bez względu na światopogląd) nie ufa mediom i uważa je za stronnicze. Kategoria elit symbolicznych staje się pusta i anachroniczna. Przez wiele lat ↦

↦ elitom udawało się zaprzeczać tym zjawiskom i zachowywać dobre samopoczucie. Nowe jest to, że już się tak nie da.

Badanie elit

Szukając konstruktywnej odpowiedzi na pytanie o kondycję elit symbolicznych, zwróciłam się bezpośrednio do nich. Było to latem i jesienią zeszłego roku, a więc przed sprawą Lisa, ale „egzystencjalne" problemy tej grupy zaczęły się dużo wcześniej. Badałam ich umiejętność dostrzegania tego, jak dyskurs publiczny oddziałuje na ludzi i świat, odróżniania skomplikowanej rzeczywistości od jej uproszczonych obrazów, którymi karmią nas media, oraz – co okazało się najtrudniejsze – gotowość do krytyki własnego udziału w debacie publicznej.

Nie interesowało mnie tendencyjne utyskiwanie na ludzi mediów, dlatego świadomości dyskursowej szukałam tam, gdzie miałam nadzieję ją znaleźć. Do udziału w badaniach zapraszałam osoby, które często podają w wątpliwość jakość debaty publicznej i samych elit symbolicznych. Niektóre wręcz słyną z tego, że krytykują swoje środowisko. W tej *crème de la crème* krytyki medialnej znalazło się 21 dziennikarzy, publicystów i intelektualistów, którzy są związani z ogólnopolskimi mediami opiniotwórczymi. Jedni zaczynali w prasie, inni w radiu, telewizji lub internecie, a dziś są obecni zarówno w starych, jak i nowych mediach. Większość jest aktywna na Twitterze, Facebooku lub YouTubie.

Przeprowadziłam wywiady swobodne z siedmioma kobietami i czternastoma mężczyznami w wieku 32-64 lata, o różnej przynależności światopoglądowej. Moich rozmówców pytałam o to, co uważają za najpoważniejsze dziś problemy i deficyty debaty publicznej, jak oceniają wpływ dyskursu elit na komunikację społeczną, jak postrzegają własną pozycję w debacie publicznej i wpływ społeczny, jak wygląda ich komunikacja z innymi autorami medialnymi i publicznością oraz czy mają pomysły, jak „naprawić" dyskurs publiczny. Interesowało mnie nie tylko to, co mówią, ale także jak mówią o tym, co ich mierzi. Ich wypowiedzi traktowałam jako część dyskursu elit symbolicznych, czyli część problemu, który badam.

Spotkałam 21 bardzo inteligentnych ludzi, którzy wszechstronnie diagnozują problemy dyskursu publicznego. Nie ulegają złudzeniu, że kiedyś debata była merytoryczna, a elity mądre, ale przyszedł PiS i wszystko zepsuł. Ani że dziennikarze i publicyści związani z jedną stroną politycznego sporu są wyłącznymi sprawcami upadku debaty, a drudzy to ich ofiary. Jednocześnie powielają szereg uproszczeń i schematów, które u innych z łatwością krytykują.

> Porozmawiałam z przedstawicielami polskich elit. Dobrze wiedzą, że świat jest skomplikowany i nie wszystko jest winą drugiej strony. Co nie przeszkadza im powielać schematów, **które tak krytykują u „tamtych".**

Piekło to inni

Dziennikarze, publicyści i intelektualiści wymieniają znany od lat katalog bolączek dyskursu publicznego. Obok polaryzacji wskazują na bezkrytyczne upodabnianie się mediów do siebie i ich otwarte sympatyzowanie z partiami politycznymi, nieumiejętność dyskutowania elit ze sobą, rywalizację autorów medialnych o zasięgi i akceptację publiczności. Część z nich rezygnuje z mówienia o debacie, nazywając to, w czym uczestniczą, „serią monologów", „wojną światopoglądową", „naparzanką publiczną" lub „kibolstwem politycznym". Wielu wskazuje jeszcze jeden, ich zdaniem kluczowy problem – na to, że elity nie nadążają za dynamiczną rzeczywistością, nie rozumieją kierunków, w jakich zmienia się kultura komunikowania, i proponują stare odpowiedzi na nowe pytania.

Wnioski z analizy wywiadów odsłaniają kilka paradoksów. Po pierwsze, badani akcentują przemożny wpływ mediów na życie polityczne i komunikację społeczną, ale kiedy przychodzi do wskazania przyczyn tego, że nasza debata publiczna jest taka miałka, to ich zdaniem odpowiada za to głównie klasa polityczna, rynek, internet i media społecznościowe oraz publiczność kreująca popyt na konflikt, nazywana przez niektórych „wzmożonym tłumem" albo „stadem". Błędem ludzi mediów jest natomiast naiwność i konformizm, że chodzą na pasku polityków i odbiorców. Badani uważają przy tym, że społeczny wpływ pojedynczego autora, w tym ich własny, jest znikomy. To ich frustruje. „Jeżeli chodzi o morale tych elit symbolicznych, to jest słabo, to znaczy wszyscy jesteśmy potwornie zmęczeni właśnie tym brakiem sprawczości, tym poczuciem, że czego byśmy nie robili, to niczego nie zmienia. Nie jesteśmy w stanie przekonać nikogo do niczego tak naprawdę" – mówi intelektualistka związana z mediami liberalnymi. Jest w tym przekonaniu o braku wpływu sporo racji, ale takie postawienie sprawy trochę zwalnia z odpowiedzialności za dyskurs publiczny.

Po drugie, badani są chętni i gotowi do surowej krytyki elit politycznych i symbolicznych, zwłaszcza ich niskiego poziomu intelektualnego i oderwania od realnych problemów społeczeństwa, ale nie są już tak gotowi do krytycznego spojrzenia na formę i język, w jakich sami opisują innych. Reprezentanci elit symbolicznych zarzucają tej grupie odwoływanie się do „skompromitowanych, rasistowskich pojęć", podsycanie wojny kulturowej, instrumentalne rozmywanie znaczeń fundamentalnych pojęć (jak wolność czy prawa obywatelskie) oraz dzielenie ludzi na „nas" i „onych". Najwięcej zarzutów pada pod adresem autorów liberalnych. „Środowisko, które głosi otwartość, pluralizm, innych poucza na temat pluralizmu, jest po prostu jednym z najbardziej kostycznych, zamkniętych i nienawistnych środowisk w Polsce. Liberalna polska inteligencja jest potwornie sobkowata, nieznosząca nowych myśli, nierozumiejąca świata, czytająca wszystkie rzeczy z Zachodu tylko tak, jak im jest wygodnie" – twierdzi dziennikarz kiedyś związany z liberalnym głównym nurtem dyskursu, dziś krytykujący go z pozycji lewicowych.

Po trzecie, na wizji tego, jaki powinien być dyskurs publiczny, cieniem kładą się podziały i napięcia w gronie elit.

Moi rozmówcy starali się trzymać emocje na wodzy. Jednak ich głos i mimika zdradzały, że jest cały worek spraw, które ich nie tylko irytują i złoszczą, ale głęboko bolą. To akceptacja podziału na dwa obozy i zgoda na przynależność do jednego z nich daje psychiczny komfort. „Mam świadomość, że jak palnę głup-

stwo albo coś zrobię, to będą murem za mną" – opowiada publicystka związana z mediami prawicowymi, ale dodaje, że odstępstwa od linii obozu skutkują natychmiastowym odrzuceniem przez „swoich". O doświadczeniu odrzucenia przez swoje środowisko mówią reprezentanci różnych opcji światopoglądowych. „Największym problemem jest strzał w plecy, czyli czasami ludzie, którzy są teoretycznie po twojej stronie ideowej, jak ci się wydawało, po stronie podobnych wartości, są w stanie jakby pociągnąć za spust" – przyznaje liberalny publicysta. Wtóruje mu autor lewicowy: „tytuły starsze, bardzo mocno podkreślające i pielęgnujące pewien swój etos, są z mojej perspektywy najgorsze (...) stosują bardzo ostre metody zwalczania, wypychania, wyciszania, kancelowania ludzi, którzy się nie mieszczą w ich widełkach".

Może dlatego część z tych, którzy nie chcą ulegać przymusowi mówienia jednym głosem, nazywa siebie symetrystami, mimo że ta nazwa ma wydźwięk inwektywy. Symetryzm jest w dyskursie podzielonym między dwie frakcje, jak mówi konserwatywny dziennikarz, „formą uczciwości intelektualnej" i „metodą myślenia ponad obozami". Inni wskazują jednak na pułapki takiego myślenia, bo „żeby zaakceptować siebie w roli symetrysty, trzeba zaakceptować podział na dwa obozy najpierw". Popularność etykietki symetrysty jest raczej wyrazem braku odpowiedniego języka do nazwania tego, kim badani chcieliby być.

Po czwarte, rytualność i schematyzm debaty publicznej jest jawną tajemnicą. „Przecież my wszyscy wiemy, że to jest rytuał, że nic, że piszemy do swoich kibiców (...) że nikogo nie interesuje tak naprawdę wymiana myśli, tylko wszystkich interesuje, żeby jakoś się utrzymać na powierzchni i być w jakiejś drużynie" – tak podsumowuje to lewicowy dziennikarz. Wszyscy wiedzą, że biorą udział w spektaklu, i nawet jego krytycy koniec końców grają przewidzianą dla nich rolę – tych, którzy ponarzekają, ale nie będą się ostro buntować.

Można inaczej

Jeśli spytać elity symboliczne o to, czy media promują zdroworozsądkowe opisy świata, czy stereotypy, to podadzą całą garść przykładów. Jednocześnie ci krytyczni i wrażliwi ludzie sami nie ustrzegają się niedobrych praktyk. Dzielą ludzi na lepszych i gorszych, przypisują im motywy, sięgają do uprzedzeniowych i potocznych wyjaśnień. Szczególnie upodobali sobie diagnozę wojny politycznej, medialnej i kulturowej oraz towarzyszący jej militarny słownik. To, co miało być metaforą, stało się „normalnym" sposobem komunikowania.

Można odnieść wrażenie, że elity symboliczne potrzebują zbiorowej terapii albo przynajmniej szczerej rozmowy, toczonej bez myślenia o swoim wizerunku i zasięgach. Oczywiście, niektórzy z moich rozmówców stawiali samokrytyczne pytanie, czy sami nie popadają w schematyzm i czy język, którym nazywają świat, temu światu nie szkodzi. Ale takie osoby stanowiły mniejszość. Częściej to kobiety – dziennikarki, publicystki i medialne intelektualistki – zastanawiały się nad wartością tego, jak same się komunikują w mediach, rozważały konsekwencje swoich językowych i argumentacyjnych wyborów, odrzucały retorykę wojny, dostrzegając w niej usprawiedliwienie przemocy wobec innego. Częściej pytały o granice pluralizmu opinii, o to, czy nawet najbardziej radykalnemu poglądowi należy dać przestrzeń w debacie.

Część badanych (niezależnie od płci) szukała też dróg wyjścia z patowej sytuacji, w jakiej w ich opinii znalazła się debata publiczna. Nadzieję pokładano w edukacji obywatelskiej, oddolnie tworzonych klubach czytelników, inicjatywach międzyredakcyjnych, jakim był projekt „Spięcie" (platforma stworzona przez internetowe magazyny idei: Klub Jagielloński, Krytykę Polityczną, Kulturę Liberalną, Magazyn Kontakt i Nową Konfederację), czy... w pomyśle rotacji kadr między redakcjami.

Inny świat

Choć dawne elity symboliczne przestają być wiodącymi aktorami w debacie publicznej, to nadal mogą być potrzebne. Świat stał się zbyt skomplikowany, żeby każdy był w stanie wytłumaczyć go sobie na własny użytek. Rozpoznanie problemów komunikacyjnych własnej grupy i pogłębiającego się rozdźwięku między dyskursem elit symbolicznych a społeczeństwem jest pierwszym krokiem do przełamania regresu. Drugim powinno być jednak spojrzenie na siebie jako na część machiny, w której sens wątpią dziś nawet jej trybiki.

A wracając do sprawy Tomasza Lisa, dobrze by było, gdyby zabierający w niej głos traktowali swoich odbiorców trochę poważniej. To nie żaden tłum czy stado, tylko ci, którzy słuchają, czytają i wyciągają gorzkie wnioski.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Autorka jest stałą współpracownicą „Tygodnika Powszechnego". Adiunkt w Katedrze Socjologii Kultury Uniwersytetu Łódzkiego.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY SERWIS SPECJALNY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego

Historia konkursu, sylwetki uczestników, codzienne podsumowanie rywalizacji, podkasty.

Bądź z nami od 7 do 21 października na www.tygodnikpowszechny.pl/wieniawski

PARTNER SERWISU:

16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego
POZNAŃ
7-21.10.2022

NATALIA KABANOW / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

Przemoc przykazań

DARIUSZ KOSIŃSKI

Kieślowski i Piesiewicz pytali o transcendencję i pozaludzki, pozawerbalny sens. Teraz Teatr Narodowy pyta w „Dekalogu” o sposoby układania relacji międzyludzkich, transcendentne łącząc ze śmiercią, jeśli nie ze zbrodnią.

Spotkanie z filmową twórczością Krzysztofa Kieślowskiego to jedno z moich najważniejszych, nie tylko kinowych przeżyć. I z tego właśnie powodu nie oczekiwałem wiele od próby teatralnego powrotu do „Dekalogu”, do jego mocno już historycznych scenariuszy Kieślowskiego i Krzysztofa Piesiewicza, które zresztą – tak mi się wydawało już w czasie jego premier – wcale nie stanowią najważniejszej warstwy filmów. Pytanie, o czym może mówić „Dekalog” po dwudziestu pięciu latach, stanowiło główny powód, dla którego pojechałem do Warszawy.

Poliptyk cisz

Wcześniej wydobyłem z głębin biblioteki wydaną w roku 1990 przez wydawnictwo Verba z Chotomowa książkę ze scenariuszami do „Dekalogu”. Nie zaglądałem do niej od lat, a teraz nawet z pewnym wzruszeniem wziąłem do ręki ten chałupniczo złożony, źle sklejony tom, by jeszcze raz zanurzyć się w przypowieści o życiu mieszkańców warszawskiego bloku z wielkiej płyty.

Ten dziwny czas końca lat 80., gdy PRL żył już tylko życiem sztucznie podtrzymywanego trupa, a kapitalizm, choć połyskiwał na horyzoncie, jeszcze nikogo nie oślepiał, był dla mnie czasem formacyjnym, przeżywanym – jakkolwiek anachronicznie i podniośle to zabrzmi – w duchu filmów Kieślowskiego właśnie. Nikt tak jak on nie sfilmował Polski stanu wojennego jako kraju poddanego władaniu obezwładniającej śmierci i jednoczesnej konfrontacji nie z konfliktami politycznymi, ale metafizycznymi.

Stan wojenny i lata po jego formalnym zniesieniu były okresem zawieszenia aktywności i głębokiego kryzysu dominujących dotychczas narracji, także alternatywnych wobec władzy, zarówno solidarnościowych, jak i kontrkulturowych (wcale zresztą od siebie nieodległych).

W ciszy i pustce nie słychać było wcale bojowych pieśni, ale – kto chciał je słyszeć – podstawowe pytania metafizyczne, na które nawet Kościół nie ośmielał się udzielać zbyt jednoznacznych odpowiedzi. Już „Przypadek” (1981), a jeszcze pełniej najważniejszy i największy dla mnie film Kieślowskiego „Bez końca” (1984) pokazują i dają usłyszeć ciemność i milczenie, w których pojawiają się bardzo nieśmiałe i ostrożne głosy pytające o sens i snujące opowieści, z których ów sens może wynikać, ale może też – wcale nie. Co ważne, metafizyka jest tu zmysłowa, erotyczna, duch wciela się w ciało kobiece, pokazywane z perspektywy męskiego spojrzenia i pragnienia, a śmierć łączy się z seksualnością. Dziś to połączenie łatwo krytykować, ale ono także było częścią tego dziwnego czasu, z którego już za chwilę wyłoniła się nowa Polska, długo jeszcze niezdecydowana, czym ma być, i dlatego tak – również dziś – fascynująca.

KONRAD KALBARCZYK / FORUM

Obok: Krzysztof Kieślowski i Krzysztof Piesiewicz, 1990 r.

Na lewej stronie: Adam Szczyszczaj, Małgorzata Kożuchowska, Paweł Brzeszcz, Mateusz Kmiecik w „Dekalogu", reż. Wojciech Faruga, Teatr Narodowy w Warszawie, premiera 8 października 2022 r.

„Dekalog" powstawał i był oglądany dosłownie na granicy, na progu między tym cichym i ciemnym czasem stanu zawieszenia a gorączką transformacji. Jest dziełem historycznym, któremu nie ma chyba sensu nadawać znaczeń „ponadczasowych". Jego kompozycja – rodzaj precyzyjnej układanki czy może raczej splotu powracających w różnych konfiguracjach postaci, wątków i motywów – też jest dzieckiem czasu. Tak się właśnie szukało wtedy sensu: wcale nie w ideologicznych deklaracjach, politycznych pogadankach i katechetycznych homiliach, ale i nie w krytycznych dekonstrukcjach.

Szukało się go w nieoczywistych, świadomie ambiwalentnych, a czasem wręcz gubiących logikę opowieściach, pozostawiających liczne miejsca znaczeniowo puste i ciche.

Ich swoistym uosobieniem jest w filmowym „Dekalogu" postać młodego człowieka granego przez Artura Barcisia, pojawiająca się w niemal wszystkich częściach cyklu. Już wtedy łatwo było ją ośmieszyć jako naiwną i kiczowatą alegorię, ale w filmie działała właśnie nieoznaczonością i afektami, jakie uruchamiała. I tak było z całą późną twórczością Kieślowskiego, dla której scenariuszowe kompozycje stanowiły jedynie precyzyjny, ale ażurowy stelaż, pozwalający bezsłownym obrazom, dźwiękom, muzyce, aktorom nie-ludzkim – zwierzętom i przedmiotom, których dramaturgicznego użycia był Kieślowski pionierem i mistrzem – tworzyć nieoczywisty, powiedziałbym dziś: performatywny ładunek.

Eksplodujący zwłaszcza w finałach jego filmów. Gdy Tomek przytula Magdę, która wylała mleko, gdy Veronique dotyka drzewa, gdy Antoni Zyro mówi do żony „Hej" – energia niewypowiadalnego sensu uderza z siłą odczuwaną niemal fizycznie. Tak to przynajmniej pamiętam...

Barwy nieszczęścia

Wojciech Faruga (reżyseria) i Julia Holewińska (dramaturgia), kierujący Teatrem Polskim w Bydgoszczy (odpowiednio dyrektor i zastępczyni ds. artystycznych), w ramach swoistej teatralnej gastarbeiterki wystawili w Teatrze Narodowym w Warszawie „Dekalog" według scenariuszy Krzysztofa Kieślowskiego i Krzysztofa Piesiewicza.

Nie powiem, żeby ta wiadomość jakoś mnie szczególnie zelektryzowała. Nie oczekiwałem powtórki z historycznego doświadczenia. Czas jest inny, ja inny i zupełnie inna jest Polska. Od kilku już dekad żyjemy w społeczeństwie a-duchowym, niespecjalnie zainteresowanym poszukiwaniem jakiejkolwiek, a już na pewno nie nieoczywistej metafizyki.

Instytucje religijne zajmują się tożsamościami politycznymi i zideologizowaną etyką, w czym nie różnią się specjalnie od swoich zdeklarowanych przeciwników. Czasy mamy (a może mieliśmy – kto wie, czy znów nie stoimy na progu?) racjonalistyczne i pragmatyczne, więc nawet tak potencjalnie niesamowite i kłopotliwe katastrofy jak smoleńska i pandemiczna nie wywołały poważnych pytań o nieludzkie ich przyczyny. W politycznej walce kompletnie ginie pytanie o ich niedoraźny sens, a niesiony przez nie potencjał metafizycznego i teologicznego skandalu rzeczywistej tragedii nawet jeśli się ujawni (jak w wystąpieniach „obrońców krzyża"), natychmiast jest zagłuszany rytualnie „ubogaconymi" ceremoniami i rozstrzelany serią prześmiewczych memów. Między medialną szyderą a mszą za Ojczyznę proroczy niemal finał „Przypadku" wydaje się jak głos i obraz z zupełnie innego świata.

Ale właśnie dlatego sięgnięcie po „Dekalog" Piesiewicza i Kieślowskiego mogło wydać się ciekawe. Przyszło mi nawet do głowy, że wynika ono z odczuwanej jeszcze niejasno niewystarczalności głosów słyszalnych w przestrzeni publicznej, że może stanowi przejaw krytycznej reinterpretacji dobijającej się o wydobycie z historycznej rudy kruszcu, którego niedostatek zaczyna być coraz mocniej odczuwalny (nie, nie chodzi o węgiel).

Niestety nic z tych rzeczy się w przedstawieniu nie potwierdziło. Twórczynie i twórców spektaklu w Narodowym scenariusze Kieślowskiego i Piesiewicza nie interesują ani jako dokumenty czasu, ani ze względu na specyfikę konstrukcji owego stelaża dla wychylonych ku sensowi cisz. Cisz tu właśnie nie ma. Na cisze nie ma się tu ucha.

Zamiast tego bardzo dużo się mówi, opowiada i opisuje, cytując całe fragmenty scenariuszowych narracji. Ramę całego przedstawienia nieprzypadkowo stanowi seminarium etyczne Zofii (Sławomira Łozińska) z części VIII cyklu. Pozostałe historie pojawiają się w jego obrębie ↦

albo przypominane w upraszczającym streszczeniu, albo przywoływane sytuacyjnie w strzępach, które rozpoznać i ułożyć w jakąś całość można tylko o tyle, o ile pamięta się oryginał. Nawet tam, gdzie zachowano większe fragmenty, osoby nieznające „Dekalogu" Kieślowskiego i Piesiewicza mogą mieć trudności ze zrozumieniem, co się dzieje.

Narracja spektaklu generalnie jest daleka od klarowności. Z trudem układa się w ciąg, sprawiając w większości wrażenie przypadkowych historii, opowiedzianych nie do końca precyzyjnie. Brzmią one jak wyjęte z odcinków jakiegoś serialu telewizyjnego, ale nie dawnego jak „Dekalog", lecz współczesnego, i to raczej z gatunku telenoweli czy wręcz *docusoap*. Opowiada się jakieś naciągane sensacyjne anegdoty, dodając do tego (właśnie jak w telenowelach dokumentalnych) otwarcie snutą narrację i dydaktyczne autokomentarze, niespecjalnie troszcząc się o prawdopodobieństwo, spójność fabularną czy jakikolwiek sens.

Jeśli do tego dodać styl gry aktorskiej nawiązujący (czy świadomie?) do bogatych doświadczeń serialowych większości obsady, to można zacząć się zastanawiać, co to znaczy, że konceptualno-metafizyczny cykl filmowy z lat 80. został podmieniony na rozwodnioną obyczajową telenowelę, na dodatek wypraną zarówno z dramatyzmu śmierci, jak i z erotyki (ten pierwszy zastępuje przesadna emocjonalność, z jaką odgrywane jest cierpienie, tę drugą – aseptyczna choreografia). W ten sposób „Dekalog" Kieślowskiego i Piesiewicza został pozbawiony zasadniczo wszystkich charakterystycznych cech, a że mimo formalnego osadzenia w epoce twórców nie wydaje się też interesować „prawda czasu", rodzi się pytanie – co z przypomnienia tego materiału miałoby wynikać?

Dekalog ofiarniczy

Pewne światło rzuca na tę kwestię wybór trzech zachowanych w dużych partiach (co nie znaczy: w całości) opowieści. Są to bodaj najbardziej znane fragmenty cyklu: V („Krótki film o zabijaniu"), VI („Krótki film o miłości") i VIII (historia profesorki etyki, która odmówiła pomocy żydowskiej dziewczynce). Wszystkie one są czysto etyczne, a nie metafizyczne.

Ułożono je w taki sposób, że najpierw ukazana jest historia miłości Tomka (Paweł Brzeszcz) do Magdy (Małgorzata Kożuchowska), przy czym z trzech wariantów zakończenia (przypomnę, że finał „Krótkiego filmu o miłości" został radykalnie zmieniony w stosunku do scenariusza szóstego odcinka „Dekalogu") wybrano to z wersji telewizyjnej, w którym Tomek oznajmia Magdzie, że już jej nie podgląda. Następnie (po przerwie) seminarium Zofii przerywa wstająca spośród widzów Elżbieta (Gabriela Muskała), a ten fragment kończy się rozmową wyjaśniającą prawdziwe, a nie „dekalogowe" powody wojennej odmowy. Z kolei część VI tworzy finał przedstawienia, który rozpoczyna opis zbrodni dokonanej przez Jacka (ponownie Paweł Brzeszcz), sąd nad nim (wyrok śmierci wydaje Zofia) oraz jego finałowy monolog zakończony sceną zbiorowego zabójstwa. Cały zespół bierze udział w powalaniu Jacka, aktorki brutalnie krępują mu dłonie i nogi taśmą klejącą, a gdy jego ciało już znieruchomieje, Zofia/Sędzia pyta: „Jesteście państwo zadowoleni?". Nagłe cięcie, ciemność, koniec.

> Odpowiedź jest zaskakująco prosta: **przykazania są najwyraźniej źródłem opresji** i przemocy, narzędziem uniemożliwiającym ludzkie szczęście i miłość. Zestawem pozornych i fałszywych wyjaśnień.

Nie ukrywam – zdębiałem. Po dwóch i pół godzinach telenoweli ta nagła eksplozja emocji i brutalności (inna sprawa, że zagranej też w stylu telenowelowym) oraz umieszczona w finale przewrotka atakująca publiczność może zostać uznana za zgrzyt, ale też da się zinterpretować jako nagły powrót do strategii oryginału. Wszak to Kieślowski z Piesiewiczem zwykli stosować ten chwyt z wywróceniem pozornie już wyklarowanych sensów przez następujący tuż przed końcem nagły zwrot akcji, często o charakterze rozpoznania. Zakładając, że taką strategię zastosowano też świadomie w Teatrze Narodowym, zadać trzeba pytanie, jak ten finał oświetla całość zrekomponowanego „Dekalogu".

Odpowiedź jest zaskakująco prosta: oto przykazania są tu najwyraźniej ukazywane jako źródło opresji i przemocy, narzędzie uniemożliwiające ludzkie szczęście i niszczące miłość (część V), zestaw pozornych i fałszywych wyjaśnień (część VIII), a koniec końców – mechanizm ofiarniczy prowadzący do zbiorowego zamordowania jedynej postaci niepasującej do telenowelowego świata.

Taką interpretację potwierdza też prowadzony konsekwentnie przez całe przedstawienie temat dziecka żyjącego, którym jest – co znaczące – dziewczynka. „Całe szczęście – dziecko żyje" – mówi na początku spektaklu Zofia, a słowa te, brzmiące niemal jak wypowiedź rzeczniczki ruchu obrony życia poczętego, znajdują potem echo w zamianach oryginalnych chłopców na dziewczynki oraz w powracającej niemej postaci Córki, granej przez tradycyjnie anonimową małoletnią aktorkę. Dopełnieniem tego wątku, a zarazem przekreśleniem początkowych słów Zofii jest finałowa opowieść Jacka o śmierci jego siostry, po której ma miejsce jego zbiorowe zabójstwo. Dziecko, któremu życie miał zapewnić Dekalog, w finale okazuje się niejako podwójnie martwe, a mechanizm tej śmierci wydaje się zbudowany z przykazań, które pozornie mają przed nią chronić.

Tak odczytuję kompozycję, którą zobaczyłem – to, co się według mnie z niej wyłoniło i wystawiło. W czasach przejściowych Kieślowski i Piesiewicz pytali o transcendencję i pozaludzki, pozawerbalny Sens. W czasach poprzejściowych, jeśli nie wręcz reakcyjnych, Teatr Narodowy pyta o sposoby układania relacji międzyludzkich, transcendentne łącząc ze śmiercią, jeśli nie ze zbrodnią. Wydaje się też, że jedyne, co im przeciwstawia, to telenowelowa „codzienność", w której koniec końców nic nie jest ostateczne i nawet zmarli są w stanie wrócić w kolejnym sezonie. Filmowy „Dekalog" na chwilę przed pokojową przemianą poszukiwał tragedii – teatralny, powstający w cieniu wojny, od tragedii ucieka. Wcale mu się nie dziwię, nawet jeśli przerażony biegnie po omacku i wpada na minę.

I właśnie dlatego uważam, że teatralny „Dekalog" nie jest dobrym przedstawieniem, ale niestety – znaczącym.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Struna intuicji

MARIA SŁAWEK:

Rzadko podkreśla się to, co w skrzypcach szczególne. Potrafią śpiewać, płakać, tańczyć, skakać, a w dodatku zawsze można je wziąć pod pachę i ruszyć w wędrówkę.

MAŁGORZATA NOCUŃ: Gościsz na światowych scenach muzycznych, nagrywasz płyty, otrzymujesz świetne recenzje. Teraz trwa Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu. Próbowałaś?

MARIA SŁAWEK: W wieku 23 lat wzięłam udział w Konkursie. W części środowiska muzycznego do dziś panuje przekonanie, że wygrana w konkursach tej rangi jest jedyną drogą prowadzącą do sukcesu. A ja odpadłam już po pierwszym etapie. Wtedy czułam, że to oznacza koniec. Straszny wstyd. Kilkanaście lat nauki gry na skrzypcach: rytuał codziennych ćwiczeń, przesłuchania, egzaminy, wyrzeczenia, no i po co to wszystko? Wydawało mi się, że ludzie nic, tylko szepczą po kątach: „Ale z niej dno"; „Ona się do niczego nie nadaje", „Beznadzieja". Stres wzmagał się tym bardziej, że jako świeżo upieczona absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie miałam objąć asystenturę na uczelni. Ta porażka bardzo mocno uderzyła w moje poczucie wartości.

Nikt nie pocieszył?

Niestety, młodzi muzycy startujący w konkursach raczej nie są otoczeni wsparciem psychologa. Kiedy ich udziałem staje się porażka, niewielu pedagogów powie: „Słuchaj, tym razem poszło ci gorzej, ale to nie znaczy, że jesteś beznadziejna " albo: „Twój występ został kiepsko oceniony. Ale ta ocena nie jest wymierzona w ciebie, po prostu tym razem poszło ci gorzej". Przegrana odbierana jest jako cios w samo jestestwo. Młodzi mówią sobie: „Jestem do niczego". I tak właśnie było ze mną.

Dziś wprawdzie też wysyłam studentów na konkursy, ale staram się przygotować ich na każdą ewentualność. Jeśli się nie powiedzie, rozmawiam z nimi. Nie bagatelizuję ich frustracji i złości, mówię im, że mają prawo do emocji. Należy pozwolić się wypłakać, żeby znów zabrać się do pracy. Kształcenie muzyka przypomina czasem tresurę. Każdy repertuar – od baroku po współczesność – należy zagrać równie dobrze. To wprowadza do muzyki emocje sportowe. I – niestety – prowadzi do uśrednienia.

Tresura? Ostre słowo.

Kiedy byłam nastolatką, konkursy skrzypcowe traktowałam jako przygodę. Bywało, że ćwiczyłam po dwanaście godzin dziennie i wręcz błagałam moją nauczycielkę, by mnie na nie posłała. Wydawało mi się, że największym szczęściem będzie uczestnictwo ↦

ANITA WĄSIK-PŁOCIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE x2

MARIA SŁAWEK jest skrzypaczką. Doktor habilitowana sztuki. Współzałożycielka (wraz z Anią Karpowicz) i prezeska Instytutu Mieczysława Wajnberga. Prowadzi klasę skrzypiec w Akademii Muzycznej im. Krzysztofa Pendereckiego w Krakowie. Występowała m.in. w Niemczech, Izraelu, Wielkiej Brytanii, Brazylii, Belgii, Włoszech, Francji, Ukrainie i USA.

↦ w konkursie, bo przecież należy konfrontować się z innymi. Wraz z wiekiem zaczęło towarzyszyć mi coraz większe napięcie. Pojawiło się absurdalne poczucie, że całe moje życie zależy od tego konkursu. Moim nauczycielem i mistrzem był prof. Wiesław Kwaśny, znakomity skrzypek, od którego bardzo dużo się nauczyłam. Namawiał mnie do uczestnictwa w konkursach, a ja go słuchałam. Ale w pewnym momencie poczułam, że to w ogóle nie jest „moje". Kompletnie tego nie czuję. Lubię grać z ludźmi. Postrzegam ich jako swoich sprzymierzeńców.

Tegoroczny Konkurs też kładzie nacisk na potencjał partnerstwa wśród uczestników. A Ty?

Zaufałam sobie. Odkryłam, że intuicja może być moją przewodniczką w muzyce. Idę za tym, co mi podpowiada. Nawet jeśli zbłądzę i coś mi się nie uda, to trudno. To odkrycie nie było łatwe i wiele mnie kosztowało. Takie podejście uczy także odpowiedzialności: ja sama decyduję o swoich wyborach, więc nie mogę obarczać nikogo winą za niepowodzenie. Chyba wciąż jeszcze nie do końca sobie wierzę, ale pracuję nad tym. Czasem proszę, żeby ktoś znajomy posłuchał mojej gry, doradził. Ale u nikogo studiować już bym nie chciała!

Najbliższa jest Ci muzyka XX wieku.

Uwielbiam Bacha, Mozarta, Beethovena, Schuberta, ale czuję, że moim naturalnym środowiskiem muzycznym są utwory stworzone w XX wieku. Pasjonuje mnie muzyka Szostakowicza, Prokofiewa, Szymanowskiego, Lutosławskiego i – oczywiście – Wajnberga. Grając ich utwory, czuję się najswobodniej. Chyba najwięcej z nich rozumiem. Sztywne reguły mnie paraliżują.

Trudniej grać Bacha niż Szostakowicza?

Nie da się tego porównać – poziom trudności jest zupełnie inny. Ale od kilkudziesięciu lat muzykę barokową gra się przede wszystkim w duchu HIP, czyli *historically informed performance*. Powstały zespoły specjalizujące się w takim wykonawstwie. Inne są ich instrumenty i inne techniki gry. Nie gram na barokowych skrzypcach. Trudno współcześnie być na tyle wszechstronnym, by wykonywać muzykę z roku 1690 tak samo dobrze jak tę z 1960.

Skrzypce kojarzą się z późniejszym repertuarem wirtuozowskim, Paganinim, Wieniawskim. Na instrument ten powstało wiele utworów w duchu brillante.

Niestety. To już zupełnie nie jest moja bajka. Na szczęście są skrzypkowie, którzy potrafią się taką muzyką bawić, grać z uśmiechem i lekkością – ja się z tym okropnie męczę. Szkoda, że rzadko podkreśla się to, co w skrzypcach szczególne. Otóż skrzypce potrafią śpiewać, płakać, tańczyć, skakać. Są wszechstronne, zawsze można je wziąć pod pachę i ruszyć w wędrówkę.

Kiedy się o tym dowiedziałaś?

Wychowywałam się podczas prób w filharmonii i za jej kulisami, a w domu słuchało się muzyki nieprzerwanie. Moja mama jest wiolonczelistką. Ojciec, choć jest lekarzem, posiada ogromną kolekcję płyt, a muzyka klasyczna stanowi jego pasję. Rodzice nie zmuszali mnie do gry, to była moja decyzja. Nie chciałam grać na wiolonczeli. Kocham ten instrument, ale uważałam, że jest zarezerwowany dla mamy.

Zaczęłaś grać jako czterolatka.

Moje dzieciństwo przypadło na początek lat 90. Chodziłam do szkoły muzycznej w Gdańsku, którą prowadzili przyjaciele rodziców. Uczyli w niej emigranci z byłego Związku Radzieckiego. Kontakt z nimi był doświadczeniem formującym, mówili po ukraińsku, rosyjsku, trochę po polsku, inaczej od nas żyli. Być może to wtedy pokochałam muzykę z obszaru byłego ZSRR. Nauczyłam się rosyjskiego, co okaże się ważne w przyszłości, kiedy już zacznę się tą twórczością zajmować naukowo. Na studia przyjechałam do Krakowa.

Pracę magisterską pisałam na temat, który naprawdę mnie zajmował: badałam, jak ustrój totalitarny wpływał na kompozytorów radzieckich. Podczas występu dyplomowego zagrałam koncert Szostakowicza. Pracę doktorską poświęciłam twórczości Mieczysława Wajnberga.

Wajnberga wyciągnęłaś ze sfery nieistnienia.

To przesada, choć faktem jest, że kiedy zaczynałam się nim zajmować, nie był bardzo znany w polskim środowisku muzycznym. Osobą, która faktycznie wyciągnęła go z niebytu, był dyrygent Gabriel Chmura. Chmura na początku XXI wieku otrzymał propozycję dyrygowania symfonią Wajnberga na festiwalu w Holandii. Jak opowiadał, nie za bardzo wiedział, o kogo chodzi. Kiedy dostał do rąk nuty, zamarł: „Dlaczego o nim dotąd nie słyszałem?". Zaczął interesować się twórczością Wajnberga. Przekonał się, jak wielki jest jego dorobek i jak wiele napisał fenomenalnych utworów. W późniejszym czasie Chmura zaangażował się w przygotowania do wystawienia w Operze Narodowej – Teatrze Wielkim być może najsłynniejszego dzieła Wajnberga – opery „Pasażerka". Co ciekawe, Wajnberg czuł, że ten utwór jest jego największym dziełem – niestety nie było mu dane usłyszeć jego wykonania. To skomponowana w 1968 r. pierwsza w historii muzyki opera, której akcja dzieje się w Auschwitz. Powstała na podstawie historii opisanej przez zmarłą niedawno Zofię Posmysz. Pierwszą jej inscenizację zaprezentowano dopiero podczas festiwalu w Bregencji w 2010 r.

Pisała o tym w „Tygodniku" Dorota Kozińska. Ciebie przejęła nie tylko muzyka Wajnberga, ale i jego los.

Wajnberg uciekł z Polski do ZSRR podczas wojny. Miał zaledwie 20 lat. Dotarł do Mińska, tu udało mu się ukończyć studia. Po ataku Niemiec na ZSRR uciekał w głąb kraju, dotarł do Taszkientu, a stamtąd do Moskwy, w której pozostał do końca życia. Jego rodzina zginęła w Holokauście, nie wiemy nawet dokładnie, gdzie i kiedy. Wiele wycierpiał. W ZSRR trwała antysemicka nagonka, obowiązywały dekrety Żdanowa, partia trzymała ludzi kultury za gardło. Teść Wajnberga, Solomon Michoels, został zamordowany przez KGB. Sam Wajnberg za „burżuazyjny żydowski nacjonalizm" trafił do więzienia, które opuścił dopiero po śmierci Stalina. Ukochaną rodzinną Warszawę odwiedził tylko raz. W 1966 r. jako delegat radziecki brał udział w Warszawskiej Jesieni.

Jak odnalazł się w Związku Radzieckim?

Trudne przeżycia na trwałe odcisnęły się na jego psychice, był bardzo zalękniony. Jego córka wspominała, że kiedy miał dokądś jechać, przychodził na dworzec już trzy godziny przed planowym odjazdem pociągu.

Wraz z przyjaciółmi stworzyłaś Instytut Mieczysława Wajnberga. Mówicie o nim „Mietek".

Poznaliśmy się dzięki niemu. Dla każdego z nas jest bliski i każdy z nas ma z nim pewną relację: czy to związaną z graniem, czy dokumentowaniem jego biografii. W jakiś sposób zaprzyjaźniliśmy się z nim.

Wajnberg był chłopakiem z Warszawy, ale to miasto wciąż tak niewiele o nim wie. Chcemy go Warszawie przywrócić. Chodzimy jego drogami. Przy ul. Żelaznej 66 stoi kamienica, w której się urodził. W 2020 r. doprowadziliśmy do wmurowania tablicy pamiątkowej na jej fasadzie, a od ubiegłego roku, zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej biegnie nowa ulica – imienia Mieczysława Wajnberga. W 2021 r. wspólnie z fundacją Sfera Harmonii zorganizowaliśmy na Żelaznej pierwszą „Domówkę u Mietka Wajnberga". Była wystawa fotografii, koncert i projekcja filmu z 1936 r., w którym występował nastoletni Mietek. Powstał także spacerownik „Warszawa Wajnberga", dostępny w trzech wersjach językowych: polskiej, angielskiej i jidysz. Chcemy powiedzieć: „To jest chłopak od nas". Wielokrotnie mówił o Warszawie jako swoim ukochanym mieście.

Jak wspominał Warszawę?

Jego światem było Śródmieście – w którym znajdowało się Konserwatorium Muzyczne, Filharmonia Warszawska i dancingi Oaza i Adria, w których dorabiał – ale też Dzielnica Północna. Tu mieszkał, grywał na ślubach i bar micwach oraz pomagał ojcu w teatrze. W jednym świecie był Mietkiem, w drugim Mojszem. Warszawa, przez fakt, że ją stracił, była krainą, którą trochę idealizował. Zawsze jednak interesowały go wieści z Polski. Kiedy tylko spotkał jakiegoś rodaka, od razu brał go za frak i dopytywał: „Co w kraju? Co w kraju?". Kochał poezję Juliana Tuwima. W Moskwie miał duży księgozbiór, mieszczący wiele tomów polskiej literatury.

Tęsknił.

Przyjechał do Warszawy, której zupełnie nie znał. Wyobrażam sobie ten moment: wysiada z pociągu i nie wie, gdzie się znajduje, niczego bowiem nie poznaje. Jest niby w centrum, na dworcu, ale wokół wszystko wygląda inaczej. W tym odbudowanym z powojennych ruin mieście znalazł swój rodzinny dom. Sfotografował się pod nim. W liście do Dymitra Szostakowicza, z którym się przyjaźnił,

Jeszcze nie do końca sobie wierzę, ale pracuję nad tym.

Czasem proszę, żeby ktoś znajomy posłuchał mojej gry, doradził. Ale u nikogo studiować już bym nie chciała!

cieszył się, że podczas Warszawskiej Jesieni zostanie wykonana jego symfonia „Kwiaty polskie" do słów Tuwima. Dyrygować miał znakomity Kirił Kondraszyn. I ten właśnie utwór wykreślono z repertuaru.

Jak to się stało, że świat nie znał geniusza?

Świat nie znał, ale w ZSRR był na topie, szczególnie w latach 60. Jego utwory wykonywały gwiazdy: Galina Wiszniewska, Mścisław Rostropowicz, Leonid Kogan, Dawid Ojstrach. Szostakowicz – jeden z najwybitniejszych kompozytorów w historii muzyki – był jego bliskim przyjacielem. Ale w ZSRR Wajnberg funkcjonował jako Mojsiej, większość ludzi mogła nie wiedzieć, że pochodzi z Polski.

Nie był też koniunkturalistą. Nie należał do partii, nie otrzymał nagrody stalinowskiej, nie wyjeżdżał za granicę. Ze wspomnień o nim wyłania się człowiek niezwykle serdeczny, ale też bardzo nieśmiały. Jego dzieła są raczej klasyczne w formie, a na Zachodzie w latach 60. czy 70. kompozytorzy przekraczali kolejne granice estetyczne, eksperymentowali z dźwiękiem. W ZSRR taka muzyka nie była akceptowana.

W Instytucie przygotowaliście ostatnio szczególny projekt: pocztówkę ukazującą białą postać z walizką na tle nieco onirycznego, niewyraźnego dworca kolejowego z pytaniem: „Przed czym uciekasz?".

Mietek był uchodźcą. To stanowi dla nas pretekst do postawienia tego pytania. Chcemy zebrać różne głosy, zapisać obecny moment w historii. Prosimy o podzielenie się czymś intymnym, ale zapewniamy anonimowość. Na bazie zebranych wypowiedzi Sylwia Chutnik stworzy libretto utworu, do którego muzykę napisze wybrany przez nas kompozytor. Być może w ten sposób uda nam się opowiedzieć o zjawiskach znów aktualnych: wojnie, emigracji, lęku. Lubię łączyć pracę koncepcyjną, edukacyjną i artystyczną. Emigracji nie traktujemy dosłownie. Pytanie brzmi „Przed czym uciekasz", a nie „Skąd uciekasz?". Można uciekać przed wieloma rzeczami, także tymi, do których trudno się przyznać, np. przed zmęczeniem pomaganiem innym. Albo przed sobą samym. Forma odpowiedzi na to pytanie jest dowolna.

Jesienią w Warszawie planujesz cykl koncertów w historycznych pracowniach artystycznych.

Tak, to będą pracownie rzeźbiarskie i malarskie pozostające pod opieką Stołecznego Konserwatora Zabytków. W tym projekcie będę pełnić funkcję kuratorki, ale podczas ostatniego koncertu wystąpię wspólnie z wiolonczelistą Marcinem Zdunikiem. Zadaniem zaproszonych przeze mnie artystów będzie współdziałanie z przestrzenią. Z tym, co się w niej dzieje, z przedmiotami, narzędziami pracy, dziełami sztuki. Chcę wyjść z utartego schematu klasycznego koncertu, dlatego każdy z muzyków będzie improwizował jeden z utworów, a inspiracją do niego będzie otaczająca go/ją przestrzeń.

Trudne zadanie.

Wiąże się to z pokonywaniem barier, nie każdy artysta jest gotowy podjąć się wyzwania, jakim jest porzucenie nut i bezpiecznego obszaru skomponowanych i zapisanych dzieł. Wydaje mi się jednak, że i dla nas, i dla publiczności będzie to coś ciekawego – muzyka, która powstaje tu i teraz, rodzi się z inspiracji miejscem, twórcą, fragmentami prac. W tym projekcie zależy mi też na nawiązaniu nici porozumienia pomiędzy szeroko pojętą sztuką wizualną a muzyką i na zaproszeniu słuchaczy w miejsca, o których dotąd niewiele osób w Warszawie słyszało.

©℗ Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUŃ

Kod nieznany

ANITA PIOTROWSKA

W „Silent Twins” mamy surrealistyczny żart, musical i „cudownie brzydką” animację lalkową. Już czołówka filmu sygnalizuje: porzućcie nadzieję na klasyczne kino biograficzne.

Kino zrobiło całkiem sporo, by dostrzec i oswoić tak zwaną neuroatypowość. W filmach fabularnych zaroiło się przede wszystkim od różnej maści „rain manów” i innych „pięknych umysłów”, jakby ich geniusz był rodzajem niezbędnej przepustki do świata, którym rządzi odgórnie ustalona norma. A dodatkową nagrodą stają się bliskie więzi z „normalsami”.

Prawdziwa historia sióstr Gibbons, opisana w reportażu „Milczące bliźniaczki” Marjorie Wallace, przepisana na scenariusz przez Andreę Seigel i przeniesiona na ekran przez Agnieszkę Smoczyńską, wyłamuje się z tego schematu. W „Silent Twins” nie ma też stawiania diagnoz ani gromkich oskarżeń instytucji spod znaku „nadzorować i karać”. Zamiast tego czeka nas jedyna w swoim rodzaju wyprawa na drugą stronę lustra – do świata, który fascynuje swoim bogactwem i jednocześnie pozostaje nieprzenikniony. W filmie łatwo taki świat zmitologizować, bo na pierwszy rzut oka wydaje się samowystarczalny i nadzwyczaj barwny. Dopiero przy bliższym poznaniu objawia swą autodestrukcyjną siłę, wpływającą także na sposób opowiadania.

„Czasami tak bardzo kochasz jakąś osobę, że możesz ją za to nienawidzić. I chcesz, żeby umarła” – w tych słowach zawiera się cały dramat walijskich bliźniaczek. W wieku kilku lat czarnoskóre June i Jennifer (rocznik 1963) przestały komunikować się z otoczeniem, rozmawiały już tylko ze sobą nawzajem i stworzyły sobie fikcyjną rzeczywistość. Zamknąwszy się w swoim pokoju wykazywały się ponadprzeciętną kreatywnością, nagrywając audycje, szyjąc lalki, wystawiając własne sztuki i, *last but not least*, wyżywając się literacko. To właśnie ich pokaźny dorobek (powieści, opowiadania, dzienniki, wiersze) stał się inspiracją dla plastycznej warstwy filmu i piosenek napisanych przez Zuzannę Wrońską i Marcina Macuka (nagroda za muzykę na festiwalu w Gdyni). Stąd „Silent Twins” ma postać gatunkowego kolażu, z elementami surrealistycznego żartu, musicalu i cudownie „brzydkiej” animacji lalkowej, wykonanej przez Barbarę Rupik tradycyjną metodą poklatkową. Utrzymana w takim stylu dowcipna czołówka sygnalizuje: porzućcie wszelką nadzieję na klasyczne kino biograficzne.

Mimo iż owe wizualizacje odtwarzają wewnętrzny mikrokosmos i prywatny język sióstr, ostateczny kod dostępu pozostaje nieznany. Dlaczego Jennifer i June, zagrane w starszym wcieleniu przez Tamarę Lawrance i Letitię Wright (tę z „Czarnej Pantery”), już w dzieciństwie wypisały się z życia społecznego? Dlaczego ciągle kontestowały jego porządek, funkcjonując równocześnie jako naczynia połączone? Co poszło nie tak? Dzisiaj ostatnie pytanie stawialibyśmy z większą ostrożnością i film w tym względzie niczego nie rozstrzyga, aczkolwiek podsuwa nam rozmaite tropy. Choć oglądamy przeciętną rodzinę z klasy średniej, to odmienny kolor skóry dziewczynek oraz ich barbadoskie korzenie zapuszczone w zimnej Walii z pewnością robią różnicę. A szkolne gmaszysko, mundurki, zakazy i nakazy tudzież sztubacka przemoc pogłębiają wyobcowanie. Jak i ówczesne dylematy w rodzaju: one są takie nieśmiałe czy może nienormalne? Lecz nawet ci próbujący się do nich przebić z szacunkiem, ciekawością i sercem na dłoni trafiają na opór.

Smoczyńska szanuje tę ich odrębność. Kamera Jakuba Kijowskiego przejmuje spojrzenie bliźniaczek, ale gdzieś ponad tym unosi się empatyczne spojrzenie dziennikarki Wallace (gra ją Jodhi May), które reżyserka podtrzymuje i następnie przepuszcza przez własną wrażliwość. Nawet wtedy, gdy w nastoletnie bohaterki wstępuje anarchistyczny duch, kiedy eksperymentują i stają się agresywne, również dla siebie nawzajem, nie ulega wątpliwości, że najgorsze, co mogłoby je spotkać, to rozdzielenie. Dlatego na filmowym plakacie i w każdym niemal kadrze pojawiają się razem, niczym jedna dwugłowa istota. Lub raczej skazane na siebie siostry syjamskie, dla których separacja oznacza śmierć, a śmierć równie problematyczne „życie za dwie”. W zabawach i później w swojej prozie będą przepracowywać to uzależnienie, wspólne lęki i poczucie zatrzaśnięcia w pułapce.

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

SILENT TWINS
– reż. Agnieszka Smoczyńska. Prod. Polska/Wielka Brytania/USA 2022. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 21 października.

Agnieszkę Smoczyńską od zawsze interesowała kobiecość i dziewczyńskość, które nie mieszczą się w stereotypowych ramach. Tak było z krótkometrażową „Arią Divą" (2007) według Olgi Tokarczuk, w szalonym musicalu „Córki dancingu" (2015) i w tajemniczej „Fudze" (2018). „Silent Twins", jej pierwszy film anglojęzyczny, miał premierę w Cannes i wygrał festiwal w Gdyni.

Swoją drogą, owa dwoistość najostrzej ujawni się w najbardziej zindywidualizowanych formach ekspresji, czyli w erotyce i twórczości. Tu szczególnie daje się we znaki zazdrość i toksyczny charakter tego połączenia.

Dzięki temu, że film „Silent Twins" opiera się w dużej mierze na projekcjach bądź fantazjach bohaterek, wyznacza swoje reguły. Ich milczenie nie ogranicza się więc do bezmyślnego zacięcia się – ma coś ze świadomego wyboru i buntowniczego gestu. Sprawdza się w codziennej ucieczce jako strategia przetrwania, ale siostry Gibbons używają go także jako narzędzia manipulacji. Na przykład w scenie sądowej, kiedy zamiast się bronić, nabierają wody w usta, chociaż grozi im dożywotni pobyt w okrytym złą sławą szpitalu psychiatrycznym Broadmoor. Być może wierzą, iż tam, za murami, nareszcie będą mieć święty spokój, wspólny pokój i oceany czasu na pisanie. Warto też zwrócić uwagę, w jakich okolicznościach i w jakich relacjach dziewczyny przerywają na moment swoje śluby milczenia. Zazwyczaj wtedy, gdy czują się bezpiecznie, kiedy znajdują się w stanie wyższej konieczności albo gdy pod wpływem rozmaitych substancji przebywają w odmiennych stanach świadomości.

Żeby jednak ucieleśnić na ekranie tak bardzo subiektywną wizję, a jest nią bez wątpienia większa część filmu Smoczyńskiej, trzeba wykreować go od podstaw i w najmniejszych detalach, na których tak często fiksowała się wybiórcza uwaga milczących bliźniaczek. Nagrodzona w Gdyni scenografia Jagny Dobesz nie tylko świetnie oddaje dizajn i kolorystykę lat 70. czy 80., lecz i całe „umeblowanie" przestrzeni wewnętrznej bohaterek. Podobnie jak włochate, gryzące swetry, w które ubrała je kostiumografka Katarzyna Lewińska. Utwory napisane specjalnie dla filmu uzupełnia zmieniająca się tapeta dźwiękowa tamtych czasów, na czele z Boney M, T-Rex i nieśmiertelną Amandą Lear. Tyle jeszcze, prócz przywołania istotnych faktów i zilustrowania niezwykłych zapisków, można było zrobić, by przybliżyć sekretne życie June i Jennifer – zdaje się mówić reżyserka. Bo reszta przecież pozostaje dla nas milczeniem. ©

Lektor:
Życie uważne

▪ *Wojciech Marczewski*
ŚWIAT PRZYSPIESZA, JA ZWALNIAM. ROZMAWIA DAMIAN JANKOWSKI
Przedmowa ks. Andrzej Luter. Biblioteka „Więzi", Warszawa 2022, ss. 160 + ilustr.

„Zmory", „Dreszcze" i „Ucieczka z kina Wolność" to filmy dla mnie istotne i chciałem poznać bliżej ich twórcę, zwłaszcza że rozmówca Wojciecha Marczewskiego, krytyk i publicysta związany z „Więzią", bardzo jest kompetentny. Najpierw jednak przykuł moją uwagę tytuł ich rozmowy: „Świat przyspiesza, ja zwalniam".

Czytałem ją podczas szpitalnej rehabilitacji, instynktownie szukając oparcia w nowym dla mnie stanie życia spowolnionego. I się nie zawiodłem, bo to nie jest tylko książka o dorobku wybitnego reżysera i o polskim kinie, ale znacznie szersza, mądrościowa refleksja o odnajdywaniu swojego miejsca w rzeczywistości, tej peerelowskiej i tej obecnej. Miejsca nie tyle może outsidera, ile zdystansowanego, choć bardzo przy tym uważnego obserwatora i interpretatora. Polecam uwagi o religii i Kościele, z pyszną anegdotą o ks. Waldemarze Chrostowskim, który był konsultantem przy realizacji „Quo vadis" Kawalerowicza. Niebacznie usiadł przy jednym stoliku z grającą w tym filmie Teresą Marczewską, a dowiedziawszy się, że to żona reżysera „Zmór", bez słowa przesiadł się gdzie indziej...

Tak, jest oczywiście o filmie jako dziele zbiorowym, za które jednak odpowiedzialność ponosi ostatecznie reżyser („tylko sukces jest wspólny..."), o codzienności planu filmowego i stresie będącym jego nieodłączną częścią. O współpracy z aktorami i o tym, jak Tadeusz Łomnicki w ostatniej chwili zrezygnował z napisanej z myślą o nim roli w „Ucieczce...". O pracy w Szkole Wajdy, „nauczyciela witalności, który wyraźnie ignorował czas", i w szkołach filmowych w Danii i Anglii. O ambicjach współczesnego polskiego kina wypowiada się Marczewski raczej krytycznie: „Paradoksalnie siłą naszego kina jest prowincjonalność, od której tak uciekamy, opowiadanie historii dobrze osadzonych w polskim kolorycie. Nie szukajmy na siłę patosu...".

Równie ważny temat książki stanowi rodzina – zarówno ta, w której się wyrosło, jak i ta, którą się samemu założyło. „Jeżeli musiałbym decydować: albo kino, albo rodzina, bez cienia żalu oddałbym to, co zawodowe" – podkreśla reżyser. No i ważny jest dom, do którego chce się wracać – a historia mazowieckiego dworku w Piekarach, z niezwykłą postacią pana Symforiana Woyszwiłły, jest – chciałoby się powiedzieć – naprawdę filmowa! ©℗

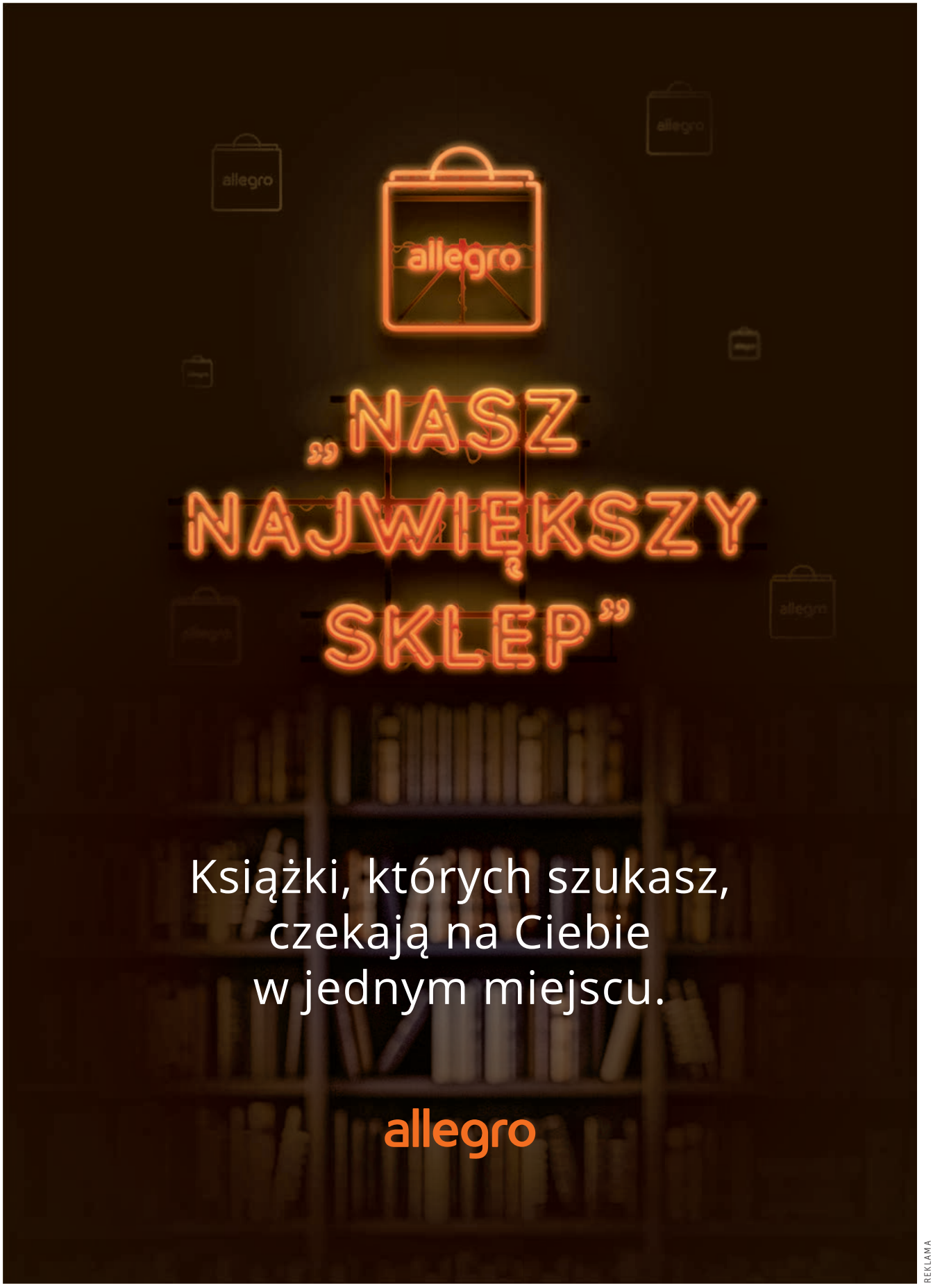
allegro
„NASZ NAJWIĘKSZY SKLEP”
Książki, których szukasz,
czekają na Ciebie
w jednym miejscu.
allegro

REKLAMA

CONRADFESTIVAL

TYGODNIK POWSZECHNY

CONRADFESTIVAL.COM

MAGAZYN
CONRAD 02
„TP" 43/2022

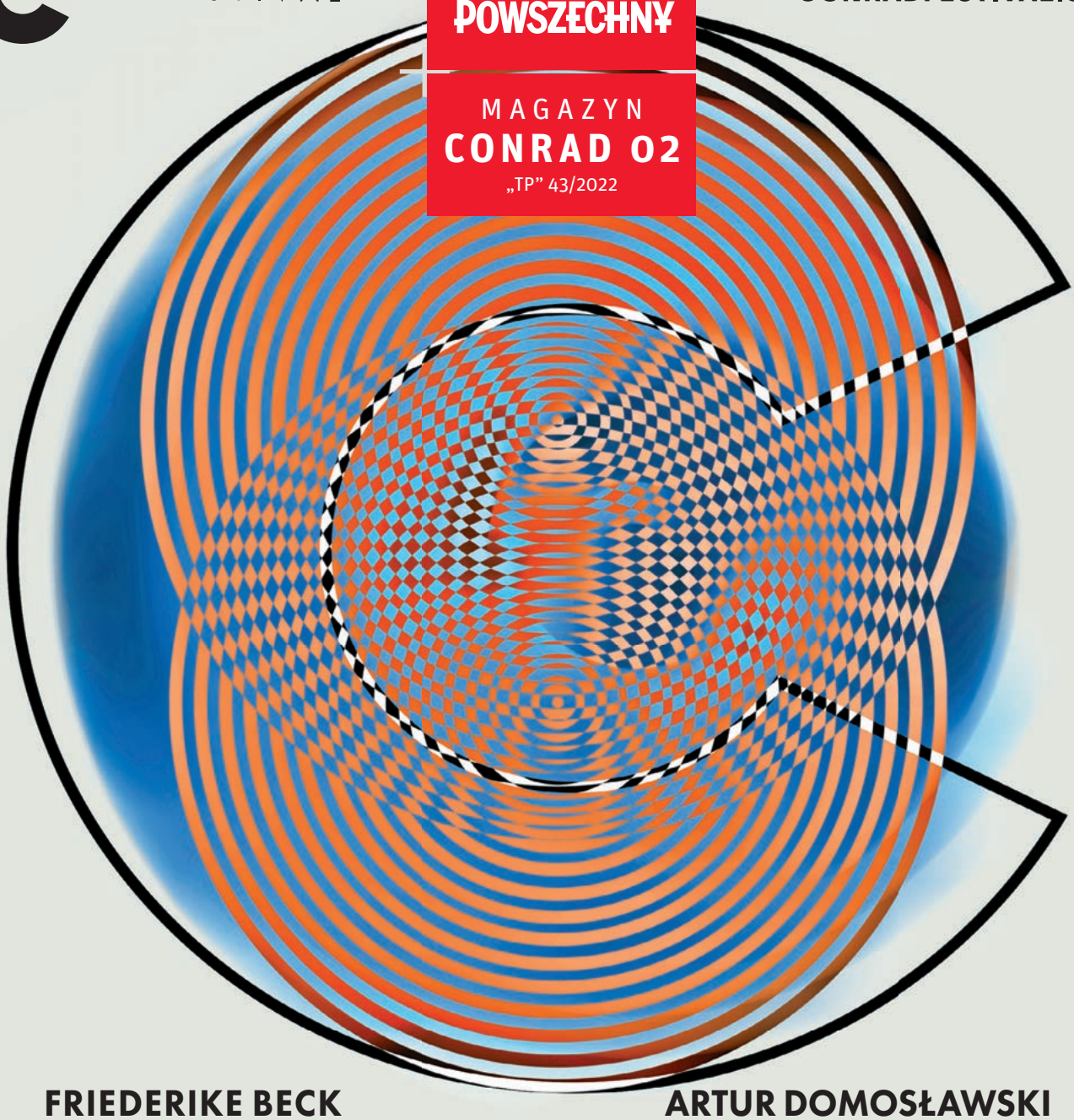

FRIEDERIKE BECK **ARTUR DOMOSŁAWSKI**
MARIANA ENRIQUEZ **MICHAŁ KOMAR** **ÓSCAR MARTÍNEZ**
ANDRZEJ STASIUK **SABINE SCHOLL** **AYFER TUNÇ**
ORAZ **UNICA ZÜRN**

24-30.10.2022
WSPÓLNOTY
MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL LITERACKI

Festiwal Conrada, 24 – 30 października 2022

GRZEGORZ JANKOWICZ

W wywiadzie, który znajdą Państwo w tym numerze „Magazynu Conrad", Andrzej Stasiuk na pytanie o wojnę w Ukrainie odpowiada następująco: „To zdecydowanie najważniejsze doświadczenie ostatnich dekad. Rewolucja wartości – wszystko znowu, przynajmniej na chwilę, staje się jasne". Nie sposób się z tym nie zgodzić. Trwająca od lat wojna jest dla tej części świata wydarzeniem najistotniejszym i zmusza nas do przewartościowania wszystkich wartości oraz zajęcia zdecydowanego stanowiska. Wszystko jest jasne, choć wiadomo, że ta jasność bywa podważana przez zwolenników Moskwy. Ale myślę, że wśród czytających te słowa nie ma wątpliwości: agresorem jest Rosja, ofiarą Ukraina, Zachód musi pomóc tej ostatniej na wszystkie możliwe sposoby, by jej mieszkańcy mogli obronić suwerenność swojego państwa, a także po to, by powstrzymać Federację przed kolejnymi inwazjami.

Kiedy jednak zastanowimy się nad sensem ostatniego zdania Stasiuka – „wszystko znowu, przynajmniej na chwilę, staje się jasne" – odsłania ono przed nami istotę złożonego problemu, który wydaje mi się niezwykle ważny. Wszystko stało się jasne, gdyż pojawiła się wyjątkowa sytuacja w postaci całkowicie nieuzasadnionej napaści jednego państwa na drugie. Mamy określony punkt odniesienia. Wiemy, jak układają się wektory polityczne i etyczne. Oznacza to jednak, że bez tego zdarzenia, bez wojny, przynajmniej pewne sprawy jawiły się jako niejasne!

Co nam to mówi o naturze naszej rzeczywistości społecznej i politycznej? Czego możemy się dowiedzieć na temat naszego sposobu myślenia i działania? Jaką prawdę na temat relacji międzyludzkich odsłania przed nami ten wniosek? Na jakich fundamentach wspierają się dzisiejsze wspólnoty, skoro ich konsolidacja następuje dopiero wtedy, gdy muszą się skonfrontować z realnym zagrożeniem, gdy naprzeciw nich pojawia się wróg? Dlaczego w czasach pokoju grzęźniemy w niejasnych wyobrażeniach, mętnych przypuszczeniach, chaotycznych rozważaniach na temat świata, istnień zamieszkujących ten świat i działań, które należy podjąć? Dlaczego wojna, mimo że niszczy życie i rozwala rzeczywistość, której kształt ktoś z mozołem budował, okazuje się – upiornym, ale dla niektórych praktycznym, wygodnym – rozwiązaniem?

Żadne z tych pytań nie jest nowe. Na wiele spośród nich udzielano już wielokrotnie odpowiedzi. A jednak problem powraca. Dlatego wszystkie powyższe kwestie podejmiemy w tegorocznych rozmowach festiwalowych, w których wezmą udział pisarki i pisarze z różnych zakątków świata, także tych, w których w tej chwili toczy się wojna. Zapraszam od 24 do 30 października na czternastą edycję naszego Festiwalu!

©℗ Grzegorz Jankowicz
Dyrektor Programowy Festiwalu Conrada

W NUMERZE

81
Nina Pluta
Horror i społeczeństwo

84
Michał Sowiński
Głos wykluczonych

88
Tomasz Pindel
Reporter totalny

91
Agnieszka Erdoğan
Ludzie z cienia

94
Andrzej Stasiuk
Obejrzałem swój świat

97
Renata Kopyto
Gry we dwoje

100
Grzegorz Jankowicz
Czy można uciec z piekła?

REDAKCJA
Grzegorz Jankowicz
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA
Grażyna Makara
Jacek Taran
KOREKTA
Grzegorz Bogdał
Katarzyna Domin
Sylwia Frołow
Maciej Szklarczyk
OKŁADKA
Krzysztof Iwański / kbf

CONRADFESTIVAL
www.conradfestival.com

Organizatorzy:
Kraków
kbf: KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Dyrektorka wykonawcza
– Urszula Chwalba

Partner strategiczny
Festiwalu Conrada:
allegro

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Horror i społeczeństwo

NINA PLUTA

Bliskość zmarłych, kości, groby, mroczne legendy, ślady okrutnych mordów, rozkładające się ciała, archaiczne, krwawe rytuały – to wszystko znajdziecie w prozie Mariany Enriquez.

Argentyńska pisarka kolekcjonuje historie cmentarne. Przeszukuje internet, czyta książki historyczne, rozmawia z grabarzami i przewodnikami oprowadzającymi po cmentarzach. Po dekadzie sukcesów literackich – wydała dwa tomy opowiadań i powieść, nagradzane i tłumaczone na wiele języków – w 2021 r. ukazał się jej zbiór poniekąd autobiograficznych *nekrokronik* (jak sama je nazywa), zatytułowany „Ktoś chodzi po twoim grobie".

Książkę otwiera relacja z jednej z pierwszych wizyt na cmentarzu Staglieno w Genui. Dwudziestoletnia Enriquez, podróżująca po Włoszech z matką, poznaje ulicznego skrzypka Enza, który towarzyszy jej na Staglieno. Za nagrobną statuą półnagiej dziewczyny Mariana i Enzo uprawiają seks. Scena jest anachronicznie romantyczna i dekadencka, ale pokazuje także mentalność wyzwolonej seksualnie współczesnej młodzieży. Ten epizod pisarka uznaje za symboliczny początek swojej miłości do cmentarzy.

Gothic girl

Deklaracja efektowna i prowokacyjna, jednak mroczne klimaty lubiła już wcześniej. Dorastała w Argentynie końca XX w. – w kraju wychodzącym z dyktatury, targanym kryzysami ekonomicznymi. Zaczytywała się wtedy w dawnych i współczesnych klasykach fantastyki i horroru. Słuchała kultowych mrocznych zespołów. Ktoś powie – nic w tym szczególnego. Enriquez udało się jednak przekuć młodzieńcze fascynacje w oryginalną literaturę.

Pierwsza powieść, wydana w wieku 21 lat „Najgorszy jest zjazd" (narkotyki, seks i fascynacja życiem na krawędzi), odniosła spory sukces, a młodziutką Enriquez okrzyknięto obiecującą prozaiczką. Uznanie międzynarodowe przyszło wraz z publikacją zbiorów opowiadań: „Niebezpieczeństwa palenia w łóżku" znalazły się w 2021 r. wśród finalistów Nagrody Bookera; za „To co utraciłyśmy w ogniu" dostała Nagrodę Miasta Barcelony. Z kolei powieść „Nasza część nocy" otrzymała prestiżową hiszpańską nagrodę Herralde oraz nagrodę tamtejszej krytyki. Enriquez jest także autorką esejów, m.in. „Mitologia celtycka", wspomnianych reportaży o cmentarzach oraz biografii „Młodsza siostra. Portet Silviny Ocampo". Ma również długoletnie doświadczenie dziennikarskie.

Bliskość zmarłych, kości, groby, mroczne legendy, ślady okrutnych mordów, rozkładające się ciała, archaiczne, krwawe rytuały – to wszystko tworzy nastrój prozy Enriquez. W literaturze latynoamerykańskiej mówi się dziś o odrodzeniu gatunków nawiązujących do horroru. Co ciekawe, znaczącą rolę w tym renesansie odgrywają kobiety – oprócz Enriquez Boliwijka Liliana Colanzi i Ekwadorka Mónica Ojeda. Może dzisiejszy odbiorca, aby „wyjść ze strefy komfortu", potrzebuje czegoś naprawdę mocnego? A może chodzi o rozmaite kryzysy o zasięgu globalnym? Albo o przemoc w życiu codziennym, która nie słabnie ani w tradycyjnie dotkniętym nią Meksyku, ani w innych krajach, jak Gwatemala, Honduras, Salwador, Wenezuela, Kolumbia czy, w mniejszym stopniu, również Argentyna.

Neohorror

Fantastyka literacka, także fantastyka grozy, ma w Ameryce Łacińskiej wielowiekową i bogatą tradycję: od pierwszych opisów Nowego Świata w kronikach, w których szkice roślin sąsiadują ze wzmiankami o syrenach, Amazonkach i Eldorado, przez modernistyczne historie o szaleństwie Horacia Quirogui, po XX-wieczny realizm magiczny czy, najbliższe prozie Enriquez, opowiadania jej pobratymców Jorge Luisa Borgesa i Julia Cortázara oraz utwory jej krajanki Silviny Ocampo. Jednak w porównaniu ze słynnymi poprzednikami, Enriquez zdecydowanie intensywniej i bardziej bezpośrednio korzysta z imaginarium horroru – prawdziwa krew tryska z ran, nieznane siły naprawdę nawiedzają i pustoszą miejsca, maltretują ludzkie ciała i zostawiają ślady: wyrwane zęby, zmiażdżone kości, odcięte członki.

Mówiąc o źródłach inspiracji, wymienia autorów grozy, ale od klasyków (Poego czy Lovecrafta) woli Stephena Kinga, teksty Cortázara, Borgesa, Bradbury'ego czy inne współczesne, opowiadające o bliskich nam lękach. Ceni też tradycję: z jednej strony legendy anglosaskie i mitologię grecką (trochę podobnie jak Borges), a z drugiej – groźne istoty z synkretycznych indiańsko-europejskich podań z północy Argentyny. Twierdzi, że jej argentyńscy prekursorzy jedynie okazjonalnie sięgali do zasobów lokalnego folkoru. U niej elementem fikcjonalnej scenerii są natomiast ołtarze nieortodoksyjnych świętych, jak na przykład XIX-wieczny argentyński dezerter-cudotwórca Panchito Gil, bóstwo-śmierć zwane San La Muerte czy Pomba Gira, afrobrazylijska bogini żeńskiego pierwiastka natury.

Ich wyznawcy mieszkają i na wsiach, i na ulicach dużych miast, w których, ↦

↦ w erze globalizacji, coraz więcej jest migrantów. Ci ostatni mogą na różne sposoby mieszać formy kulturowe i religijne. Urugwajski socjolog Nestor Garcia Canclini, opisując współczesną kulturę latynoamerykańską, mówi o współistnieniu mentalności przednowoczesnej i technologiczno-racjonalnej. Schematy magiczne nakładają się na te, które zostały ukształtowane przez nowoczesne media. Znany jest ogólnoświatowy obyczaj składania ofiary z pokarmów przodkom i świętym. Otóż w opowiadaniu „Brudny dzieciak" brazylijski transwestyta, przyjaciel narratorki, składa Pombie Gira ofiarę z kurczaka... kupionego w supermarkecie, bo brak mu odwagi, żeby go zabić. W opowiadaniu „Mięso" małoletnie fanki modlą się do posterów piosenkarza rockowego „jak do boga w agonii". A w jednym z reportaży Enriquez wspomina, jak pewien Kubańczyk zapewniał ją w 2001 r., w sercu Hawany, że Fidela Castro nie da się zabić, bo podczas pobytu w Angoli czarownik otoczył go specjalną ochroną.

Enriquez nie tylko buduje nastrój w klasyczny sposób, ale też przełamuje go wtrętami z nowoczesności. Okazuje się, że potrzeba rytuału i wiara w interwencje pozaświatowych sił są dziś równie silne jak przed wiekami.

Symptomy

W jednym wywiadzie pisarka opowiada, jak za młodu trafiła na „Smętarz dla zwierzaków" Stephena Kinga i odkryła, że lektura może dostarczać „fizyczno-zmysłowego wstrząsu". Trzeba przyznać, że jej opowiadania również skutecznie wywołują ten rodzaj poruszenia, na przykład za pomocą opisów współczesnych aktów kanibalizmu czy ceremonii, podczas których objawia się bóstwo ciemności i okalecza bądź porywa wyznawców. Trudno jednak utwory Enriquez zaklasyfikować po prostu jako horrory. Okrucieństwo, cierpienie ciała czy paranormalne zjawiska zdają się przylegać w sposób naturalny do wykreowanej przez nią rzeczywistości, dlatego że niepokój i przerażenie, *horror*, tkwią w niej płytko, tuż pod powierzchnią naszej świadomości, indywidualnej i zbiorowej. Groza ma w jej opowiadaniach różne drugie dno: popkulturowe i antropologiczne, feministyczne oraz polityczne. Jest symptomem kryzysu, który trawi naszą rzeczywistość.

Trudno utwory Enriquez zaklasyfikować po prostu jako horrory. Okrucieństwo, cierpienie ciała czy paranormalne zjawiska zdają się przylegać w sposób naturalny do wykreowanej przez nią rzeczywistości, dlatego że niepokój i przerażenie, horror, tkwią w niej płytko, tuż pod powierzchnią naszej świadomości, indywidualnej i zbiorowej.

Eksponowanie ran, okaleczeń, cierpienia fizycznego i rozkładu żywej materii – stanowi świadomie efekciarską, wybuchową reakcję na tłumiony strach wynikający z wiedzy o przemocy, tej z czasów dyktatury, ale i tej, która każe dziś ludziom bać się zemsty San La Muerte.

Na Festiwalu Conrada porozmawiamy z **MARIANĄ ENRIQUEZ** o tym, w jaki sposób literatura ukazująca grozę może nam pomóc w ekspresji lęków, których źródłem są realne doświadczenia historyczne i polityczne. Poszukamy także odpowiedzi na pytanie, jak w utworach gatunkowych, np. w horrorze, odbija się nasza codzienna rzeczywistość, która wcale nie wydaje nam się przerażająca.

O pierwszym aspekcie już wspomniałam: współczesne formy religijności pokazane są w otoczce tandety będącej skutkiem konsumeryzmu. Wymiar antropologiczny uwydatnia się z kolei tam, gdzie akcja przemieszcza się do ubogich dzielnic miast czy miasteczek. W takich miejscach to, co wydaje się synkretycznym kultem, integrującym zmarginalizowaną wspólnotę, przyjmuje postać religijnej przemocy i okrucieństwa. Nie tylko z prozy autorstwa Enriquez, ale też z powieści i reportaży o handlu narkotykowym w obu Amerykach wiemy, że tortur i morderstw dokonują ci sami ludzie, którzy zupełnie szczerze składają ofiary i powierzają swój los Świętej Śmierci. Zwykłe i rytualne formy okrucieństwa nieustannie się ze sobą splatają. W powieści „Nasza część nocy" bohater znajduje pewnego dnia, pod posiadłością parających się czarną magią bogaczy, podziemne tunele pełne porwanych, niemych dzieci – okaleczonych w taki sposób, że przypominają prekolumbijskiego demona *imbunche*, potwornego sługę czarownika.

Opowiadania Enriquez skłaniają także do uważniejszego przyjrzenia się kultowi gwiazd rozrywki. Ekstatyczne (szczególnie u młodzieży) przeżywanie utworów wykonywanych przez ulubione zespoły („Zatrute lata" czy „Mięso") powinno budzić w nas niepokój. W „Ktoś chodzi po twoim grobie" Enriquez pisze, że gdyby jej młodzieńczy idol – Neil Codling z zespołu Suede – podszedł do niej po koncercie i powiedział, że czytał jej opowiadania, byłaby gotowa rzucić swoje dotychczasowe życie, opuścić kraj, partnera i pracę tylko po to, by z nim być.

Bohaterki i narratorki Enriquez to często dziewczynki albo kobiety impulsywne i niekonwencjonalne. Z racji wielowiekowego stereotypu głos żeński w opowiadaniu grozy robi większe wrażenie niż męski. „Drażni mnie to, że myśli się o literaturze kobiecej jako o zgłębianiu intymności", mówi autorka. Wnika ona wprawdzie w przeżycia swoich młodych bohaterek, ale one nie piszą wierszy czy pamiętników, tylko eksperymentują z narkotykami, urządzają nocne wyprawy, przywołują duchy, dopuszczają się przemocy. Horrory autorstwa Enriquez eksplorują nastoletniość, epokę graniczną, a przez to nieprzewidywalną. Sens okrutnych zdarzeń ujawnia się wtedy, gdy połączymy je z młodzieńczą autoagresywnością i skłonnością do przekraczania granic.

MATERIAŁY PRASOWE KBF

MARIANA ENRIQUEZ
(ur. 1973) – argentyńska pisarka i dziennikarka. Debiutowała w 1995 r. Jej opowiadania ukazywały się w antologiach i czasopismach na całym świecie. Wydany w 2016 r. tom opowiadań „To co utraciłyśmy w ogniu" stał się bestsellerem w świecie hiszpańskojęzycznym. Powieść „Nasza część nocy" zdobyła nagrodę Premio Herralde de Novela. W 2021 r. autorka znalazła się w finale Międzynarodowej Nagrody Bookera za zbiór opowiadań „Niebezpieczeństwa palenia w łóżku". Wszystkie wspomniane książki ukazały się po polsku w przekładzie Marty Jordan i Katarzyny Okrasko.

Groza jest polityczna

W opowiadaniach, a także w powieści „Nasza część nocy", bezpowrotne znikanie dzieci i dorosłych budzi u bliskich rozpacz i strach. Winą obarcza się wtedy nawiedzony dom, złe duchy, bóstwa ciemności. Gdy autorka była dzieckiem, rozmawiano w tajemnicy o *desaparecidos* – „zniknięty" przeciwnikach dyktatury wojskowej, których w latach 1976-1983 masowo zatrzymywano, torturowano i mordowano. Istniał też proceder przekazywania dzieci opozycjonistów do adopcji „prawomyślnym" rodzinom. Wielu krewnych do dziś prowadzi dochodzenia w sprawie losów swoich bliskich.

Terror wojskowych dzielił społeczeństwo i osadzał w zbiorowej świadomości poczucie winy: zginęło przecież ponad 30 tysięcy osób. Strach przed przemocą i torturami wisiał w powietrzu, a fantomową, niezbywalną obecność „zniknięty" odczuwa się do dziś. Enriquez przyznaje, że wykorzystanie literackich motywów horroru pozwala jej zmierzyć się z tą traumą. W opowiadaniu „Cysterna" starsi członkowie rodziny przekazują małej bohaterce strach towarzyszący jej później przez całe życie, a robią to podczas kuriozalnego rytuału, którego sens zrozumie dopiero jako dorosła dzięki terapii.

W „Kiedy rozmawiałyśmy o duchach" grupa dziewczyn organizuje sobie seans spirytystyczny, który niespodziewanie zamienia się w sesję wspomnień o dzieciństwie. Bohaterki przypominają sobie, jak nagle pewne osoby z kręgu rodziny czy znajomych znikały, po czym zapadała niezrozumiała dla dzieci zmowa milczenia. To właśnie te osoby materializują się jako duchy czy inne makabryczne stwory – całe rzesze ludzi-duchów, których bycie-niebycie niszczy tkankę codzienności, jak w opowiadaniu „Dzieci, których zabrakło". Pewien nadmiar ucieleśnienia w stosowanej przez Enriquez konwencji horroru – eksponowanie ran, okaleczeń, cierpienia fizycznego, rozkładu żywej materii – stanowi świadomie efekciarską, wybuchową reakcję na tłumiony strach wynikający z wiedzy o przemocy, tej z czasów dyktatury, ale i tej, która każe dziś ludziom bać się zemsty San La Muerte.

Ciemna potęga

W 700-stronicowej powieści „Nasza część nocy" panuje momentami estetyka gore. Czarną magię widzimy bez antropologicznego oddalenia, w detalach jej rytuałów i w codziennym odziaływaniu na adeptów, w smrodzie rozkładu i w chrzęście rozdzieranego ciała i łamanych kości. Mimo to można by zaryzykować stwierdzenie, że to powieść psychologiczno-obyczajowa, osadzona w Argentynie i rozciągnięta między latami 1960-2000. Towarzyszymy w dramatycznych losach i wewnętrznych doświadczeniach dwójce mężczyzn, Juanowi i jego synowi Gasparowi, którzy mają zdolności mediumiczne. W warstwie obyczajowej poznajemy genealogię i codzienność należących do argentyńskiej oligarchii wyznawców okultystycznej sekty zwanej Bractwem. Czczą oni Ciemność, przerażające bóstwo, które domaga się ofiar z ludzi. By uzyskać nieśmiertelność, członkowie Bractwa muszą odczytać niejasne wskazówki, które Ciemność przekazuje im podczas drastycznych rytuałów. Niezbędną postacią jest tu Juan, Wybraniec i medium, który w trakcie ceremonii zmienia się fizycznie (powiększa się, wyrastają mu złote pazury) i zużywa tyle energii, że za każdym razem grozi mu to śmiercią. Opisy okultystycznych rytuałów są hipnotyczne i literacko wyszukane. Enriquez projektuje całe krajobrazy z kości i wysuszonych ludzkich szczątków w kompozycje zainspirowane kartami tarota i podręcznikami czarnej magii.

Jedna z bohaterek mówi wprost, że dyktatura jest użyteczna dla członków Bractwa, choć z wyżyn swojej kultury, nabytej dzięki bogactwu, uważają oni wojskowych za prostaków. Wolą jednak współpracować z juntą. Ostatecznie istnieje między nimi podobieństwo, bo tak jak Bractwo ma pewność, że okrucieństwo i perwersja są „drogą do *tajemnego* ↦

↦ *oświecenia*", tak wojskowi wymyślnie torturują i mordują ludzi w imię „reorganizacji narodowej". Ciemna strona rzeczywistości zawsze znajduje sobie adeptów i stosowną obrzędową oprawę.

Ekologia dla żywych i zmarłych

Mimo ubolewania nad komercjalizacją strachu w dzisiejszym świecie, Enriquez zwiedza z upodobaniem cmentarze, ponieważ te „miasta zmarłych" ujawniają, podobnie jak elementy horroru w literaturze, oczywiste związki ludzi żywych z uniwersum zmarłych. Tych ostatnich jest nieskończenie więcej niż żyjących, ten fakt jest jednak wypierany ze świata reklam i wiecznej młodości. Cmentarze reprodukują stosunki społeczne. Jedni mają wystawne nagrobki, inni – jak aborygeni australijscy czy ofiary eksterminacji Indian w Argentynie w drugiej połowie XIX w. – nie zasługują na wzmiankę w nekroturystycznych przewodnikach.

W prozie Enriquez pociąg do życia po życiu, magii i okultyzmu przenika się ze świadomością ukształtowaną przez naukę, technikę, cybernetykę, pragmatyzm i agnostycyzm. Przerażające zjawiska nadprzyrodzone są literackim upostaciowaniem tego, o czym nie chce się albo nie umie mówić wprost, sposobem na oswojenie okrutnego świata. W krajach takich jak Argentyna, dotkniętych przemocą i zbrodniami politycznymi, nekrofilia może stać się narodową perwersją. Może tak być nie tylko w Argentynie, a w każdym społeczeństwie, które zamyka zmarłych w ciasnych ramach żałoby i subiektywnych, narodowych wspomnień.

Zamiast pamięci oficjalnej, często opresyjnej, należałoby przyzwolić na inną, aktywną formę istnienia tych, którzy odeszli. Mają oni, jak pisze Vinciane Despret w eseju „Wszystko dla naszych zmarłych" zadania i plany. By je spełnić, muszą pozostawać z nami w rzeczywistym związku. Utrzymywanie twórczego kontaktu ze zmarłymi, twierdzi belgijska filozofka, zakłada dbałość o ich miejsce w codzienności, jest zatem formą działania ekologicznego. Z takiej perspektywy, opowiadania Enriquez (np. „Żadnych urodzin ani chrztów", „Wieża widokowa") to swoiste „ekohorrory" o pragnieniach istot, które umarły, lecz nadal poszukują przestrzeni, nie tyle, by straszyć, lecz by dzielić z żywymi swoje *inne* istnienie.

© NINA PLUTA

Głos wykluczonych

MICHAŁ SOWIŃSKI

Żadnego świata nie da się nauczyć do końca. Gdy go opisujemy, zawsze pozostają wątpliwości, a ich obecność świadczy wyłącznie o reporterskiej wiarygodności i uczciwości. Artur Domosławski mówi o tym w każdej ze swoich książek.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

ARTUR DOMOSŁAWSKI
(ur. 1967) – pisarz i reporter. Zajmuje się krajami globalnego Południa, najczęściej Ameryki Łacińskiej. Autor książek: „Gorączka latynoamerykańska" (2004), „Śmierć w Amazonii" (2013). „Wykluczeni" (2016). Napisał dwie biografie: „Kapuściński non-fiction" (2010) i „Wygnaniec. 21 scen z życia Zygmunta Baumana" (2021). Przez lata był związany z „Gazetą Wyborczą", obecnie z „Polityką". Laureat nagrody Grand Press „Dziennikarz Roku" 2010 oraz Nagrody im. Beaty Pawlak.

Na początek dwa cytaty. Pierwszy: „Kochamy reporterów. Przynoszą, by użyć terminu Waltera Benjamina, »opowieści marynarskie«, które fascynują nas z dwu powodów: opowiadają o ziemiach, jakich pewnie nigdy nie zwiedzimy, i o zdarzeniach, jakich nigdy nie będziemy świadkami – a które oni, reporterzy, oglądali na żywo". I drugi: „Traktuję swoją pracę i reportaż bardzo poważnie i odpowiedzialnie. Bo też jest to bardzo delikatna dziedzina, porównać ją można do chirurgii oka. (...) Reportaż ma bezpośredni związek z życiem. Dlatego jestem za tym, by traktować tę pracę bardzo serio, w sposób bardzo odpowiedzialny. A traktowanie serio tego zawodu wymaga czasu i przygotowania". Pierwszy pochodzi z tekstu Zygmunta Baumana, drugi z wywiadu z Ryszardem Kapuścińskim. „Chirurgia oka" i „opowieści marynarskie" to metafory, które dobrze oddają dwoistą rolę reportera – jeszcze do nich wrócę.

Trzeba zrozumieć

Przy okazji tekstu o pisarstwie Artura Domosławskiego, reportera i biografa, Bauman i Kapuściński pojawiają się oczywiście nieprzypadkowo. Po pierwsze, to właśnie im poświęcił dwie monumentalne książki: „Kapuściński non-fiction" (2010) i „Wygnaniec. 21 scen z życia Zygmunta Baumana" (2021). Po drugie, co ważniejsze, to właśnie oni, o czym zresztą sam Domosławski często wspominał w wywiadach, byli przewodnikami w jego profesjonalnym życiu. Pierwszy jako dziennikarz i pisarz, drugi jako socjolog i intelektualista.

Co ich łączy? Najprościej rzecz ujmując – uparte i konsekwentne dążenie do zrozumienia mechanizmów rządzących rzeczywistością XX wieku. W odróżnieniu jednak od wielu innych myślicieli światowego formatu nie interesowała ich synteza, uzyskanie spójnego obrazu świata, lecz wnikliwa analiza, a w konsekwencji jego zagęszczanie i ciągłe komplikowanie. A jednoznaczne i ostateczne wnioski uważali za przejaw intelektualnego lenistwa. Albo gorzej, za nieuczciwość, czyli najgorszy występek, jaki popełnić może ktoś, kto chce coś ważnego o świecie opowiedzieć.

Dotyczy to szczególnie reporterów poważnie traktujących swoją profesję. Reportaż to bowiem najczulsze narzędzie językowe, służące opisywaniu i diagnozowaniu rzeczywistości, jakie udało się stworzyć w ciągu ostatnich 150 lat (czyli od narodzin nowoczesnego społeczeństwa masowego). I z racji tego ścisłego przylegania do rzeczywistości, która jest nie tylko skomplikowana, ale też nieustannie się zmienia, musi on za każdym razem na nowo się do niej dostrajać. Zadaniem reportażu nie jest bowiem wyłącznie prezentacja danego zjawiska czy problemu, ale próba jego zrozumienia, a potem ubrania w formę tekstową, która będzie czytelna (przy jednocześnie jak najmniejszych stratach w procesie kompresji) dla szerokiego grona odbiorców. To skomplikowany proces detekcji, a później translacji, uwzględniający nie tylko różnice wynikające z geografii, ale również pozostałe, które decydują o naszym sposobie postrzegania rzeczywistości (np. kulturowe, klasowe, genderowe, pokoleniowe itp.).

W innym przypadku mamy do czynienia z łatwo przyswajalnymi obrazkami, które niczego w nas (ani w naszym świecie) nie zmieniają. W przypadkach skrajnych, w których powierzchowność w podejściu do tematu albo brak podstawowych kompetencji dziennikarskich maskowane są sentymentalno-egzotycznym erzacem, powstaje efekt wręcz odwrotny. Pojawia się wtedy ryzyko zawężania horyzontów naszego myślenia o rzeczywistości. Reportaże, które budują przekonanie, że światy inne niż nasz własny są być może ciekawe, ale jednocześnie dziwne, tajemnicze i właściwie niemające z nami za wiele wspólnego, to niewypały, zmarnowane szanse na przerzucenie mostu przez ocean niewiedzy i obojętności.

Nauczyć się świata

W wydanej w 2016 r. książce „Wykluczeni" Domosławski pisał, że podstawą pracy reportera jest „nauczenie się" świata, który chce opisywać. Gdy w rozmowie dla „Tygodnika Powszechnego" (37/2016) zapytałem go, co to właściwie znaczy, stwierdził, z właściwą sobie bezpretensjonalnością, że nie ma w tym większej tajemnicy. Po pierwsze, trzeba nauczyć się języka. W jego przypadku były to przede wszystkim hiszpański i portugalski, którymi posługują się mieszkańcy Ameryki Południowej i Środkowej. Po drugie, długi i żmudny proces samodokształcania, czyli poznawanie lokalnej historii i kultury. Gdy zdobędzie się te kompetencje, można przejść do kroku trzeciego, najtrudniejszego, czyli ↦

↦ powolnego przyswajania gęstej siatki kodów kulturowych, które kształtują się na wielu poziomach – od codziennych i lokalnych drobiazgów, aż po wielowiekowe procesy polityczne, społeczne czy ekonomiczne, nazywane długim trwaniem historii.

Żadnego świata nie da się jednak nauczyć do końca, zawsze więc pozostają wątpliwości, a ich obecność świadczy wyłącznie o reporterskiej wiarygodności i uczciwości. Dlatego Domosławski mówi o tym wprost w każdej ze swoich książek. Gdy np. opisuje codzienne życie ludzi w brazylijskiej faweli, wie, że dla swoich rozmówców jest przybyszem z zupełnie innego świata. Zdaje sobie sprawę, że trudno będzie zdobyć ich zaufanie, że będą czuli do niego niechęć, bo z ich perspektywy jest bogaczem, że być może będą go oszukiwać, aby coś na tym zyskać. Pisał wręcz, że bilet na powrotny samolot, który ma w kieszeni, sprawia, że pewnych granic nigdy nie uda mu się przekroczyć.

Jaką jednak mamy alternatywę? Zrezygnować z pisania, aby w ten sposób wykluczyć ryzyko mimowolnych zniekształceń? Komu miałoby to służyć? Na pewno nie samym bohaterom tekstów. Dlatego, jak pisał Bauman, potrzebujemy tych „marynarzy" i ich opowieści, bo tylko dzięki nim nasze imaginarium może poszerzać się o kolejne, odległe lądy.

„Wykluczeni", być może najważniejsza książka reporterska w dorobku Domosławskiego, bo wprost przyjmująca globalną perspektywę, poświęcona jest ludziom, których los nikogo nie obchodzi. I nie ma w tym sformułowaniu przesady ani egzaltacji, są za to twarde realia ekonomiczno-społeczne współczesnego kapitalizmu. „Niemal zawsze moją uwagę zwracali przegrani, poniewierani, wydziedziczeni, niekoniecznie tylko z dóbr materialnych. Ludzie bez głosu, bez reprezentacji, bezsilni, którzy rzadko, czasem od święta, bywają bohaterami codziennych newsów" – pisze we wstępie, noszącym znaczący tytuł „(kręgi wykluczenia)". Ci ludzie to mieszkańcy globalnego Południa, regionów spustoszonych przez wojny, postępującą katastrofę klimatyczną i bezwzględny wyzysk ekonomiczny. Rewers postglobalistycznego dostatku i bezpieczeństwa.

Ludzie bez głosu

Zadaniem reportera nie jest jednak zbawienie świata. Może natomiast zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, dzięki niemu „ludzie bez głosu" mogą ten głos na chwilę zyskać. „Początkowo chciałem napisać, że wykluczeni, których spotkałem w trakcie podróży, są bohaterami zebranych w tej książce opowieści. Po namyśle skłaniam się ku stwierdzeniu, że są właściwie ich autorami, którzy – niekiedy świadomie, a częściej nieświadomie – wykorzystali dostępne medium, jakim był spotkany na drodze reporter", pisze dalej w tym samym wstępie. Po drugie, reporter, poprzez gromadzone przez siebie rozmowy i obrazy, może uświadamiać czytelnikom z bogatej Północy (trzymając się tej geograficznej metafory), jak wygląda i działa świat, który wszyscy współtworzymy.

Mechanizmy wykluczenia, opisywane we wszystkich jego książkach, są właściwie proste. Krwawe rewolucje, totalitarne reżimy, systemowy antysemityzm czy bezwzględny wyzysk produkują rozmaite narracje maskujące, które mają odwrócić naszą uwagę od banalnej prawdy o tym, że prymitywna przemoc jest dla wąskiej grupy ludzi skutecznym narzędziem budowania własnej pozycji. Sęk w tym, żeby umiejętnie się przez te narracje przedrzeć, a potem wyciągnąć odpowiednie wnioski.

W „Gorączce latynoamerykańskiej", „Śmierci w Amazonii" i „Wykluczonych" Domosławski zgromadził aż nadto dowodów, że jest to jedyna sensowna strategia działania. Opisując historie pojedynczych bohaterów oraz wykorzystując swoją rozległą wiedzę o globalnych peryferiach, pokazuje, że setki milionów ludzi na całym świecie znalazły się w perfidnej pułapce, z której na samodzielne wyjście mają marne szanse. I nie dlatego, jak często wmawia nam neoliberalna propaganda spod znaku ryby i wędki, że nie chcą albo (w nieco bardziej empatycznej wersji) nie potrafią. „Biedni – ci naprawdę biedni w slumsach Południa, walczący o przeżycie każdego dnia, ci, którym odmawia się prawa do życia na własnym kawałku ziemi, których gwałci się i okrada, których wciela się do armii lub partyzantek i rozkazuje zabijać – nie są wcieleniem cnót ani aniołami. (...) Zwracają światu to, co od niego dostali".

Chirurgia oka

Dlatego w jego tekstach nie chodzi wyłącznie o wzbudzenie empatycznej reakcji u czytelnika (choć niewątpliwie jest

ARTUR DOMOSŁAWSKI:

Niemal zawsze moją uwagę zwracali przegrani, poniewierani, wydziedziczeni, niekoniecznie tylko z dóbr materialnych. Ludzie bez głosu, bez reprezentacji, bezsilni, którzy rzadko, czasem od święta, bywają bohaterami codziennych newsów.

Biografie Kapuścińskiego i Baumana były próbą odzyskania złożonej i wciąż aktualnej spuścizny intelektualnej dwóch wybitnych postaci. Domosławski chciał tę spuściznę odzyskać nawet nie dla historii kultury, ale dla współczesnej debaty publicznej.

Podczas Festiwalu Conrada porozmawiamy z **ARTUREM DOMOSŁAWSKIM** o XX wieku, który przedstawiany był jako najkrótsze „stulecie" w dziejach – od roku 1918 i końca I wojny światowej do upadku komunizmu w 1989 r. A jednak konflikty, które obserwujemy na co dzień, jawią się jako kontynuacja XX-wiecznych procesów, zasilanych mieszanką regresywnych impulsów psychospołecznych i marzeń o błyskawicznej modernizacji. Czy rzeczywiście mamy do czynienia z kontynuacją, a jeśli tak, to dlaczego nie możemy uwolnić się od widm przeszłości?

ona podstawą do dalszego działania), ale o poszerzenie pola widzenia, a w konsekwencji o zmianę całej optyki, warunkującej nasze postrzeganie świata. To zadanie arcytrudne, dlatego metafora „chirurgii oka", o której wspominał Kapuściński, pasuje tu doskonale.

Przykład: w zamożnych społeczeństwach, gdzie masowo korzysta się z dóbr produkowanych w różnych zakątkach świata, od jakiegoś czasu narasta świadomość konsekwencji takiego modelu życia. W efekcie wytwarzane jest poczucie winy, które dystrybuuje się po równo na wszystkich konsumentów. Aby je załagodzić, proponowane są różne strategie działania. Dajmy na to bojkot firm odzieżowych, które szyją ubrania w fabrykach, gdzie nie przestrzega się elementarnych praw człowieka. Albo picie kawy oznaczonej enigmatycznym hasłem „fair trade". Podobnie jest w przypadku walki ze skutkami katastrofy klimatycznej. Zgodnie z kapitalistyczną ideologią wystarczy wymienić żarówki na energooszczędne i segregować śmieci, aby z czystym sumieniem dalej korzystać z pełnej oferty konsumenckiej. Domosławski wytrąca nas z tego samozadowolenia, komplikując te wygodne dla zachodnich społeczeństw narracje. W jego ujęciu świat to system naczyń połączonych, w którym powstawanie kolejnych kręgów wykluczenia nie jest procesem naturalnym, tylko bezpośrednią konsekwencją trwania takiego, a nie innego globalnego porządku ekonomicznego.

W Amazonii giną ludzie wykonujący niewolniczą pracę, a także aktywiści próbujący bronić ich praw, bo międzynarodowym korporacjom i lokalnym skorumpowanym władzom się to zwyczajnie opłaca. Podobnie dzieje się w afrykańskich kopalniach wydobywających rzadkie metale, bez których nie działałyby nasze telefony i komputery. Albo w Strefie Gazy, gdzie mniejszość palestyńska codziennie spotyka się z dotkliwymi formami prześladowania.

W zglobalizowanym świecie wszyscy jesteśmy w to uwikłani. Nie oznacza to jednak, że wszyscy jesteśmy temu winni w taki sam sposób. Istnieją bowiem różne stopnie odpowiedzialności, o których Domosławski wspomina w wielu miejscach, choćby w „Śmierci w Amazonii". Jednak z tego komplikowania schematów, przy pomocy których świat zachodni myśli o peryferiach, nie da się wyprowadzić prostej recepty na uzdrowienie sytuacji. To jedynie (albo aż) wskazywanie punktu wyjścia dla dalszych, konkretnych, a nie jedynie markowanych działań. „Narzędzia prawdziwej zmiany o odczuwalnych skutkach mają w swoich rękach instytucje polityczne krajowe i międzynarodowe", powtarza do znudzenia reporter.

Mikrokosmos odniesień

Wszystkie opowieści o świecie, których dostarcza nam Domosławski, mają podobny cel, a więc nie ma u niego istotnej różnicy między reportażem a biografią. W obu przypadkach istotne są: prezentacja dobrze zweryfikowanych i wyselekcjonowanych faktów oraz wybór odpowiedniego kontekstu na podstawie zgromadzonej wcześniej wiedzy. Dlatego gdy Domosławski pisze o Kapuścińskim i Baumanie, nie przedstawia wyłącznie ich życiorysów, ale drobiazgowo rekonstruuje cały mikrokosmos odniesień, relacji i sensów, które stworzyły bohaterów obu książek. Co więcej, próbuje o nich opowiedzieć na nowo, pokazując, że my również jesteśmy częścią tych historii.

Zarówno Kapuściński, jak i Bauman, o czym pisałem już na początku, byli postaciami istotnymi dla samego Domosławskiego. Ale łączy ich jeszcze jedno: obaj byli światowego formatu komentatorami rodzącej się na ich oczach nowoczesności, krytycznymi świadkami XX-wiecznej historii. Dziś ich myśl jest w Polsce prawie nieobecna (Bauman) albo przyswojona powierzchownie (Kapuściński).

Bauman został niesprawiedliwie (a także nierozsądnie, biorąc pod uwagę jego znaczenie w światowej humanistyce) wykluczony z polskiej kultury. „Myślę, że Bauman oberwał za wszystkich i za wszystko. Za stalinizm. Za Polskę Ludową. Za cały realny socjalizm. Za to, co robił, i za to, czego nie robił. Za to, co pisał, i za to, czego nie napisał" – pisze Domosławski w „Wygnańcu".

Z Kapuścińskim sprawa była bardziej skomplikowana. Jego młodość została oceniona łagodniej przez domorosłych lustratorów i ekspertów od prawdy historycznej, a późniejsza pozycja w światowym dziennikarstwie sprawiła, że jeszcze za życia został wepchnięty na narodowy panteon. Problem w tym, że dojrzałość danej kultury najlepiej mierzy się jej zdolnością do samokrytycznej rewizji kluczowych postaci, a z tym w Polsce zawsze było krucho. Dlatego też Kapuściński, mimo że chętnie przywoływany przy najróżniejszych okazjach, szybko stał się jedynie pomnikiem, a jego teksty rzadko przebijały się przez powierzchowny entuzjazm.

Obie biografie Domosławskiego próbowały to zmienić, odzyskać złożoną i wciąż aktualną spuściznę intelektualną dwóch wybitnych postaci. Odzyskać nawet nie dla historii kultury, ale dla współczesnej debaty publicznej. Bauman z perspektywy socjologa i filozofa, Kapuściński zaś jako reporter i podróżnik – wnikliwie oraz na bieżąco analizowali najważniejsze procesy społeczne, ekonomiczne i polityczne XX wieku. I to zarówno na światowych peryferiach, jak i w jego centrum. Z powodów geopolitycznych Polska po II wojnie znalazła się na marginesie, dlatego ominęły nas ważne dyskusje, które kształtowały zachodnie myślenie o takich sprawach, jak globalizacja, ewolucja kapitalizmu w stronę neoliberalną czy postępujące narastanie nierówności społecznych. Dlatego gdy w latach 90. wchodziliśmy w nową rzeczywistość, nie byliśmy na nią przygotowani.

Wprowadzanie po latach do debaty publicznej takich postaci nie jest procesem łatwym. Widać to na przykładzie recepcji obu biografii Domosławskiego. Przy okazji pierwszej dyskutujący skupili się niemal wyłącznie na jednym z mniej istotnych wątków pobocznych, związanych z życiem prywatnym Kapuścińskiego. Tym samym pominięto szereg ważnych problemów podnoszonych przez Domosławskiego. W przypadku książki o Baumanie, która ukazała się 11 lat później, sytuacja wyglądała już nieco inaczej. Ci, którzy przeczytali ją uważnie i bez ideologicznego zacietrzewienia, najczęściej dostrzegli jej olbrzymi potencjał dla rozmowy o polskiej historii, ale przede wszystkim o globalnej teraźniejszości.

A wszystko dlatego, że Domosławski, niezależnie od podejmowanego tematu czy formy pisarskiej, zawsze pozostaje reporterem. Zachowuje krytyczny dystans do opisywanej rzeczywistości i zachęca czytelników do ciągłego modyfikowania schematów myślenia. Innymi słowy, pokazuje nam inne światy, do których nie mamy dostępu, ale jednocześnie uczy nas, jak powinniśmy na nie patrzeć.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

Reporter totalny

TOMASZ PINDEL

Piszą o nim, że ma „duszę poety i instynkt detektywa". Ja na Óscara Martíneza spojrzałbym prościej: to dziennikarz, któremu spod palców wychodzi wybitna literatura.

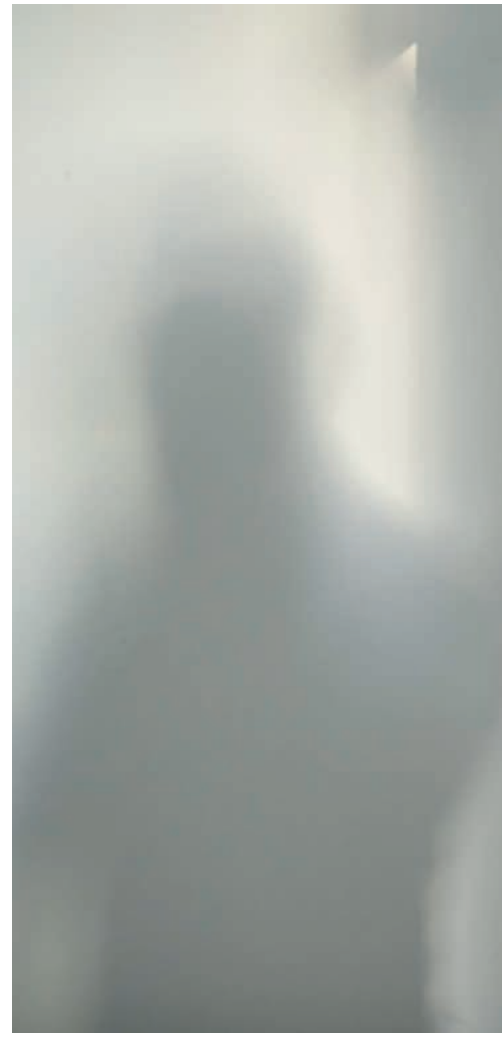

Zawód dziennikarza w Ameryce Środkowej (i szerzej – w wielu państwach Ameryki Łacińskiej) obarczony jest ogromnym ryzykiem. UNESCO Observatory of Killed Journalists podaje, że z 1531 dziennikarzy zamordowanych na całym świecie od 1993 r., aż 217 poniosło śmierć w Meksyku, Gwatemali, Salwadorze i Hondurasie. To oznacza ponad 14 proc., a przecież prócz 130-milionowego Meksyku mówimy o państwach o stosunkowo niewielkich populacjach. Z kolei z raportu Reporters Without Borders wynika, że w latach 2011-2020 aż 80 proc. morderstw dziennikarzy dokonanych zostało w Meksyku, Hondurasie, Brazylii oraz Kolumbii. 139 osób – w większości przypadków zginęły one w wyniku egzekucji po uprowadzeniu bądź w miejscu pracy.

Rzecz jasna, śmierć to najczarniejszy scenariusz, ale przecież istnieje cały wachlarz możliwych represji wymierzonych w dziennikarzy. Na tym tle Salwador wypada wyjątkowo niekorzystnie nawet w tak upiornym regionie jak Ameryka Środkowa i Południowa. Ustawa dotycząca ochrony dziennikarzy (część krajów z tej części świata wprowadziła podobne regulacje, pytanie tylko, na ile skuteczne) utknęła na trzy lata i obecnie słuch po niej zaginął. To, że dziennikarze znajdują się na celowniku zorganizowanej przestępczości, nikogo nie dziwi, ale niewiele lepiej wypada samo państwo, jego służby i klasa polityczna. Tweety takie jak ten opublikowany w sierpniu ubiegłego roku przez prezydenta Nayiba Bukelego – „Podają się za »dziennikarzy«, ale my, Salwadorczycy, dobrze wiemy, że to pióra do wynajęcia" – potęgują tylko atmosferę nagonki i przyzwolenia na przemoc.

Światło latarni

W takich właśnie warunkach Óscar Martínez wykonuje swoją pracę. Od lat pozostaje związany z internetowym dziennikiem Elfaro.net. Założony w 1998 r. w stołecznym San Salvadorze „Elfaro" (nazwa znacząca: *el faro* to latarnia) był pierwotnie inicjatywą opartą na wolontariacie, z czasem jednak poszerzył swój skład, sprofesjonalizował się i podjął dziennikarską współpracę z zagranicznymi agencjami, co dziś stanowi podstawę jego finansowania. Jego reporterzy piszą przede wszystkim o swoim regionie, ale spoglądają też na dalszy świat. Warto sprawdzać ich stronę (istnieje tam dział po angielsku), choćby po to, żeby przekonać się, jak globalne sprawy wyglądają z perspektywy Ameryki Środkowej.

Główne linie tematyczne to przestępczość zorganizowana, korupcja, migracja, nierówności, ale też kultura. Tak naprawdę to nie jest kwestia wyboru: taka jest tamtejsza rzeczywistość. Wspólny los środkowoamerykańskich państw obejmuje krwawe konflikty z okresu zimnej wojny, amerykańskie interwencje, nierówności rasowe i klasowe, przenikanie przestępczości do wszystkich warstw życia społecznego, przerzuty narkotyków z Ameryki Południowej *via* Meksyk do USA, doświadczenie skrajnej przemocy i masową migrację do Stanów Zjednoczonych.

Salwadorska szkoła reportażu

Choć pierwszą książkową publikacją Óscara Martíneza była „Bestia. O ludziach, którzy nikogo nie obchodzą" (2010, polskie wydanie 2019), to wydana sześć lat później „Una historia de violencia. Vivir y morir en Centroamérica" („Historia przemocy. Życie i śmierć w Ameryce Środkowej") pełniej pokazuje typową dziennikarską robotę autora. Tom składa się z 14 reportaży, napisanych i opublikowanych na łamach „Elfaro" między 2011 a 2015 r. Opisane tu historie wydarzyły się w Salwadorze, Gwatemali, Hondurasie i Nikaragui.

We wstępie adresowanym do amerykańskiego czytelnika – książka ukazała się pierwotnie w USA – Óscar Martínez przedstawia coś w rodzaju *credo*, przy czym bardziej niż na zadaniach i celach dziennikarza skupia się na motywacjach odbiorcy. Dlaczego amerykański czytelnik miałby sięgać po zbiór reportaży o Ameryce Środkowej? Zasadnicze powody są dwa: po pierwsze, to nie są opowieści o mieszkańcach jakiegoś odległego „nie-wiadomo-gdzie", tylko o ludziach żyjących tuż obok, o gosposiach, nianiach, ogrodnikach i hydraulikach, których przeciętny Amerykanin widuje codziennie. Przecież te miliony uciekinierów stanowią nieusuwalny element społecznego krajobrazu Stanów Zjednoczonych, czy to się komu podoba, czy nie. Wiele spośród

MATERIAŁY PRASOWE KBF

tych osób ma za sobą historie podobne do tych opisanych w reportażach. Po drugie: bo za to, jak wygląda dzisiaj Ameryka Środkowa, odpowiadają w znacznej mierze kolejne amerykańskie rządy, więc byłoby dobrze, gdyby wyborcy mieli świadomość stanu rzeczy.

Polski czytelnik mógłby skwitować oba te argumenty wzruszeniem ramion, wszak nas one nie dotyczą. To pozór. Owszem, te sprawy nas dotyczą, tylko w innym stopniu. Wiedzieć o tym, co się dzieje, jest zdecydowanie lepiej, niż nie wiedzieć. Nie ma znaczenia, czy chodzi o miejsca oddalone od nas o dziesiątki, czy tysiące kilometrów.

Reportaże zebrane w „Una historia de violencia" mają szereg cech wspólnych. To historie konkretnych ludzi uchwycone w konkretnym momencie, ludzi, którzy raczej nie trafiają na pierwsze strony gazet. Rolnik, który nie może uprawiać ziemi, bo otaczają go prowadzone przez mafię plantacje palmy olejowej. Jedyny w Salwadorze ekspert od kryminalistyki, poszukujący i wydobywający szczątki ofiar mordów, który działa niemalże na własną rękę. Policjant, który przechwala się brakiem litości i twardą ręką wobec *narcos*, choć tak naprawdę nic z tych jego działań nie wynika. Lider gangu, który kręci na boku własne interesy. I jego były podwładny, który z zemsty idzie na współpracę z wymiarem sprawiedliwości.

Za każdym razem te punktowe historie odsłaniają szerszy mechanizm, związany z wszechobecnością przestępczości i nieudolnością – albo po prostu dezercją – państwa. Każda z tych historii, poniekąd mimochodem, wprowadza czytelnika w realia opisywanego kawałka świata, czytane zaś razem dają ogląd dramatycznej sytuacji w regionie. I bardzo ważna rzecz: styl. Martínez pisze z literackim polotem, nie stroni od poetyckości, od metafory, od błyskotliwego skrótu, portretuje swoje postaci celnymi pociągnięciami pióra, wzorem najlepszych nowelistów. Jednak literackość stylu nigdy nie staje u Martíneza w sprzeczności z faktograficzną rzeczowością, a sam reporter zawsze pozostaje w cieniu.

ÓSCAR MARTÍNEZ (ur. 1983) – salwadorski dziennikarz i reporter. Specjalizuje się w problematyce przemocy, karteli narkotykowych i przestępczości zorganizowanej w Ameryce Łacińskiej. Laureat wielu nagród, m.in. National Journalism Prize w Meksyku oraz Nagrody Praw Człowieka Uniwersytetu Środkowoamerykańskiego w Salwadorze. Po polsku ukazały się (w tłumaczeniu Tomasza Pindla) dwie jego książki reporterskie: „Bestia. O ludziach, którzy nikogo nie obchodzą" oraz napisana wspólnie z bratem Juanem José Martínezem „Młody z Hollywood. Skąd wziął się najokrutniejszy gang świata Mara Salvatrucha 13".

Na grzbiecie Bestii

Międzynarodowy rozgłos – dalece nieoczywisty, przecież świat w niewielkim stopniu interesuje się krajami w rodzaju Salwadoru czy Hondurasu – przyniosła Martínezowi książka o środkowoamerykańskich migrantach, przeprawiających się przez Meksyk. W oryginale nazywa się ona po prostu „Migranci, którzy nikogo nie obchodzą", ale w tytułach wersji obcojęzycznych zawsze pojawia się Bestia, bo tak nazywany bywa towarowy pociąg, na dachu którego wielu migrantów przemierza sporą część drogi od granicy z Gwatemalą w stronę USA.

„Bestia. O ludziach, którzy nikogo nie obchodzą" wypełniła – przynajmniej częściowo – pewną lukę. O ile od kilkudziesięciu lat sporo mówiło (i nadal mówi) się o „nielegalnych" migrantach z granicy meksykańsko-amerykańskiej, to los milionów ludzi, którzy bez powodzenia próbowali przedostać się do USA (a cała trasa liczy około 5 tysięcy kilometrów), wciąż nie jest wystarczająco udokumentowany. Na książkę Martíneza składają się samodzielne reportaże, które jednak układają się w spójny obraz drogi z południa na północ i prezentują przerażającą panoramę niebezpieczeństw, na jakie nielegalnie wędrujący m.in. Salwadorczycy, Gwatemalczycy czy Honduranie byli i są narażeni.

Autor przeszedł tę drogę razem z nimi. Co prawda nie na raz, tylko etapami, ale i tak musiał wskakiwać na jadący pociąg, przechodzić torowiskiem przez miejsca, gdzie grasują złodzieje, i jeździć trasami, na których bojówki z karteli porywają migrantów. Zagranicznym dziennikarzom i czytelnikom, którzy z podziwem ↦

↦ i zachwytem wyrażali się o jego odwadze, powtarzał zawsze, że w żadnym wypadku nie można porównywać jego sytuacji z tą, w jakiej znaleźli się uchodźcy. On zawsze mógł się wycofać, poprosić o pomoc (był w Meksyku legalnie) i ją otrzymać, zadzwonić do znajomych, wylegitymować się jako dziennikarz... Oni nie. Dla nich droga wiodła tylko w jedną stronę. Ale to właśnie dzięki bezpośredniemu doświadczeniu drogi i obcowaniu z migrantami Martínez mógł oddać głos ofiarom, konkretnym osobom. Mógł zamiast masy pokazać jednostki.

Poza tym salwadorskiemu reporterowi udało się uchwycić historyczny moment przemiany. Wcześniej migranci padali ofiarą złodziei, gwałcicieli, skorumpowanej policji itd. Spotykała ich przemoc, którą można by nazwać oddolną: zawsze znajdą się ludzie, którzy wykorzystają słabość innych. Ale na przełomie pierwszej i drugiej dekady XX wieku w miejsce przemocy oddolnej wkracza przemoc zorganizowana, wręcz przemysłowa. Meksykańskie kartele, które nie zajmują się przecież wyłącznie narkotykami, tylko – jak każda instytucja nastawiona na zysk – dywersyfikują źródła dochodu, zdały sobie sprawę, że tysiące migrantów, próbujących każdego dnia przedostać się do USA, to znakomita okazja do zarobku. To kobiety, które można sprzedać do domów publicznych, to czyiś krewni, za których można zażądać okupu, wreszcie – to tania siła robocza. A kiedy przemytnicy nie chcieli płacić podatku od każdego migranta, dokonano masowego mordu kilkunastu dziesiątek „nielegalnych" – tak dla przykładu, po to, by wysłać wiadomość do następnych.

Opowieść mordercy

Jeśli „Una historia de violencia" jest jak zbiór nowel, a „Bestia" jak cykl krótkich form zrastających się w całość, to „Młody z Hollywood. Skąd się wziął najokrutniejszy gang świata Mara Salvatrucha 13" (2018, polskie wydanie 2022) stanowi reportaż, który można określić mianem powieściowego.

Martínez poznał Miguela Ángela Tobara w czasie, kiedy ten pierwszy zgodził się zeznawać przeciwko kolegom z gangu i został objęty programem ochrony świadków, choć w salwadorskich realiach oznaczało to tyle, że chłopak, wraz z żoną i córeczką, przesiedział wiele miesięcy w klitce przy prowincjonalnym posterunku, dosłownie przymierając głodem. Óscar, razem ze swym bratem Juanem José, antropologiem badającym salwadorską przestępczość, przegadali z byłym przestępcą dziesiątki godzin, co pozwoliło im stworzyć kompletną opowieść o jego życiu, przez którą przebija inna, szersza historia: o kraju i o całym regionie.

Tobar, w gangu posługujący się ksywą Młody z Hollywood, jest jak pełnokrwisty bohater powieści, tyle że żył naprawdę i wszystkie przedstawione w książce fakty zostały przez jej autorów zweryfikowane. Urodzony w nędzy, od dziecka otoczony patologią, przystał do lokalnej bandy podrostków, która stanowiła część rozległej struktury potężnego gangu Mara Salvatrucha 13, prowadzącego zaciekłą wojnę ze swym bliźniaczym odpowiednikiem Barrio 18.

Młody został aktywnym członkiem bandy, zabójcą, który sam przyznawał się do kilkudziesięciu ofiar, w tym kobiet. Zabijał z broni palnej, ale także rąbiąc maczetą. Żył w nędzy, tak jak jego towarzysze. Poważne zyski z przestępczej działalności czerpali tylko bossowie. Odszedł od swoich nie dlatego, że obudziło się jego sumienie, tylko z zemsty za zamordowanie brata. I – tak jak się spodziewał – zginął z ręki dawnych kumpli, bo w tym świecie zdrady się nie wybacza. Tobar nie wiedział, że to jego straszne i smutne życie stanowi logiczną konsekwencję dziejów całego kraju i regionu, że nie byłoby Mara Salvatrucha, gdyby nie nieletni uchodźcy, których najpierw przyjęto w USA z ogarniętego wojną domową Salwadoru, a potem do niego przymusowo wydalono. Nie wiedział, że nie byłoby tej beznadziejnej nędzy i drastycznych nierówności, gdyby nie kolejne dekady politycznych błędów, a mówiąc wprost – przekrętów. Bracia Martínezowie nie usprawiedliwiają swojego bohatera, ale pozwalają nam zrozumieć, dlaczego stał się tym, kim był.

„Młody z Hollywood" to reportaż z bardzo solidnym zapleczem socjologicznym, historycznym i kulturowym. Może to brzmieć onieśmielająco, ale książka napisana jest dynamicznie, z polotem, a nade wszystko ułożona z nadzwyczajną precyzją. Parę dekad temu, w czasach literackiego boomu w Ameryce Łacińskiej, pisano sporo powieści zwanych totalnymi. Całkiem możliwe, że teraz przyszedł czas na totalne reportaże. © TOMASZ PINDEL

> Dzięki bezpośredniemu doświadczeniu drogi i długiemu obcowaniu z migrantami Martínez mógł oddać głos prawdziwym ofiarom, konkretnym osobom. Mógł zamiast masy pokazać jednostki.

> Wspólny los środkowoamerykańskich państw obejmuje krwawe konflikty z okresu zimnej wojny, amerykańskie interwencje, nierówności rasowe i klasowe, przenikanie przestępczości do wszystkich warstw życia społecznego, przerzuty narkotyków z Ameryki Południowej *via* Meksyk do USA, doświadczenie skrajnej przemocy i masową migrację do Stanów Zjednoczonych.

Podczas Festiwalu Conrada porozmawiamy z **ÓSCAREM MARTÍNEZEM** o źródłach kryzysu, który doprowadził do zapaści w krajach Ameryki Środkowej i Południowej, a także o tym, jak nieopanowana przemoc determinuje życie ludzi zamieszkujących kraje tego regionu. Czy z tą patologią można walczyć, a jeśli tak, to w jaki sposób? I jaką rolę w tym kontekście ma do odegrania literatura, a w szczególności reportaż zaangażowany?

Ludzie z cienia

AGNIESZKA ERDOĞAN

Turecka autorka pisze o ludziach, którzy nie potrafią pogodzić się z codziennością – subtelnych i delikatnych, zmagających się z wewnętrznymi rozterkami i przytłaczającymi problemami społecznymi.

Ayfer Tunç to turecka pisarka, dziennikarka i scenarzystka. Urodziła się w 1964 r. w Adapazarı (Sakarya, Turcja). Bardzo wcześnie straciła ojca, co – jak sama twierdzi – w znaczący sposób wpłynęło na jej charakter i sposób postrzegania świata. Wraz ze starszą siostrą wychowywała się wśród licznych ciotek i wujków. Dorastanie w urzędniczej, wykształconej rodzinie sprawiło, że od najmłodszych lat interesowała się literaturą. Bardzo wcześnie sięgnęła po teksty czołowych tureckich twórców, takich jak Yaşar Kemal (1923-2015), znakomity prozaik i poeta kurdyjskiego pochodzenia, obrońca praw człowieka, walczący o prawa Kurdów i poruszający tę tematykę w swojej twórczości, wielokrotnie nagradzany, a nawet nominowany do Literackiej Nagrody Nobla za serię powieści, zatytułowaną „İnce Memed" (dosł. „Chudy Memed"). Na jej twórczość wpłynęli również: Orhan Kemal (1914-1970), który w swych realistycznych powieściach opisywał życie ludzi zmagających się z ubóstwem i deprywacją; a także Kerime Nadir (1917-1984), autorka ponad czterdziestu powieści, z których blisko trzydzieści doczekało się ekranizacji, skupiająca się na problemach emocjonalnych mieszkańców XX-wiecznej Turcji.

Tunç już w szkole podstawowej zafascynowała się twórczością Kemalettina Tuğcu (1902-1996), autora najbardziej poczytnych utworów literatury dziecięcej, którego bohaterowie dorastają w trudnych warunkach, doświadczają przemocy, lecz dzięki pracowitości i uczciwości udaje im się przezwyciężyć trudności. Właśnie w szkole Tunç postanowiła napisać powieść na temat ubóstwa, jednak upłynęło wiele czasu, nim zdołała zrealizować ten pomysł. Po gimnazjum przeniosła się do Stambułu, gdzie podjęła naukę w żeńskim liceum z internatem. Zawsze kochała to miasto, interesowała się także problematyką społeczną. Obie pasje połączyła w okresie studiów na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersytetu Stambulskiego, tam też poznała swojego męża, który dzielił z nią zainteresowanie literaturą. Ich małżeństwo trwało czternaście lat.

Ayfer nie lubiła poezji. Zaczęła interesować się nią dopiero w okresie studiów. W tym samym czasie zadebiutowała jako dziennikarka. Jej artykuł „Jazz i arabeska" ukazał się w czasopiśmie „Edebiyat 81" („Literatura 81"). Wraz z przyjaciółmi wydawała magazyn „Tanım" („Definicja"). Niestety, z powodu trudności finansowych ukazały się tylko dwa numery. W 1987 r. Tunç ukończyła studia i rozpoczęła pracę w magazynie „Sokak" („Ulica"), gdzie rozwijała swoją karierę dziennikarską. Przez długi czas zajmowała się recenzowaniem książek.

GDY W KOŃCU postanowiła spróbować sił jako pisarka, musiała zmierzyć się z oporem rynku wydawniczego. Jej pierwsze opowiadanie „Saklı" („Ukryte") zostało odrzucone. Jednak dwa lata później udało jej się odnieść pierwszy znaczący sukces: zbiór, w którym ostatecznie umieściła wspomniany tekst, otrzymał nagrodę im. Yunusa Nadiego przyznawaną za osiągnięcia kulturalno-artystyczne. To wyróżnienie sprawiło, że postanowiła kontynuować pisanie opowiadań, ale początkowe trudności musiały pozostawić po sobie pewien niesmak, gdyż autorkę dręczyło przekonanie, iż opowiadania z „Saklı" są niedopracowane i charakteryzuje je nadmiernie poetycki styl. W końcu postanowiła napisać je jeszcze raz. Nowa całość została opublikowana w 2006 r. pod tytułem „Evvelotel" (neologizm, który można by przełożyć jako „Dawnohotel") – tym razem wykorzystując zupełnie inne techniki i style pisania.

Niekiedy za właściwy początek literackiej kariery Tunç uważa się publikację z 1996 r. – zbiór opowiadań „Mağara Arkadaşları" („Przyjaciele z jaskini"). W odróżnieniu od utworów z pierwszej książki, te charakteryzowały się dojrzalszym językiem i dopracowanymi formami narracyjnymi, były także obszerniejsze. Po wydaniu tej książki autorka ponownie skupiła się na karierze dziennikarskiej. W międzyczasie zajmowała się też telewizyjnymi adaptacjami utworów literackich, także własnych.

Bardzo ważnym etapem w jej rozwoju była współpraca z wydawnictwem Yapı Kredi, gdzie pełniła funkcję redaktorki naczelnej. To doświadczenie wpłynęło na jej pozycję zawodową i sprawiło, że z sukcesem zadebiutowała jako powieściopisarka.

W 1992 R. WYDAŁA PIERWSZĄ POWIEŚĆ „Kapak Kızı" („Dziewczyna z okładki"), będącą pierwszym tomem trylogii (każdą ze składających się na nią książek można czytać samodzielnie). Akcja pierwszej części rozpoczyna się pewnego zimowego dnia, gdy w wagonie restauracyjnym pociągu jadącego ze Stambułu do Ankary krzyżują się ścieżki trojga nieznajomych. Ich uwagę przykuwają opublikowane w czasopiśmie nagie zdjęcia „dziewczyny miesiąca" – Şebnem. Przemyślenia i rozmowy wywołane przez te fotografie dają wgląd w obłudę społeczeństwa, wyrażającą się w pielęgnowaniu zewnętrznego wizerunku „świętej" rodziny, która w rzeczywistości jest wewnętrznie zepsuta.

Blisko dwie dekady po ukazaniu się pierwszego tomu Tunç opublikowała kolejny pt. „Yeşil Peri Gecesi" („Noc zielonej wróżki"). Şebnem, która wcześniej stanowiła centralną postać, chociaż sama nie zabierała głosu, przejęła rolę narratorki. Niektóre z wydarzeń przedstawionych ↦

↦ wcześniej zostały ukazane z jej punktu widzenia. Wyjazd do szkoły z internatem w bardzo młodym wieku był dla autorki ważnym etapem, dzięki któremu zainteresowała się problemami społecznymi i zyskała możliwość obserwacji osób pochodzących z różnych środowisk. Widać to zwłaszcza w tej powieści, w której Tunç chętnie sięga po własne doświadczenia z okresu dorastania, by zgłębić warunki społeczne, w jakich funkcjonuje tureckie społeczeństwo.

W 2020 r. ukazała się trzecia część cyklu („Osman"). Tu z kolei głównym bohaterem jest Osman, mąż Şebnem. Mężczyzna usiłuje uwolnić się spod presji dominującego ojca. Autorka nie po raz pierwszy uczyniła sednem fabuły konflikt rodzinny. Życie Osmana jest pełne rozczarowań i niepowodzeń. Obdarzony życzliwym usposobieniem bohater z łatwością nawiązuje przyjacielskie relacje z otaczającymi go ludźmi, jednak jego nadmierna wrażliwość, brak pewności siebie, tchórzostwo, nieodpowiedzialność i liczne słabości sprawiają, że tworzone przez niego więzi nie mogą być trwałe.

W 2000 r. wyszedł zbiór „Aziz Bey Hadisesi", a w nim opowiadanie „Kadın Hikâyeleri Yüzünden" („Przez historie z kobietami"), które ukazało się również w polskim przekładzie. Sześć lat później tytułowy tekst został wydany jako samodzielna nowela, która za pomocą klasycznej fabuły i typowych technik narracyjnych wyraża przywiązanie autorki do tureckiej tradycji literackiej. Jednak Tunç nawiązuje do przeszłości nie tylko poprzez stylizację języka i techniki narracyjne. Świadczą o tym również sposób tworzenia postaci i ich perypetie – walka z własnymi słabościami lub o swoje idee, przeciwstawianie się otaczającemu światu w imię wyższych wartości.

Pisarka często opowiada o niewidzialnych, wtapiających się w tło „ludziach z cienia", z których większość już od samego początku skazana jest na niepowodzenie. Pisze o osobach, które nie potrafią pogodzić się z codziennością, subtelnych i delikatnych, zmagających się z wewnętrznymi rozterkami i problemami społecznymi. Język, jakim mówią, muzyka, której słuchają, otaczające ich przedmioty codziennego użytku, domy, dzielnice – to wszystko pochodzi ze Stambułu, którego już nie ma. Być może właśnie z tego powodu w historiach tych dominuje smutek i pesymizm.

Pisarka często opowiada o niewidzialnych, wtapiających się w tło „ludziach z cienia", z których większość już od samego początku skazana jest na niepowodzenie. Język, jakim mówią, muzyka, której słuchają, otaczające ich przedmioty codziennego użytku, domy, dzielnice – to wszystko pochodzi ze Stambułu, którego już nie ma. Być może właśnie z tego powodu w historiach tych dominuje smutek i pesymizm.

Jednym z najpopularniejszych dzieł Tunç jest wydana w 2001 r. powieść „Bir Mâniniz Yoksa Annemler Size Gelecek" („Jeśli nie macie nic przeciwko, moi rodzice was odwiedzą"), która zyskała miano książki kultowej. Autorka przedstawia w niej panoramę Turcji lat 70. ubiegłego stulecia. Był to okres charakteryzujący się brakiem stabilności politycznej i gospodarczej, dochodziło do krwawych starć na tle polityczno-religijnym. Zła sytuacja w kraju doprowadziła do masowej migracji Turków do Niemiec. Wyjeżdżali głównie mężczyźni, w nadziei, że uda im się zarobić pieniądze, które po powrocie zmienią sytuację bytową ich rodzin (chociaż w rezultacie większość z nich pozostała w Niemczech i sprowadziła tam swoich bliskich). Dzieci dorastały bez rodziców, ale życie musiało toczyć się normalnym rytmem. Tunç opisuje codzienne, zwyczajne wydarzenia, które na zmianę śmieszą i zasmucają odbiorców. Rozpoczynając od słów „W naszych czasach..." daje sygnał, że opisane doświadczenia stały się również jej udziałem. Za książkę otrzymała w 2003 r. nagrodę Balkanika.

Na Festiwalu Conrada porozmawiamy z **AYFER TUNÇ** o tym, co łączy mieszkańców dzisiejszej Turcji, którzy wywodzą się z różnych grup narodowych i kulturowych. Czy mają poczucie przynależności do jednej wspólnoty, a jeśli tak, to w jaki sposób ją definiują? Czy i w jakich okolicznościach są gotowi ze sobą współpracować? Słowem: będziemy rozmawiać o historycznych, kulturowych i politycznych uwarunkowaniach dzisiejszej Turcji.

DLA TUNÇ OPOWIADANIE historii w przystępny sposób zawsze było najważniejsze, jednak w kolejnych dziełach widać jej skłonność do pewnych eksperymentów formalnych i wykorzystywania różnorodnych technik prozatorskich, także tych, które podsuwa literatura współczesna. Ważną cechą jej utworów jest intertekstualność. Stosuje raz wyraźne, kiedy indziej subtelne odniesienia zarówno do dzieł innych twórców, jak i własnych.

W powieści z 2009 r. „Bir Deliler Evinin Yalan Yanlış Anlatılan Kısa Tarihi" („Nieprawdziwie opowiedziana krótka historia pewnego domu wariatów") autorce udało się stworzyć groteskowy obraz organizmu społecznego, na który składają się przedstawiciele różnych państw, grup etnicznych i środowisk. Każda i każdy jest tutaj częścią pewnej całości, do której nie zawsze pasuje. Jednocześnie w typowy dla siebie sposób Tunç poddaje krytyce oficjalne narracje historyczne, demaskując nierzetelność oficjalnych prawd i wyrażając tęsknotę za wolnym społeczeństwem.

W opowiadaniach i powieściach autorka porusza zarówno sprawy jednostki, jak i zbiorowości. Problemy społeczne stanowią w jej utworach stały element tła. Pisze o życiu we wszystkich jego wymiarach i aspektach. Opowiada o miłości, samotności, śmierci, relacjach międzyludzkich. Jej bohaterowie noszą w sobie traumę, której źródłem są relacje rodzinne. To ofiary patriarchalnego porządku. Ich problemy rodzinne wywołują rozmaite konsekwencje w dalszym życiu. Wielokrotnie są to historie ludzi pozostających na uboczu, marginalizowanych przez wszystkich. Autorka określa się mianem pisarki-realistki, dlatego kluczowa w jej twórczości jest szczerość. To właśnie ona stanowi kwintesencję „prawdziwej literatury", która musi przeciwstawiać się powierzchownej kulturze

CAN YAYINLARI / AGENCJA LITERACKA KALEM

AYFER TUNÇ (ur. 1964) – turecka pisarka, dziennikarka, scenarzystka. Studiowała nauki polityczne na Uniwersytecie w Stambule, następnie pracowała w tureckich gazetach i czasopismach kulturalnych. Jest autorką powieści, opowiadań, esejów i scenariuszy filmowych i telewizyjnych. W 2020 r. ukazała się po polsku jej książka „Historie z ojczyzny" w przekładzie Agnieszki Erdoğan.

masowej. Tunç jest bardzo wrażliwa na kwestie niesprawiedliwości społecznej, zła i upadku wartości. Jak sama mówi, literatura jest dla niej sposobem na wyrażanie siebie, tworzenie więzi z innymi i walkę o własne przekonania.

TURECKA PISARKA UWAŻNIE OBSERWUJE dookolną rzeczywistość. Przykładem jest książka „Ömür Diyorlar Buna" („To nazywają życiem"). Pisze w niej o prawdziwych ludziach i ich historiach, które sami jej przedstawili. W podobnym tonie utrzymany jest zbiór esejów i opowiadań „Memleket Hikâyeleri" („Historie z ojczyzny"), gdzie znajdują się teksty podejmujące refleksję na temat ojczyzny i problemu przynależności do niej. Pisarka przygląda się w nich także różnicom między dużymi miastami i prowincją, zajmuje się historią kraju oraz czynnikami, które determinują codzienną egzystencję ludzi w Turcji. Zbiór ten, wyraźnie nawiązujący do twórczości Refika Halita Karaya (1888-1965), który napisał tekst pod tym samym tytułem. Książka Tunç ukazała się w polskim przekładzie i została bardzo dobrze przyjęta przez czytelników. Co ciekawe, pisarka interesuje się polską literaturą i kinematografią. Jest fanką Kieślowskiego, a wśród ulubionych polskich pisarzy wymienia Gombrowicza (podobno przeczytała wszystkie jego książki). Ceni również literaturę polską lat 80. i 90.

Mimo różnic stylistycznych, w poszczególnych książkach tureckiej pisarki dostrzegalne są podobieństwa i pewne stałe punkty. Zawsze otrzymujemy od niej społeczną panoramę, na której tle rozgrywają się losy jednostek oraz wspólnot. Nawet wtedy, gdy tematem przewodnim są losy danej zbiorowości, krytyka warunków społecznych i politycznych prowadzona jest punktowo, na przykładzie historii poszczególnych ludzi. Pisarka obsadza swoich bohaterów w różnych rolach, ukazując zarówno konflikt jednostki ze społeczeństwem, jak i z samą sobą.

W stylu Tunç czuje się ciepło języka potocznego. Pisarka wzbogaca i wyposaża swoją narrację w możliwości, jakie daje język mówiony. Dzięki temu unika nudy i sztuczności, a jej teksty są czytelniejsze. W sposobie kreowania postaci i świata przedstawionego, a także w jej stylu widać wyraźne wpływy Ahmeta Hamdiego Tanpınara (1901-1962) i Oğuza Ataya (1934-1977), wybitnych pisarzy tureckich ubiegłego stulecia. Podobnie jak oni, czerpie z własnych obserwacji, kładzie duży nacisk na obyczajowość, a przy tym nie próbuje gloryfikować tureckiej historii.

Autorka hołduje myśli, że człowiek ma prawo do wyrażania swojego zdania na dowolny temat, z wyjątkiem sytuacji, w której prowadzi to do zbrodni nienawiści. Tą samą dewizą kieruje się w swojej twórczości. Nie stroni od tematów trudnych, opisuje społeczeństwo tureckie ze wszystkimi jego blaskami i cieniami, ale – w miarę możliwości – z poszanowaniem „wszystkich racji". W świecie opanowanym konfliktami zwaśnionych plemion taki głos jest nie tylko cenny, ale wręcz życiodajny.

© AGNIESZKA ERDOĞAN

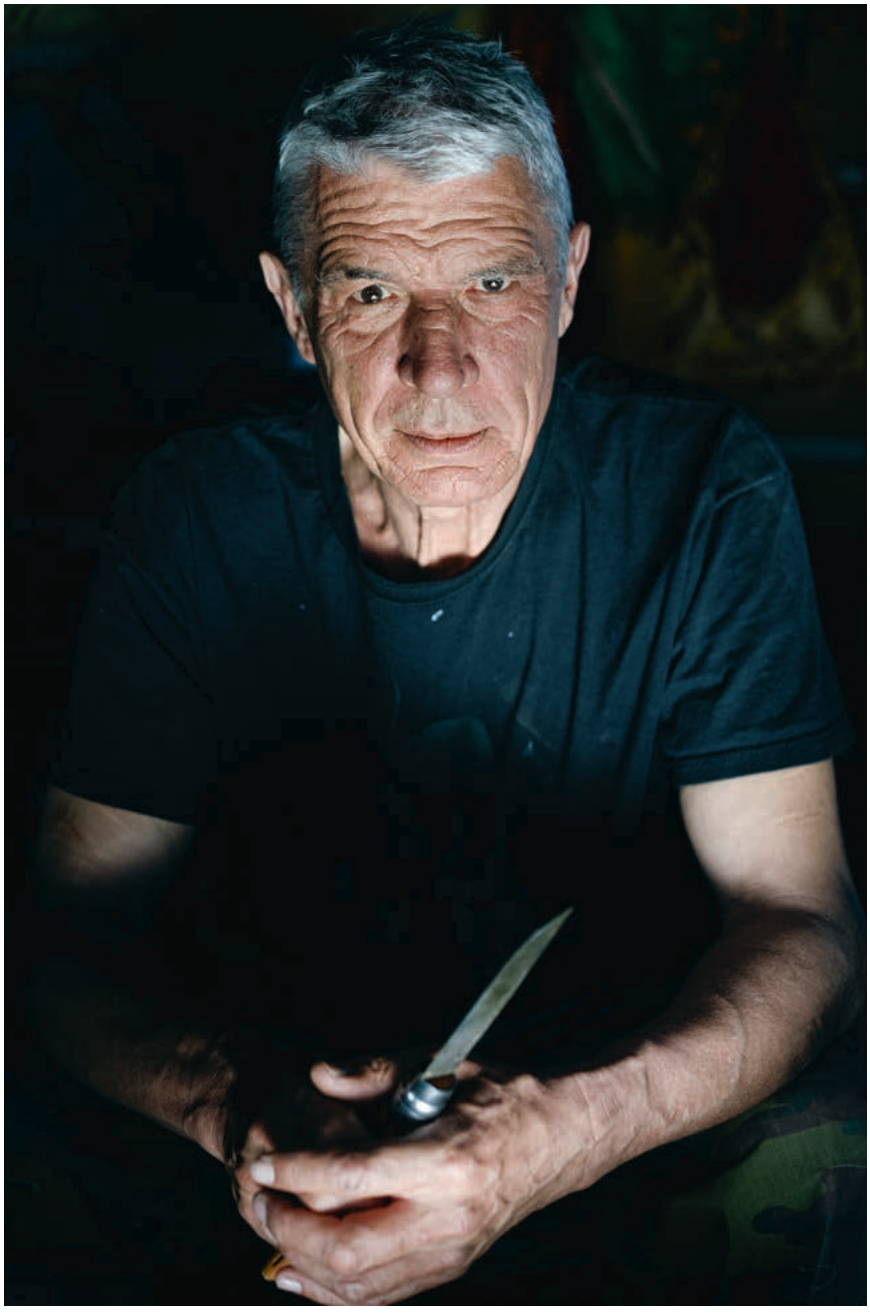

GRAŻYNA MAKARA

Obejrzałem swój świat

ANDRZEJ STASIUK, PISARZ:

Wiele osób mówi: „Pisz tak, bo to jest potrzebne, ważne teraz”, dla mnie to śmierć literatury. Pisz najlepiej, jak potrafisz, po polsku. Pisz w hołdzie dla języka, który próbujesz opanować, albo świata, który starasz się unieruchomić w zdaniu.

ANDRZEJ STASIUK
(ur. 1960) – prozaik, poeta, dramaturg, eseista, publicysta i wydawca. Laureat wielu nagród, w tym Nagrody Literackiej Nike i Nagrody Literackiej Gdynia. Autor 30 książek. Ostatnio ukazały się: „Osiołkiem” (2016), „Kroniki beskidzkie i światowe” (2018) oraz „Przewóz” (2021).

MICHAŁ SOWIŃSKI: Skąd właśnie wróciłeś?

ANDRZEJ STASIUK: Z Bałkanów. Sześć krajów w dwanaście dni. Taka podróż sentymentalna...

Czyli?

Jak tak jeździsz po miejscach, które dobrze znasz, coś się w tobie budzi, coś ekscytuje nieco... Ale jednocześnie widzisz, że to nie jest już to. Jak z używkami: dawno temu było fajnie, a teraz musisz więcej i więcej, a i tak nie jest nawet w połowie tak fajnie, jak za pierwszym razem... Monika to lepiej przeżywa niż ja. Zamarzyła sobie, żeby pojechać jeszcze raz do Theth. Dziś jest już we wszystkich przewodnikach, że niby najbardziej odcięta od świata albańska osada. No więc pojechaliśmy. Niedawno zbudowali drogę, chociaż dalej koszmarnie się nią jedzie. Na miejscu pełno nowych domów i ludzi mówiących po angielsku... Chodzą i patrzą na te twoje ukochane góry. Myślisz sobie: co wy wiecie, ja tu byłem dziesięć lat temu, wtedy to było...

Co było?

No nic nie było. Teraz Albańczycy robią biznesy, gdzie tylko się da. I są w tym nieźli. Dwadzieścia lat temu były legendy, że napadali i mordowali turystów, a teraz po prostu wyciągają z nich kasę. Tak jest lepiej i wygodniej.

Czyli marzenie prysło.

No co zrobisz, tak działa świat.

To jeszcze melancholia czy już depresja?

Bez przesady, melancholia. To piękne uczucie, bardzo literackie, bo oglądasz siebie samego sprzed dziesięciu lat w tej samej, choć nieco zmienionej rzeczywistości. I pytasz – dlaczego nie jest tak fajnie, jak kiedyś? Jest w tym oczywiście ukłucie żalu, ale też ciekawość, bo możesz obserwować, jak zmieniają się twoje własne uczucia.

Będzie z tego nowy „Babadag"?

Nie sądzę, to raczej pisarskie pożegnanie. Obejrzałem swój świat, w którym żyłem przez ładnych kilkanaście lat. A teraz – nie działa. I super. Mówię sobie: nareszcie się tego pozbyłeś. Nie można w kółko pisać o tym samym. Wolę kontemplować, że świat w moich oczach tak pięknie przygasa. Kiedyś była euforia, ekstaza wręcz, a teraz się irytujesz, że droga niby nowa, ale kręta i trzeba wolno jechać. Jeszcze w ulewie.

I nie masz pretensji?

A skąd. Tu chodzi o chemię w moim mózgu. A świat niech się zmienia. Choć czasami czułem smutek, że ta północna Albania już mnie nie zachwyca. Ale wtedy pytasz się: a dlaczego cię, idioto, kiedyś zachwycała? I nie wiem czemu, stąd smutek.

Jak to? Nie pamiętasz, dlaczego kiedyś tam jeździłeś?

Nie. W autoironicznym skrócie powiem: mnie zawsze świat zachwycał i chciałem o nim pisać. I to robiłem. Ale dlaczego? Może dlatego, że nic innego nie potrafiłem. Może chciałem uzasadnić swoje włóczęgostwo, swoje istnienie, które się po prostu przydarzyło. Ta przypadkowość egzystencji, której każdy doświadcza, wymaga jakiegoś wytłumaczenia. Stąd te wszystkie podróże i stacjonarne zachwyty, które opisujesz, a potem nawet bierzesz za nie pieniądze. Przynajmniej jakaś opowieść się za to światu należy.

Najłatwiej zrobić to przy pomocy literatury?

Nie wiem, czy najłatwiej, w każdym razie ja inaczej nie potrafiłem. Problem z literaturą jest taki, że wszyscy dookoła się na niej znają, a przynajmniej tak sądzą. Cieszę się, że się załapałem na nieco inny świat. Dziś każdy krzyczy „ja, ja, ja!". Chyba nie miałbym siły, żeby się przez to przebijać. Nie wiem, jakie skandale musiałbym wyczyniać...

I prowadzić Facebooka.

Na to już mnie nikt nie namówi. Gdy moje pokolenie wchodziło w literaturę, liczyły się tzw. akcje bezpośrednie, jakieś burdy w knajpach czy bijatyki. A teraz to wszystko odbywa się w gadaninie. To jest znak czasów. Nie umiem i nie chcę funkcjonować w przestrzeni mediów społecznościowych, ale oczywiście ją obserwuję. Nie mówię, że ona jest mniej czy bardziej prawdziwa. Ja jednak wolę świat fizyczny. Być może on w końcu zniknie, ale mnie już wtedy nie będzie, więc nie bardzo mnie to obchodzi. Cieszę się natomiast, że mogę obserwować to przejście ze świata przed i po sieci, to bardzo ciekawe jest.

A jak było z pierwszą książką? Większość pisarzy zaczyna od pisania o sobie.

Nieliczni wybitni potrafią zacząć od czegoś wymyślonego od zera, wyrafinowanego formalnie, zbudowanego na wielkich ideach. Jak wyszedłem z więzienia w 1983 r., to wsiąkłem w anarchistyczne środowisko warszawskie. I kolega, Jarema Dubiel, powiedział, żebym opisał swoje doświadczenia. Zapytałem, co z tego będę miał. A on na to, że podziemie bardzo chce taką powieść i że nawet dostanę za to jakieś pieniądze. No i się zgodziłem, chociaż wtedy poetą byłem, wiersze pisałem.

To był mój ostatni rok w Warszawie przed przeprowadzką w Beskid Niski. Pojechałem wtedy z kolegą do pracy w cukrowni w Malczycach nad Odrą. Robotnicy najemni, czyli tacy jak my, co nic nie potrafili, mieli układać gigantyczne stosy cukru, po dwadzieścia-trzydzieści metrów wysokości. Wyglądało to jak piramidy. Problem w tym, że raczej nikt tam trzeźwy nie chodził i zdarzało się, że któryś spadał z dwudziestokilogramowym workiem w przepaść. Po jakimś czasie dyrekcja wymyśliła, że trzeba zbudować siatkę zabezpieczającą, żeby jakieś minimum BHP było zachowane. I ja to robiłem, ale robota się nie paliła nikomu w rękach. Koledzy często chodzili po piwo, a nie było wtedy łatwo dostępne. Albo palili marihuanę w hotelu robotniczym, której ja specjalnie nie lubiłem, więc miałem dużo wolnego czasu. Książkę napisałem w dwa tygodnie w kilku zeszytach w kratkę. Po prostu przyszło, nie musiałem nic wymyślać. Tak powstały „Mury Hebronu". A dzięki honorarium miałem się za co pożegnać z Warszawą.

Z drugą, „Białym krukiem", było gorzej?

Inaczej. Już wtedy mieszkałem w górach i chciałem napisać książkę o przyrodzie, o pięknie świata w zimowej beskidzkiej dolinie. Przyjechał idiota z miasta i próbował to wszystko opisać. Wydawało mi się jeszcze wtedy, że potrzebna jest jakaś fabuła, postaci, dialogi. Stąd ten tani mit chłopactwa, z którym nie mogłem się jakoś pożegnać. To całe męstwo, przyjaźnie, które wiodą w nicość, na zatracenie. Też było łatwo, dwie zimy mi to zajęło, bo rzecz się dzieje zimą, i jakoś nie chciało mi się tego pisać o innych porach roku. Siedziałem wtedy w zupełnym odcięciu, bez prądu, przy lampach naftowych. Najfajniejsze rzeczy mi przychodziły do głowy, jak szedłem przez zaspy pięć kilometrów do sklepu.

Inaczej niż teraz?

Po prostu się siadało i pisało, nie myślało się za wiele o tym, jak to robić. To nie jest bardzo skomplikowane. Nie wierz, jak ktoś mówi, że jest inaczej.

Idea przychodzi potem?

Ludzie przynoszą ci ideę. I albo ją kupujesz, albo nie. Niektórzy krytycy stają na głowie, żeby to jakoś opisać. A ty po prostu chciałeś opowiedzieć jakąś historię, opisać zmierzch zimowy, jak światło w lutym niesamowicie się układa o czwartej po południu. A te ludzkie figurki... Trzeba wpuścić. Jakieś prywatne wspomnienia, cienie znajomych i przyjaciół.

Na gali Nagrody Conrada masz wygłosić wykład mistrzowski. To jak zostaje się mistrzem?

Robiąc swoje. Nie oglądając się na resztę świata, dla którego to robisz. No i robisz, robisz, aż nagle zostajesz mistrzem. Nic więcej, nie mam innych zaleceń. Nie wierzę, żeby można było powiedzieć komuś, jak ma pisać. Jest oczywiście kilka sugestii, które można podsunąć. Na przykład, żeby unikać podszeptów teraźniejszości albo mrocznych części swojego umysłu, jeżeli ktoś potrafi je rozpoznać. Wiele osób mówi: „Pisz tak, bo to jest potrzebne, ważne teraz", dla mnie to śmierć literatury. Pisz najlepiej, jak potrafisz, po polsku. Pisz w hołdzie dla języka, który próbujesz opanować, ↦

albo świata, który starasz się unieruchomić w zdaniu.

Wtedy jest się zadowolonym?

Nie. Może przez chwilę, ale to raczej ulga. Męczysz się z jakąś książką tyle miesięcy, już ci do gardła to wszystko podchodzi, wydawca ciśnie, trzeba zarobić pieniądze...

Ale poważnie.

Jestem zadowolony, kiedy uda mi się jakiś akapit, zdanie nawet. Kiedy myślę, że lepiej chyba już bym tego nie zrobił. A gdy wychodzi książka, zawsze jesteś rozczarowany, bo inaczej to wyglądało w marzeniach, inaczej na papierze. Ale jest też ulga, że to już koniec, że się tego pozbyłeś i można znowu marzyć, myśleć o czymś nowym, co się kotłuje gdzieś z tyłu głowy.

Chwila spokoju?

Tak, na chwilę dają ci spokój. Tak było z „Przewozem". Wszyscy ględzili dookoła: „Napisz powieść, napisz powieść", no to napisałem i w końcu się odczepili.

Nie lubisz powieści?

Nie że nie lubię, to piękne medium, ale archaiczne. XIX-wieczny sposób na uporządkowanie chaosu. Mam wrażenie, że wiele osób się łudzi, że w ten sposób dziś da się opisać świat.

Nie dość, że napisałeś powieść, to jeszcze polityczną.

A gdzie tam polityczną, to opowieść o tamtym nadbużańskim świecie z czerwca 1941 r. Z ówczesnej polityki zjawiają się tam może ze dwie twarze. To powieść o narodzie, z którego się wywodzę.

W dzisiejszych czasach polityka napiera ze wszystkich stron.

Kiedy mówimy „polityka" w Polsce, to od razu stają przed oczami te wszystkie mordy, z którymi pięciu minut nie chciałbyś spędzić. To nie jest polityka na skalę szekspirowską, żeby się nią zajmować.

Znasz dobrze Europę Środkową i Wschodnią. Czy to, co się u nas dzieje, wpisuje się w szerszy obraz regionu?

Jechałem kilka dni temu przez Bośnię i tam zbliżają się wybory. W środku lasu, przy każdej drodze wszędzie plakaty „głosuj na mnie". A te gęby niczym się nie różnią od naszych. Każdy z fotoszopa, przebrany i upozowany, ze sztucznym uśmiechem. Do tego te głupie hasła wymyślone przez copywriterów. Mijasz to wszystko i masz wrażenie, jakbyś z Polski nie wyjechał. No ale co zrobić, inaczej chyba nie będzie, trzeba żyć w tym świecie. I jakoś w nim pisać.

> Jestem zadowolony, kiedy uda mi się jakiś akapit, zdanie nawet. A gdy wychodzi książka, zawsze jesteś rozczarowany, bo inaczej to wyglądało w marzeniach, inaczej na papierze.

Nic się nie zmienia?

Możliwe, że na gorsze. Jak wracaliśmy, staliśmy siedem godzin na granicy serbsko-węgierskiej. Od lat już nie widziałem czegoś takiego. Tysiące samochodów w deszczu i mroku. Większość to serbscy gastarbeiterzy w drodze do Niemiec i Austrii. Czasy niby inne, samochody lepsze, ale w środku dalej udręczeni mężczyźni i kobiety na granicy, która po raz kolejny stała się prawdziwą granicą między światami. I tak znowu zaczyna wyglądać rzeczywistość, nie widzimy tego w naszej unijnej bańce. A tak jest wszędzie, gdzie po jednej stronie są biedni, a po drugiej bogaci. I gdzie jedni nienawidzą drugich. Uderzające doświadczenie, myślałem, że w naszej części świata, przynajmniej za mojego życia, tak już nie będzie.

Wojna w Ukrainie zmieni Europę? Przynajmniej tę naszą część?

To zdecydowanie najważniejsze doświadczenie ostatnich dekad. Rewolucja wartości – wszystko znowu, przynajmniej na chwilę, staje się jasne.

Trzymamy kciuki za łagodną zimę, bo inaczej może być katastrofa. W 2022 roku!

Schadenfreude. A tak było miło, chodziło się po knajpach, postmodernizm, a tu nagle wojna zaraz obok. Ty nie, ale ja byłem wychowywany w nieustającym cieniu wojny. Moje pokolenie nią żyło. Była od zawsze, w kulturze, ale też w opowieściach rodziców, dziadków. „Przewóz" jest o tym – o ludziach, którzy potem stworzyli świat mojej młodości. Tu zawsze było albo „przed" wojną, albo „po" wojnie. Niektórzy czuli wręcz niepokój, że tak długo jej nie ma. Może dlatego jako naród wiedzieliśmy od razu, jak się zachować, gdy Rosjanie napadli Ukrainę.

Co będzie, kiedy wojna się skończy?

Nie skończy się, będzie się jeszcze bardzo długo tliła, bo taka jest rosyjska doktryna polityczna.

Względna normalność jednak wreszcie powróci.

Wielu Polaków w końcu miało kontakt z prawdziwymi Ukraińcami, a nie tylko z jakimiś prymitywnymi stereotypami i fantazjami. Zobaczyli, że to normalni ludzie, którzy są częścią naszego świata. Nie ma bliższego Polsce narodu. Może w końcu to zrozumiemy. Piękne mity o Europie Środkowej, którymi żyliśmy przez lata, walą się na naszych oczach. Musimy sobie to wszystko na nowo poukładać. Piszę o tym teraz książkę. Chciałem o czymś innym, ale nie potrafię. Czuję, że muszę się wytłumaczyć z różnych rzeczy.

Jakich?

Choćby z tego obsesyjnego jeżdżenia do Rosji. Ona siedziała we mnie mocno, dalej siedzi. Byłem zafascynowany tym krajem. Nie chodzi o zachwyty czy pochwały, wręcz przeciwnie, zawsze, gdy tam byłem, czułem grozę. Mam perwersyjne skłonności do szukania mrocznego piękna, przesiąkniętego destrukcją. Co roku jeździłem do swojej duchowej ojczyzny, czyli Mongolii, więc te kilka tysięcy kilometrów przez Rosję trzeba było zrobić.

A bojkot rosyjskiej kultury, która, zdaniem wielu, przez wieki była podbudową imperialnej polityki?

ANDRZEJ STASIUK wygłosi wykład mistrzowski podczas gali Nagrody Conrada, którą zamkniemy tegoroczną edycję Festiwalu Conrada.
Nagroda – przyznawana za najlepszą debiutancką książkę ubiegłego roku – zostanie wręczona po raz ósmy.

Coś w tym jest, nawet genialny poeta Brodski wypisywał jakieś antyukraińskie brednie. Z drugiej strony, jak tam jesteś, to widzisz tę rozpacz, tę rzeczywistość w stanie zupełnego rozkładu, niemrawość cywilizacji, którą oni próbują budować, widzisz tę dotkliwą nicość. Zaczynasz wtedy podejrzewać, że ta kultura służy im do przesłonięcia tego wszystkiego. Jest w tym jakiś heroizm i fatalizm – niemożność ogarnięcia świata, który zagrabili. Tołstoj czy Dostojewski ma maskować tę rozpacz syberyjskiej pustki.

I z tego bierze się ich niechęć do innych światów?

Jechałem kiedyś przez granicę rosyjsko-kazachską. Środek nocy, powoli suniemy, wszystko idzie sprawnie, nawet miło. I na koniec zagaduje nas żołnierz, nie więcej niż dwadzieścia lat. Spojrzał na nasze paszporty i nieśmiało pyta: „A co wy myślicie o Rosji?". Płakać mi się chciało, bo on był autentycznie przejęty tym, co czterech śmierdzących obcokrajowców w brudnym samochodzie myśli o jego kraju. W tym naiwnym pytaniu słychać było wiele rzeczy. I to też jest opowieść o tym, czym jest kultura rosyjska. Czytać czy nie czytać Dostojewskiego – to idiotycznie postawiony problem. Żal mi tylko tłumaczy z rosyjskiego.

Na koniec intymne pytanie – kiedy przestałeś pisać wiersze?

Strasznie intymne. Piszę je do tej pory. Chciałbym, żebyś zaznaczył, że tu był śmiech. Nawet poemat mam zaczęty.

O czym?

O umieraniu, o jeździe do Mongolii, o przyrodzie. O tym, jak człowiek zamienia się w kurz, żeby kości nie walały się potem bez sensu. Otwieram czasem plik i wklepuję linijkę albo dwie.

Tu już nie trzeba ludzi.

I gadulstwa. To jest najcudowniejsze w poezji, że nie musisz gadać. Tego zawsze zazdrościłem poetom.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Gry we dwoje

RENATA KOPYTO

Unica Zürn czerpała energię twórczą z doświadczeń skrajnych, niejednokrotnie destrukcyjnych. Prowadziła przy tym obserwacje i opisywała swoje doświadczenia. Była przenikliwą dokumentalistką złożonego systemu opresji.

1 **„REGUŁY GRY.**

1. Do udziału w grze dopuszcza się nie więcej niż dwie osoby.
2. Uczestnikami są
   A – jedna osoba płci męskiej,
   B – jedna osoba płci żeńskiej.
3. Uczestnikom przed rozpoczęciem gry nie wolno wymieniać między sobą żadnych czułości poza spojrzeniem lub uśmiechem.
4. Podczas gry we dwoje partnerom nie wolno mieć ze sobą bliskiego kontaktu fizycznego.
5. Symboliczną formą *Jeux à deux* jest koło, tzn. gra nie ma końca ani początku.
6. Cele, jakie powinny zostać osiągnięte w grze we dwoje, to: dystans, koncentracja, medytacja".

Powyższe reguły rozpoczynają opowiadanie zatytułowane „Jeux à deux", czyli „Gry we dwoje" Uniki Zürn (1957). Dla autorki to kwintesencja optymalnej damsko-męskiej relacji, jakiej nigdy nie doświadczyła. Mężczyźni, których obdarzyła uczuciem – ojciec, mąż, malarz i mim Alexander Camaro czy surrealista Hans Bellmer – prędzej czy później odchodzili, a ona, choć zraniona i świadoma konsekwencji, jakie może przynieść kolejny związek, angażowała się w następne relacje z taką samą intensywnością. W opowiadaniu „Haus der Krankheiten" („Dom chorób") pisała: „mężczyzna, którego kochałam, natychmiast wbił mi nóż w serce, a ja, obrażona, wycofałam się. Moje serce, które mam za nic, bo najczęściej zachowuje się jak idiota, od tego czasu wielokrotnie zostało podziurawione".

2 W 1967 r., trzy lata przed samobójstwem, Unica napisała historię swojego dzieciństwa. Spogląda w niej na małą Ruth, która przyszła na świat w Berlinie, 6 lipca 1916 r. Autobiograficzna „Ciemna wiosna" jest czymś więcej niż prostym opisem dorastania przyszłej pisarki i artystki. Jest próbą rekonstrukcji emocji, jakie temu dorastaniu towarzyszyły. Nikt z członków rodziny Ruth, która później przyjmie poetyckie imię Unica, nie zdobędzie jej zaufania, z nikim nie będzie czuła bliskości. „Chwyta ją za gardło niedola jej dziesięcioletniego życia: Frieda odeszła. Odszedł ojciec. Nienawidzi matki i nie ma kontaktu z bratem" (tłum. Maryna Ochab). Ukochany, lecz ciągle nieobecny ojciec porzucił rodzinę dla nowego związku, starszy brat zgwałcił ją, a matka jest tylko obcym, pozbawionym powabu ciałem. Pauline Heerdt była drugą żoną Ralpha Zürna, zawodowego żołnierza, który służył w niemieckich koloniach w Afryce, wiele podróżował, a także próbował sił jako pisarz i wydawca.

3 W 1933 r. Unica zatrudniła się w wytwórni filmowej UFA. Początkowo pracowała jako stenotypistka w archiwum, później przy produkcji animowanych filmów reklamowych.

W wieku 25 lat została trzecią żoną starszego o 19 lat Ericha Laupenmühlena. Zamożny i uchodzący za kobieciarza dyrektor firmy Leitz dość szybko potwierdził swoją nie najlepszą reputację. Niewierność małżonka, która stała się przyczyną rozwodu, Unica starała się usprawiedliwić: „Gdy urodziła Katrinchen, ginekolog zszył ją tak, że seks z mężem sprawiał jej ból. On, jak prawie każdy mężczyzna, uwielbiał kochać się z żoną, był rozerotyzowany i szukał zaspokojenia u młodszych kobiet" – pisała we wspomnieniu „Kinderlesebuch" („Dziecięca czytanka").

Małżeństwo rozpadło się w 1949 r. Oprócz wspomnianej córki Katrin, urodzonej w 1942 r., trzy lata później na ↦

↦ świat przyszedł syn, Christian. Rozstanie z mężem, którego kochała, oraz powierzenie mu przez sąd opieki nad dziećmi przyniosło pierwszy kryzys psychiczny.

4 Ratunkiem była nowa znajomość i nowa miłość. Unica poznała malarza i współtwórcę berlińskiego kabaretu Die Badewanne, Alexandra Camaro. Tak wspominała to spotkanie: „W czasach głodu, a mimo to gorączkowej pracy nad źle opłacanymi przez gazety opowiadaniami, zaczyna po raz pierwszy malować. Przyjaciel i malarz Alexander Camaro (...) podarował jej pudełko z tuszami i duże arkusze białego papieru. Za pomocą gąbki nasączała ten papier wodą i grubym pędzlem nanosiła na niego farby, które rozmywały się w wodzie przybierając piękne formy podobne do roślin. (...) Samodzielnie odkrywa technikę dekalkomanii, którą później rozwinęli surrealiści, Oscar Dominguez i Max Ernst".

Działalność mieszczącego się w barze Femina kabaretu była próbą radzenia sobie w trudnej powojennej rzeczywistości. Artyści dostawali wpływy z kasy, żaden z nich nie był w stanie przeżyć ze sprzedaży swoich prac. Te niewielkie dochody i atmosfera artystycznej cyganerii przyciągały wielu życiowych rozbitków. Unica dołączyła do nich, bo „bardziej kochała dramatyzm niż nudną wygodę mieszczańskiego życia" (tłum. Artur Kożuch).

5 Camaro był jednym z filarów tego artystycznego przedsięwzięcia. Urodził się we Wrocławiu w 1901 r. jako Alfons Bernhard Kaczmarofski i oprócz malarstwa zajmował się także tańcem eksperymentalnym, sztukami cyrkowymi i pantomimą. Klauni, cyrkowcy i mimowie byli częstym tematem zarówno jego obrazów, jak i minispektakli wystawianych w Badewanne. Świat, który kreuje, i postaci go zaludniające fascynują Unicę Zürn do tego stopnia, że zaczyna opisywać go w swoich krótkich literackich formach, drukowanych potem w berlińskich gazetach. W jednym z listów do Camaro pisała: „Podoba mi się, że mnie »poruszasz«. Czy może zdarzyć się coś lepszego? Jesteś surowy i wymagający. Dla ciebie warto podjąć wysiłek. Nie po to, żeby Ci się przypodobać, ale żeby się do Ciebie dostroić". Ta inspiracja była odwzajemniana, czasami to jej tekst stawał się impulsem twórczym dla Camaro.

UNICA ZÜRN:

> Nie mogę egzystować sama na świecie. Nawet za cenę bycia nieszczęśliwą potrzebuję towarzysza, który służy mi radą, dobrą radą lub złą radą, który powie: teraz robisz to, a potem tamto – wtedy mam odwagę żyć.

Taki zgrany duet był dla pisarki ideałem partnerskiego i artystycznego związku: „Wierzyłam, że spotkanie z ludzką istotą – i mam na myśli spotkanie z mężczyzną – może sprawić, że znikną wszelkie zasłony. A nawet więcej: że musi to być istotny efekt takiego spotkania. To moja wiara i moja iluzja!" – pisała w opowiadaniu „Das Weisse mit dem roten Punkt" („Biel z czerwonym punktem"). Chciała i godziła się być „muzą", ale pod warunkiem, że sama też na tym skorzysta.

6 Po czterech latach rozstała się z Camaro, który „zbyt kochał swoją wolność", i krótko po tym poznała Hansa Bellmera, niemieckiego surrealistę, żyjącego i tworzącego w Paryżu. Artysta przyjechał do Berlina na otwarcie swojej wystawy. Właśnie wtedy Unica spotkała się z nim po raz pierwszy. Tak opisała tę chwilę: „Jest przyjemny, słoneczny, jesienny dzień z czystym niebem. Delektuję się długą jazdą zatopiona w uczuciu radości i oczekiwania. (...) Bellmer jest ostatnim gościem, przemierza trawnik wolno, lekkim, pełnym gracji krokiem. Siwe, gładko do tyłu zaczesane włosy błyszczą w słońcu. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia".

Hans Bellmer urodził się w 1902 r. w Katowicach. Jako dwudziestolatek wyjechał do Berlina, aby rozpocząć studia inżynierskie. W niemieckiej stolicy poznał środowisko artystyczne, reprezentujące tak zwaną Nową Rzeczowość. Szczególnie ważna okazała się znajomość z Georgiem Groszem, dzięki któremu sam zaczął zajmować się sztuką. W jednym z berlińskich muzeów odkrył XVI-wieczną lalkę o ruchomych stawach, co stało się źródłem inspiracji i głównym tematem jego rzeźb i obiektów, obecnym później także w fotografiach i rysunkach.

7 Tłumaczka i przyjaciółka autorki „Ciemnej wiosny", Ruth Henry, w swoim wspomnieniu „Die Einzige. Begegnung mit Unica Zürn" („Jedyna. Spotkanie z Unicą Zürn") pisze, że „wielu dopatrywało się związków pomiędzy głównym dziełem Bellmera a pojawieniem się w jego życiu Uniki. Jej piękna, nieruchoma twarz i długie włosy z tak bardzo przez niego kochaną grzywką zasłaniającą czoło rzeczywiście do złudzenia przypominały jego artystyczną kreację". W niej samej prace kochanka, z którym w 1953 r. wyjechała do Paryża, wzbudziły ambiwalentne odczucia. Po raz pierwszy oglądała je na fotografiach: „Długo i z fascynacją oglądała wariacje zestawionych ze sobą części ciała w jego lalce, przekonana, że nigdy nie widziała czegoś tak zadziwiającego. Jedno zdjęcie wzbudziło w niej lęk. Głowa i usta lalki przybliżały się do jej płci tak, jakby sama chciała zaspokoić się językiem".

8 Wspólne życie w Paryżu nie było łatwe. Unica zerwała prawie wszystkie berlińskie kontakty, we Francji zaś, ze względu na barierę językową, trudno było jej nawiązać nowe przyjaźnie. Sama prawie wcale nie wychodziła, z Bellmerem rzadko. Żyli hermetycznie oddzieleni od świata, w niewielkich hotelowych pokojach, często niedojadając i marznąc. Jednak dzięki Bellmerowi poznała środowisko francuskich artystów i pisarzy: Victora Braunera, Mattę, Marcela Duchampa, Maksa Ernsta, który ogłosił ją największą niemiecką poetką, i Mana Raya, który wykonał jej fotograficzny portret). Hans Arp i Henri Michaux obdarowali Unicę wierszami, które stały się później inspiracją do jej poetyckich anagramów. Pierwsze z nich wydała w 1954 r. w formie publikacji zatytułowanej „Hexentexte" („Teksty czarownic"). Znalazły się w niej także jej rysunki oraz posłowie Bellmera. To on „po raz pierwszy opowiedział jej o anagramach i pokazał, jak powstają te sztuczne, całkowicie nowe twory słowne. W tym samym czasie tworzy, używając czarnego chińskiego tuszu, pierwsze rysunki piórkiem. Anagramy stają się jej prawdziwą obsesją".

Kiedy w 1957 r. poznała Henriego Michaux, wierzyła, że był on ucieleśnieniem „mężczyzny w jaśminie", młodzieńczej

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

fantazji o idealnym mężu, z którym, ze względu na jego niepełnosprawność, mogłaby utrzymywać związek oparty na dystansie. Spotkanie z poetą i rysownikiem zaowocowało nowymi tekstami. Powstały „Erdachte Briefe" („Zmyślone listy"), „Notizen einer Blitarmen" („Notatki anemiczki"), „Haus der Krankheiten" („Dom chorób"). Tę płodną fazę zakończył projekt, który z pewnością miał wpływ na dalsze losy Zürn. Hans Bellmer wykonał cykl czarno-białych zdjęć zatytułowany „Unica Ligotée". Skrępowane metalowym drutem i zniekształcone kobiece ciało artysta zredukował do anonimowego korpusu. „Erotyczne fotografie" trafiły na okładkę surrealistycznego czasopisma i na wystawy.

9 Unica Zürn nigdy i nigdzie nie napomknęła o tym doświadczeniu, ale to ono najprawdopodobniej skłoniło ją do rozstania z Bellmerem. Po przeprowadzce do innego hotelu zniszczyła wszystkie swoje prace i teksty powstałe w Berlinie. W 1960 r. wróciła do Niemiec i tam, z powodu dziwnego zachowania, trafiła do podberlińskiej kliniki psychiatrycznej. Bellmer, który po nią przyjechał, był przekonany, że Unica odgrywa jakiś spektakl i symuluje obłęd.

„Kryzysy szaleństwa podobne są czasami do stanów narkotycznych: przedmioty pojawiają się i znikają. Martwy obiekt jest w stanie się poruszać. Dźwięki brzmią, choć nikt ich nie wydaje. To wszystko sprawia, że kocha swoją chorobę. Czy pragnienie przeżycia delirium i zauroczenie niezwykłością jest powodem, że tak często popada w chorobę?" – pisała później. Następne 10 lat z przerwami spędziła w różnych klinikach i zakładach dla nerwowo i psychicznie chorych. Wtedy powstały kolejne anagramy, rysunki i teksty.

10 Sabine Scholl w monografii „Unica Zürn. Fehler Fallen Kunst" („Unica Zürn. Błąd upadek sztuka") pisze, że „towarzysze niedoli" (w ten sposób Zürn nazwała siebie i Bellmera) unikali bardzo świadomie jakichkolwiek wypowiedzi na temat łączących ich uczuć. Tylko w momentach kryzysu, kiedy sypała się mozolnie budowana konstrukcja ich związku, można było dostrzec wzajemne uzależnienie, które z biegiem czasu i postępem choroby stało się dla Zürn pułapką bez wyjścia. „Nie mogę egzystować sama na świecie. Nawet za cenę bycia nieszczęśliwą potrzebuję towarzysza, który służy mi radą, dobrą radą lub złą radą, który powie: teraz robisz to, a potem tamto – wtedy mam odwagę żyć" – pisała w opowiadaniu „Dom chorób".

Pod koniec 1969 r. Hans Bellmer dostał udaru. Jego lekarze doradzili mu rozstanie z Unicą i umieszczenie jej w klinice psychiatrycznej, co nastąpiło wbrew woli pisarki. Szpital opuściła dopiero po roku. Pierwotnie planowała zatrzymać się u przyjaciółki, Ruth Henry, ale ta, ze względu na chorobę, nie mogła jej przyjąć. Zürn, nie mając gdzie się podziać, poprosiła Bellmera o nocleg, na co ten przystał. Następnego dnia wyskoczyła z okna jego mieszkania.

W końcowym rozdziale przytoczonego na początku opowiadania „Jeux à deux" zatytułowanym „Ostatnia gra" napisała: „Kto boi się śmierci, nie powinien grać w tę grę. Kto boi się życia, nie powinien grać w tę grę. (...) Ci, co zmarli nieporanieni, uchylali się przed konsekwencjami życia". © RENATA KOPYTO

Wszystkie cytaty, o ile nie podano inaczej, pochodzą z tekstu „Begegnung mit Hans Bellmer" („Spotkanie z Hansem Bellmerem") i zostały przełożone przez autorkę niniejszego artykułu.

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu Conrada we współpracy z Domem Norymberskim (przy udziale Austriackiego Forum Kultury) zorganizujemy pasmo poświęcone twórczości **Uniki Zürn**.

W programie głównym Festiwalu umieściliśmy dyskusję pt. „Gry we dwoje" z udziałem **FRIEDERIKE BECK** (reżyserki poświęconego jej filmu) i **SABINE SCHOLL** (jej biografki).

Szczegółowy program pasma znajduje się na stronie **www.conradfestival.pl** oraz stronie internetowej i na FB Domu Norymberskiego.

Czy można uciec z piekła?

GRZEGORZ JANKOWICZ

Na każdej stronie swych powieści i opowiadań Conrad opisuje nowoczesny świat, przypominający nienasyconego Lewiatana, który pochłania wszystkich i wszystko. Czy można się przed nim w ogóle ochronić?

Jednym z najczęściej przywoływanych autokomentarzy Josepha Conrada jest fragment jego przedmowy do opublikowanego w 1897 r. dzieła pt. „Murzyn z załogi »Narcyza«". Oto on: „moim zadaniem, które usiłuję wykonać, jest sprawić za pomocą pisanego słowa, byście usłyszeli, byście poczuli – a nade wszystko, byście zobaczyli... – i nic więcej: a w tym jest wszystko". Prosta, zwięzła i sugestywna deklaracja, którą pisarz postanowił dodatkowo wzmocnić, podkreślając wyraz „zobaczyli". Jednak wydaje mi się, że powyższe zdanie jest oczywiste wyłącznie dla tych, którzy dopiero zaczynają przygodę z pisarstwem Conrada, którzy jeszcze nie posmakowali jego języka. Dlaczego? Otóż dlatego, że styl tej prozy jest, owszem, precyzyjny, ale zarazem zagęszczony, przez co świat przedstawiony cały czas wymyka się czytelnikom, mimo że autor oferuje rozbudowane opisy ludzi, miejsc i rzeczy.

O co w takim razie chodzi? Czy Conrad nas zwodzi? Wiadomo, że jego przedmowy do poszczególnych dzieł, a także komentarze do własnej twórczości, które umieszczał w listach, były świadomie układane w taki sposób, by więcej zasłaniać, niż odkrywać. Myślę, że akurat w tym przypadku wcale nie chodziło mu o to, by zmylić tropy odbiorcom. Źródłem nieporozumienia są nasze czytelnicze nawyki. Czasownik „zobaczyć" wiążemy z naocznością, podczas gdy Conrad pragnie, byśmy wraz z nim, z jego pomocą zobaczyli sam mrok egzystencji i czerń świata. Autor „Jądra ciemności" chce, żebyśmy usłyszeli, poczuli i zobaczyli piekło rzeczywistości, w którym wszelkie prawa – nie tylko optyki – zostają wywrócone na nice.

PISARZ (NIE)POLSKI | Najlepsza – według mnie – polska książka o twórczości Conrada już samym tytułem wskazuje właściwy kierunek poszukiwań. „Piekło Conrada" Michała Komara to zbiór sześciu powiązanych ze sobą esejów, które prezentują najważniejsze dzieła pisarza i rekonstruują jego koncepcje „filozoficzne" (daję cudzysłów, by lekko osłabić sens tego pojęcia, z którego nie chcę jednak całkowicie rezygnować, gdyż mimo wszystko wydaje mi się adekwatne).

Komar zaczął pracować nad książką w szczególnym momencie, a mianowicie w 1968 r., gdy w komunistycznej Polsce nastąpiło nasilenie kryzysów politycznych i społecznych, a we Francji zaczęła się studencka rewolta, która rozlała się na cały kraj. Pierwszy raz publikacja ukazała się w 1978 r. Nie obyło się bez gry z cenzurą, która najpierw zablokowała druk, argumentując, że autor odwołuje się do licznych pisarzy z indeksu, a później cofnęła zakaz, zadowalając się w zasadzie kosmetycznymi zmianami. Potem wyszły dwa wznowienia: jedno w 1988 (edycja rozszerzona), drugie w 2017 r. (w czterdziestolecie ukończenia i złożenia książki, a nie w rocznicę wydania, o którego dacie zdecydowały czynniki polityczne).

Sposób, w jaki Komar interpretuje Conrada, jego wizja Conradowskiego pisarstwa, a także konteksty, w jakich to dzieło umieszcza – wszystko to musiało być sporym zaskoczeniem, szczególnie dla pierwszych odbiorców. Dziś autor „Nostromo" czytany jest przede wszystkim przez specjalistów. Jednak w latach 70. i 80. wciąż był obecny w świadomości społecznej, był istotnym punktem odniesienia – nie tylko dla pisarek i pisarzy, ale także osób, które na różne sposoby działały w przestrzeni publicznej bądź świadomie (motywując swą decyzję względami politycznymi i etycznymi) z takiej działalności rezygnowały. Conrad był traktowany jako literacki moralista, jako zdystansowany wobec świata przewodnik, który wskazuje właściwą drogę błądzącym, zwłaszcza wtedy, gdy stają przed wielkimi wyzwaniami. Od chwili, w której pierwsze utwory Conrada zaczęły być drukowane w polskich przekładach, wyzwaniem największym była Polska i polskość. W roli orędownika pisarz został obsadzony machinalnie, gdy jego międzynarodowa sława stała się dla wszystkich oczywista. W okolicach roku 1914 dla kogoś takiego jak młody Józef Retinger – czyli dla utalentowanego literaturoznawcy po Sorbonie z silnie rozbudzoną świadomością społeczną i wielkimi ambicjami politycznymi – Conrad był sojusznikiem wymarzonym, mógł bowiem dotrzeć do zachodnich czytelników z konkretnym przekazem na temat Polski, mógł też wpłynąć na decydentów, bez których zaangażowania nie można było odzyskać niepodległości.

Nawet ci, którzy – jak Eliza Orzeszkowa – oskarżali pisarza o zdradę, umieszczali jego twórczość w kontekście polskim. Jeśli w ogóle czytano Conrada w oderwaniu od spraw lokalnych, to jednak w odczytaniach tych niemal zawsze powracało proste rozpoznanie: oto literatura, dzięki której w chwili próby nie spadniemy w otchłań, gdyż można z niej wyinterpretować kilka prostych a niepodważalnych reguł moralnych.

MATERIAŁY PRASOWE KBF

Na tym tle książka Komara musiała być zaskoczeniem. Z co najmniej trzech istotnych powodów. Po pierwsze dlatego, że Conrad prezentowany jest w niej jako pisarz po prostu europejski, który zajmował się przede wszystkim mechanizmami determinującymi nowoczesny świat. Nie mógł i nie chciał pisać o czymś innym. Zaważyły na tym doświadczenia, które zgromadził po wyjeździe z Polski (a opuścił ją jako nastolatek). Jako marynarz pracował dla zachodnich kompanii, współpracował z zachodnimi instytucjami, w codziennej komunikacji posługiwał się językiem angielskim (i francuskim), obserwował z bliska rozwój kapitalizmu i jego destrukcyjne skutki.

Po drugie zaskoczenie musiał budzić fakt, że Komar traktuje dzieło Conrada jako drogę do pewnego celu, jako rozpisaną na wiele dzieł próbę dotarcia do prawdy o rzeczywistości, a nie gotowy zestaw odpowiedzi na istotne pytania. Mówiąc jeszcze inaczej: w interpretacji Komara autor „Tajnego agenta" zaprasza swoich odbiorców do współudziału w poszukiwaniach odpowiedzi, nie obiecując przy tym żadnej – choćby symbolicznej – wygranej, nie dając najmniejszych gwarancji, że wysiłek czytelniczy się opłaci.

Wreszcie po trzecie Komar konsekwentnie demistyfikuje mit Conrada jako pisarza, którego powieści i opowiadania zawierają wykład jednoznacznej koncepcji moralnej. Owszem, autor „Zwycięstwa" ciągle pisze o moralności, ale nie po to, by wysublimować jej nienaruszalne reguły, lecz po to, by odsłonić przed czytelnikami ambiwalentny charakter każdej zasady. Najwięksi szubrawcy z pełnym przekonaniem mówią u niego o wierności. Machina zniszczenia zostaje uruchomiona pod pretekstem przeciwdziałania przemocy, której ofiarami są mieszkańcy peryferyjnych krajów, gdzie – jak przekonują szafarze destrukcji – cywilizacja nie ugruntowała jeszcze właściwych odruchów. Treść każdej zasady etycznej może być – to jedno z ulubionych słów Komara – „zaprzeczna", co jednak nie zmienia prostego faktu, że owe zasady, które z innej perspektywy jawią się jako fałsz, są przedmiotem najgłębszej i najżarliwszej wiary wielu ludzi.

MICHAŁ KOMAR (ur. 1946) – pisarz, eseista, dziennikarz, scenarzysta filmowy i telewizyjny. Autor wielu książek, m.in.: „Piekło Conrada" (1978), „Czarownice i inni" (1980), „O obrotach losów i ciał" (1998) czy „Wtajemniczenia" (2009). W latach 1990-1994 pełnił funkcję wiceprezesa Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Był felietonistą „Tygodnika Powszechnego", współpracował z Polskim Radiem i Teatrem Telewizji. Współautor – wraz z Zygmuntem Hübnerem – adaptacji teatralnej powieści Conrada „W oczach Zachodu" („Spiskowcy", Teatr Powszechny w Warszawie, 1980), twórca scenariuszy przedstawień Teatru Telewizji „Lord Jim" (2002) i „Tajny agent" (2006) na podstawie powieści Conrada.

BEZ NADZIEI | W kolejnych esejach Komar omawia najważniejsze idee Conrada, jego „filozofię" dziejów i nowoczesnego człowieka. Autor „Ukrytego sojusznika" nie układa swych koncepcji w spójny system, nie tylko dlatego, że uprawia literaturę, ale także dlatego, że w spójność nie wierzy; jawi mu się ona jako nieosiągalna. Jego światopogląd jest chyba całkowicie odczarowany. Oto jego części składowe.

Bohaterowie Conrada żyją w świecie immanencji. Niebo jest puste, a poza granicami życia jest nie tyle nicość, która to kategoria ma dla pisarza nazbyt metafizyczne konotacje, ile zwykłe nieistnienie. Zmiany zachodzące w świecie są przypadkowe. Oczywiście, na gruncie ↦

poznawczym staramy się je jakoś uporządkować, ale świadczy to jedynie o naszej potrzebie ładu. Targani tą potrzebą, skrywającą i zarazem ujawniającą nasz lęk przed przygodnością egzystencji, tworzymy instrumenty i instytucje, za pomocą których chcemy przejąć kontrolę nad tym, co przesypuje się przez palce. Ostatecznie jednak trud ten przynosi skutki odwrotne do zamierzonych, gdyż porządkując jedną sferę rzeczywistości, wywołujemy jeszcze większe zamieszanie w innych, zabezpieczając jedną część świata, niszczymy pozostałe. Los Conradowskich postaci jest tragiczny, ponieważ w takich warunkach nie mogą osiągnąć ani spełnienia, ani spokoju. Nie osiągają ich nawet ci, którym niedostępny jest wgląd w istotę rzeczy. Oni też miotani są sztormami (dosłownymi i metaforycznymi), tocząc nierówną walkę z nieopanowanym żywiołem.

A jednak większość bohaterów staje do tej walki – i to nawet kilka razy, nawet po serii porażek – znajdując w sobie (wyłącznie w sobie!) motywację do działania. Conrad (w interpretacji Komara) daje nam jasno do zrozumienia, że mimo wszystko nie możemy się poddać, choć nigdy do końca nie wyjaśnia, dlaczego winniśmy uznać tę myśl za imperatyw, nigdy też nie tłumaczy, na jakiej podstawie ufundowana jest moralność tych, którzy nie ulegają pokusie i nie przykładają ręki do dzieła zniszczenia.

W jednym z esejów Komar przedstawia kontekst tej pesymistycznej wizji. Odwołuje się do biografii pisarza, zaznaczając, że nie szuka w niej ostatecznych odpowiedzi, jest jednak przekonany, że rekonstruując światopogląd autora „Jądra ciemności", nie możemy pominąć jego doświadczeń. Dwa z nich okazały się szczególnie istotne.

Gdy Conrad miał cztery lata, jego ojciec, Apollo Korzeniowski, został pojmany przez rosyjskie władze i osadzony w Cytadeli Warszawskiej, a następnie – wraz z rodziną – zesłany w głąb ówczesnej Rosji za prowadzenie działalności konspiracyjnej. Młody Conrad dwa lata później, w 1865 r., stracił matkę, a w 1867 r. wyjechał do Galicji ze śmiertelnie chorym ojcem, którego zwolniono z zesłania ze względu na zły stan zdrowia. Po latach, zastanawiając się nad wydarzeniami, które tak radykalnie zdeterminowały jego dziecięcy żywot, doszedł do wniosku, że przyczyny osobistego, rodzinnego nieszczęścia były złożone. Jedną z nich była, co oczywiste, polityka imperium, które zniewalało i zabijało, by potwierdzić swą moc panowania nad światem. Drugą zaś – bezprzykładna wiara ojca w słuszność oporu, który nie jest wyborem, lecz koniecznością. Według Komara nieufność, z jaką Conrad odnosił się do wszystkich projektów społecznych lub politycznych (zwłaszcza rewolucyjnych), których podstawą była nadzieja, miała źródło m.in. w tych przeżyciach. Stąd też brała się jego potężna niechęć do Rosji. Esej, w którym Komar opisuje stosunek pisarza do Rosji imperialnej i rewolucyjnej, czyta się dziś jak komentarz do bieżących wydarzeń – rosyjskiej inwazji na Ukrainę oraz przewlekłej ślepoty Zachodu, ignorującego – nie po raz pierwszy! – sygnały o narastającym zagrożeniu.

Conrad (w interpretacji Komara) daje nam do zrozumienia, że mimo wszystko nie możemy się poddać. Choć nigdy do końca nie wyjaśnia, dlaczego winniśmy uznać tę myśl za imperatyw, nigdy też nie tłumaczy, na jakiej podstawie ufundowana jest moralność tych, którzy nie ulegają pokusie i nie przykładają ręki do dzieła zniszczenia.

Drugim przełomowym doświadczeniem, które Conrad opisywał jako zerwanie ostatniej zasłony, była jego podróż do Afryki, którą przedsięwziął w 1890 r. jako przeszło trzydziestolatek. Zobowiązany kontraktem podpisanym z belgijską kompanią handlową zamierzał, jak wielu przed nim, wziąć udział w wielkim programie cywilizacyjnym, który król Belgii Leopold II realizował w Kongu. Na miejscu przyszły pisarz przekonał się, że kolonialny projekt, przedstawiany na salonach Europy jako doskonały sposób na poprawę warunków bytowych afrykańskich ludów, jest tak naprawdę zorganizowanym wyzyskiem i ludobójstwem. Powtarzał później, że przed wyjazdem do Konga był jedynie „prostym zwierzęciem", które nie miało świadomości, do czego zdolny jest człowiek. Tym ostatnim stał się dopiero w Afryce, gdy dotarło do niego, że istotą człowieczeństwa jest skłonność do szerzenia systemowej destrukcji. Uznał wówczas, że świata nie da się naprawić, można w nim co najwyżej minimalizować zasięg zła. W „Jądrze ciemności" ukazał tętniące trzewia nowoczesnego Lewiatana – piekło na ziemi, od którego nie ma ucieczki i dla którego *de facto* nie ma żadnej alternatywy.

ZERWANIE NIEZUPEŁNE? | Michał Komar kończy swą książkę sugestią, że w piekle Conrada jakimś cudem możliwe jest życie, choć toczy się ono wyłącznie na sposób tragiczny. Nie można zmienić ogólnych warunków egzystencji ani też nie ma sposobu na ucieczkę. Sugestia ta wydaje mi się zgodna ze światopoglądem Conrada; w taki właśnie sposób czytam jego powieści oraz opowiadania. Warto jednak zwrócić uwagę na ograniczenia Conradowskich rozpoznań i założeń. Komar robi to raz. Interpretując „Murzyna z załogi »Narcyza«" podkreśla, że utwór jest krytyką postępu. Według Conrada rozwój cywilizacji w niewielkim stopniu wpływa na poprawę warunków bytowych człowieka i właśnie dlatego pisarz z taką podejrzliwością traktuje wszelkie propozycje zmian, np. rewolucyjne ustawy, które na nowo regulują prawo morskie. „Wobec tego – pisze Komar – w »Murzynie...« bezlitośnie zaatakował ustawę Parlamentu, która zabraniała przeładowywania statków; wprowadzenie

Podczas Festiwalu Conrada porozmawiamy z **MICHAŁEM KOMAREM** o tym, jak dzieło Josepha Conrada można czytać dziś, w aktualnych warunkach kulturowych, społecznych i politycznych. Czy wizja świata i człowieka przedstawiona przez pisarza jest wciąż ważnym punktem odniesienia dla współczesnych społeczeństw Zachodu? I czy możliwa jest ucieczka z piekła, które przedstawił w swych utworach?

tej ustawy wywołało opór armatorów, a jej zastosowanie uratowało życie paru setkom marynarzy brytyjskich. Conrad okazał się tu zbyt radykalnym moralistą, by dostrzec, że kalekie i oszukańcze – z punktu widzenia Wieczności – hasła ulepszaczy dają prócz wzniosłej retoryki odrobinę zysków praktycznych". Odczarowanie świadomości może – jak widać – poskutkować ślepotą i wywołać sprzeciw wobec reform, które przynoszą zbawienną poprawę przynajmniej pewnych aspektów ludzkiego życia.

Ciekawą krytykę Conradowskiego światopoglądu przeprowadził Mario Vargas Llosa w powieści „Marzenie Celta" z 2010 r. (pierwszym jego utworze po przyznaniu mu Nagrody Nobla). Jest to powieściowa biografia Rogera Casementa, obywatela imperium brytyjskiego, podróżnika i dyplomaty, który zasłynął jako autor raportów ujawniających wyzysk i ludobójstwo w Kongu oraz Amazonii. Zebrane przez niego dowody nadużyć władz kolonialnych doprowadziły do powołania komisji, która położyła kres panowaniu Leopolda II w Kongu. Pod wpływem obserwacji poczynionych w Afryce i Ameryce Południowej Casement doszedł do wniosku, że jego rodzinna Irlandia musi zostać jak najszybciej wyzwolona spod angielskiego jarzma. Podczas I wojny światowej próbował pozyskać wsparcie militarne ze strony Niemiec, za co został aresztowany, a następnie oskarżony o zdradę. Zgładzono go przez powieszenie w 1916 r.

Conrad poznał Casementa w Afryce, potem korespondował z nim na temat przestępstw popełnionych przez europejskich administratorów Konga i możliwych działań antykolonialnych (jednak nie zaangażował się w nie do końca).

W powieści Llosy jest scena, która wydaje mi się niezwykle inspirująca dla naszego myślenia o Conradowskiej wizji świata. Casementa, który siedzi w więzieniu, odwiedza Alice Stopford Green, historyczka, irlandzka patriotka, mentorka Rogera, dzięki której klarowały się jego poglądy na temat niepodległości Irlandii. Rozmawiają o Conradzie, który nie podpisał petycji o ułaskawienie Casementa. Ten ostatni pyta Alice, co sądzi o „Jądrze ciemności". Odpowiedź jest dosadna: „Uważam, że [książka ta] nie opisuje ani Konga, ani rzeczywistości, ani historii, lecz piekło. Kongo to pretekst do wyrażenia tej strasznej wizji zła absolutnego, jaką mają niektórzy katolicy" (tłum. Marzena Chrobak). Conrad z pewnością nie był człowiekiem, w którego życiu wiara katolicka odgrywała istotną rolę. Uważał religię za jedną z zasłon prawdy o rzeczywistości. Być może jednak – tę myśl uważam za intrygującą – „straszną wizję zła absolutnego" noszą w sobie nie tylko żarliwi katolicy, ale czasem również ci, którzy z katolicyzmem zerwali.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

ZALLEY DLA „TP"

OLGA

Drenda:
Prawo do dziadostwa

Odwiedziłam niedawno zupełnie niezwykłe miejsce. Była to łąka z zaroślami rozwijającymi się zupełnie przypadkowo, z byle jaką ścieżką, na której łatwo pobrudzić sobie buty. W gęstym błocie odbijały się ślady licznych psich łapek. Symboliczną barierą oddzielającą tę przestrzeń od osiedla była „brama triumfalna" z opon i pozostałości betonowego ogrodzenia. Za nimi lubiany przeze mnie widok: pryzma ziemi, którą ktoś zostawił na lata i zdążyła doczekać się własnego małego ekosystemu. Stare graffiti na trasie wskazywało na to, że swego czasu musiało być to miejsce lubiane przez wagarowiczów, dzisiaj głównie przez pieski i ich opiekunów. Podobnie opuszczony, historyczny budynek – napisy markerem świadczyły o tym, że niegdyś musiało to być miejsce typowych nastoletnich aktów transgresji.

Piszę, że to miejsce niezwykłe, bo jest takich coraz mniej. Umownie, na potrzeby tego tekstu, nazwę taki typ przestrzeni dziadowskim, z uwagi na jego chaotyczność i rozchełstanie. Na ogół można było znaleźć takie zakątki na tyłach linii kolejowych, za garażami, na końcu osiedla, gdzie czasami prowadził prowizoryczny chodnik, do połowy zatopiony w błotku. Rozgaszczał się w nich „trzeci krajobraz", czyli nieuporządkowana natura w świecie kultury. W niektórych miejscowościach trafiały się w samym centrum. Służyły rozmaitym celom, nie zawsze godnym. Podejrzewam, że większość z nas miała ich dość: łatwo było w coś wdepnąć, „niczyjość" sprzyjała porzucaniu tam kanap i monitorów, czasem przestrzeń dziadowska cieszyła się też złą sławą strefy niebezpiecznej. Sprawiały, że niejeden z nas powątpiewał, czy aby żyjemy w cywilizacji.

Sama kiedyś nie znosiłam przepraw przez przestrzeń dziadowską. Błoto, którego nie miałam szans uniknąć idąc na stację, przypominało, że mieszkam odrobinkę na końcu świata. Widząc w mieście ludzi w białym obuwiu, którego nie imało się błoto, czułam się ogrem, który nie ma prawa dostąpić pewnych godności. Oczywiście przesadzam, ale odtwarzam tu tylko mój dawny stan umysłu, a mało która osiemnastolatka nie przesadza. W mieście czekało mnie przy tym dziadostwo nie lepsze, brudny śnieg i psie kupy, pełen bukiet marnego losu. Wszystko to wyczerpywało, męczyło – o ile nie było się nastolatkiem na wagarach, oczywiście. Wtedy dziadostwo zapewniało enklawę swobody. I miejsce, w którym można się schować.

OLGA DRENDA

Witamy w trzecim krajobrazie.

Teraz uświadomiłam sobie, że margines dziadostwa jest niezbędny. Takich przestrzeni widujemy już niewiele, bo ich istnienie jest nieopłacalne. Nie przynoszą zysku, a przecież można tam coś urządzić. Nawet niekoniecznie sklep, bank czy biurowiec, wystarczy przekształcić praktycznie istniejącą przestrzeń rekreacyjną (czyli na przykład łączkę, na którą wychodzimy z psem) w profesjonalnie zaprojektowaną przestrzeń rekreacyjną. Robi się bezpieczniej i czyściej, niby wszystko gra. A jednak łatwo można się tam poczuć tak, jakby ktoś miał nas zaraz wyprosić, a przynajmniej wylegitymować. W niczyjej przestrzeni za to jest bałagan, ale nikt nie zapyta: „Co pani tu robi?" (zgodna z prawdą odpowiedź „chodzę sobie" nie każdego satysfakcjonuje).

Przestrzeń, która po prostu sobie istnieje, jest podejrzana. Zwykłe sobie bycie to bezczelność. Trzeba przywołać do porządku miejsce-darmozjada, miejsce dla bumelanta. To przywodzi na myśl instytucję tak zwanej kary za włóczęgostwo, czyli *de facto* za istnienie sobie. W Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych przebywanie gdzieś czy przemieszczanie się „bez wyraźnego celu" było traktowane jako wykroczenie i podlegało karze. Z reguły stawało się pretekstem do pozbywania się z publicznej przestrzeni rozmaitych „ludzi gościńca". Nie chodziło jedynie o znaną i dzisiaj demonstrację siły, jak karanie za bezdomność czy za życie z datków, ale w ogóle za odstawanie od utartego porządku świata. Pod kategorię „włóczęgostwa" mogli podpadać równie dobrze obwoźni sprzedawcy, kuglarze, wróżki i hippisi. Stanowiło to przełożenie na prawną praktykę powiedzenia „pustym rękom diabeł znajdzie zajęcie", czyli: nie musisz popełniać żadnego przestępstwa, wystarczy, że potencjalnie możesz go dokonać, nie robiąc akurat nic „społecznie pożytecznego" i po prostu sobie stojąc. Do dzisiaj w Stanach Zjednoczonych można znaleźć tabliczki „*no loitering*". Również w początkach PRL-u za włóczęgostwo można było zostać skierowanym na „przymusową rehabilitację przez pracę", co, jak łatwo się domyślić, nie rehabilitowało nikogo. Miejsca istniejące po nic, „dedykowane" nikomu, wyłamują się z tej logiki. Dlatego odrobina dziadostwa może nas uratować, bo pomaga sobie zwyczajnie poistnieć.

Gdy dziadostwo jest wszędzie, męczy i upokarza. Gdy jednak zabraknie go całkiem, przestrzeń zmienia się w kontrolowany wybieg bez wytchnienia i ucieczki, przeznaczony dla czyichś Simsów, które muszą przemieszczać się wyłącznie po linii od A do B. Niestety, nieśmieszny żart polega na tym, że te Simsy to my. ©

PAWEŁ

Bravo:
Z żabiej perspektywy

Sto trzydzieści trzy miliardy dolarów to nielicha kwota, o jedną piątą większa niż budżet polskiego państwa. Nad aktywami zarządzanymi przez fundusz inwestycyjny CVC Capital Partners nigdy nie zachodzi słońce, są zaiste globalne i z każdej bajki. Takie np. Tygrysy z Gudżaratu to dumny mistrz indyjskiej ligi krykieta. Nirvana jest największym w Malezji operatorem usług pogrzebowych, Theramex z kolei dostarcza istotną część łykanych przez Europejki pigułek antykoncepcyjnych. No i wreszcie as inwestycyjnego portfolio: wasz poranny jogurcik, batonik i paracetamol na ćmiący łeb – o ile zdarza wam się zajść po drodze do Żabki, w co nie wątpię, bo coraz trudniej w życiu codziennym, z jego szybkimi potrzebami, ominąć tę sieć. Nawet na pozornie przaśnym rynku mydła i powidła puchnie, wsparta gigantycznym kapitałem oraz dobrymi kontaktami z władzą, masówka.

Niezrzeszonych sklepików na rogu znika corocznie tyle mniej więcej, ile przybywa wypustek którejś z sieci franczyzowych. Jedyny sposób, żeby je chronić, to robić w nich jak najczęściej zakupy, choć naturalną granicą jest nasz, jednak ograniczony, budżet na spożywczą drobnicę. Jedną z większych zalet miejsca, gdzie bytuję w Krakowie, jest prężny sklep Hipcio przy ul. Kraszewskiego. Wdzięczne sąsiedztwo urządziło mu niedawno trzydzieste urodziny i było to serdeczne święto ulicy. Uwielbiam to miejsce i energię właścicieli, jakby wyjętych z kart budującej opowieści o zaletach lokalnego biznesu. Choć w poszukiwaniu dobrych warzyw potrafię przepedałować pół miasta, to do Hipcia chodzę najczęściej, jak się da. Ale ile razy w miesiącu potrzebuję kupić zgrzewkę wody, cukier, majonez czy cytrynę?

Uboga oferta złożona głównie z wysoko przetworzonej żywności samych największych marek – to główny problem z Żabką i z każdą inną dużą siecią. Przez wszechobecność i łatwy – np. niedzielny – dostęp obniża oczekiwania, oswaja z bylejakością i psuje żywieniowe obyczaje, i tak już mocno nadwyrężone. Ale czy to by się zmieniło, gdyby miejsce funduszu z jego zrozumiałą polityką wyciskania zysków zajęła państwowa instytucja, mająca w nazwie coś z Polską albo narodem i – teoretycznie przynajmniej – podległa interesowi publicznemu? Dużo było ostatnio śmiechu wokół niewczesnych propozycji co bardziej gadatliwych ludzi obecnej władzy, by przy okazji odkupienia od CVC pewnej spółki energetycznej, także Żabkę „zrepolonizować" (choć nigdy w swoich dziejach nie była „polska" – obecny właściciel odkupił ją od innego zagranicznego funduszu). Śmiech zrozumiały, bo każda władza, jaką dźwigaliśmy za naszej pamięci na barkach, jeśli zarządzała jakąś firmą lub segmentem gospodarki, to dla partyjnej korzyści i zapewnienia korzystnych posad swoim. Załóżmy na chwilę (niektórzy potrafią w tej iluzji wytrwać dłużej), że zapanuje kiedyś merytokracja i hipotetyczną narodową siecią sklepików zarządzać będą rzetelni fachowcy. Półki i tak będzie wtedy zawalać masowe badziewie, bo nie ma to nic wspólnego z własnością – polski rolnik może zyskałby lepsze ceny, gdyby państwowy podmiot kontraktował zakupy dla sieci, ale jakości dystrybuowanych centralnie cebuli i jabłek nie zmieni. W handlu żywnością duże z zasady jest gorsze od małego – nieważne, czy jest prywatne, czy państwowe.

Co nie znaczy, że namysł nad tym, co warto zrenacjonalizować, zasługuje jedynie na śmiech. Nigdy nie rozumiałem – a dziś te sprzeczności widać boleśnie – w jaki to sposób np. produkcją i dystrybucją prądu mają rządzić zasady rynku i z jakiego to niby powodu tenże prąd sprzedaje mi jakaś spółka, której nie wolno podjąć kroków zgodnych z interesem publicznym, bo podlega rygorom prawa handlowego. Udawanie, że energia to towar jak każdy inny, podobnie jak np. przewozy koleją, okazuje się dziś krótkowzroczną głupotą. Warto to sobie powtarzać. Przecież chodzimy wspierać małe samodzielne sklepiki nawet jeśli wiemy, że prędzej czy później również nad naszą ulicą zawiśnie zielona poświata. ©℗

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Wróćmy jeszcze do sfery, gdzie nie grozi nam żaden fundusz ani minister: zbioru i przerobu grzybów. Sezon jest obfity, zabieramy się za suszenie, a co, jeśli zostały nam suszone z zeszłego roku? Oto hedonistyczny wariant na risotto grzybowe. Prażymy w 150 st. C przez 5-7 minut 30 g suszonych borowików lub podgrzybków. Gdy wystygną, miksujemy je na drobny proszek (ja używam do tego młynka do kawy, można też blenderem). Kroimy na pół cebulę, przypalamy ją solidnie na suchej patelni, dajemy do garnka razem ze skórką z jednej cytryny (oczywiście niepryskanej), zalewamy litrem zimnej wody, doprowadzamy do wrzenia i gotujemy na małym ogniu pół godziny, lekko solimy na koniec. Prażymy w dużej patelni lub odpowiednim rondlu na sucho 300 g ryżu do risotto, zalewamy 50 ml białego wina, gdy odparuje, dolewamy stopniowo wrzący wywar cebulowo-cytrynowy, gotujemy tradycyjną metodą, aż ryż będzie miękki. Gasimy ogień, dodajemy dwie łyżki masła i dwie parmezanu, rozkręcamy intensywnie, zostawiamy pod przykryciem na parę minut. Na wydaniu leciutko posypujemy przez sitko grzybowym proszkiem i paroma wiórkami skórki z cytryny. To jest przepis z rodzaju „zwiewna chmurka", wszystkie smaki będą ledwo wyczuwalne, ważne, żeby nie przesadzić z grzybami i użyć najlepszego ryżu oraz masła, jakie znajdziecie (a dobrego ryżu do risotto raczej nie znajdziecie w sieciówkach).

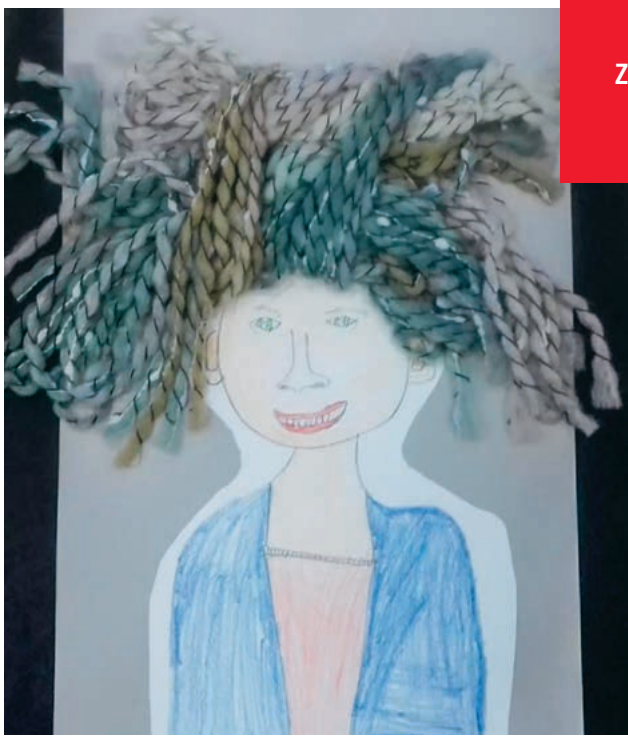

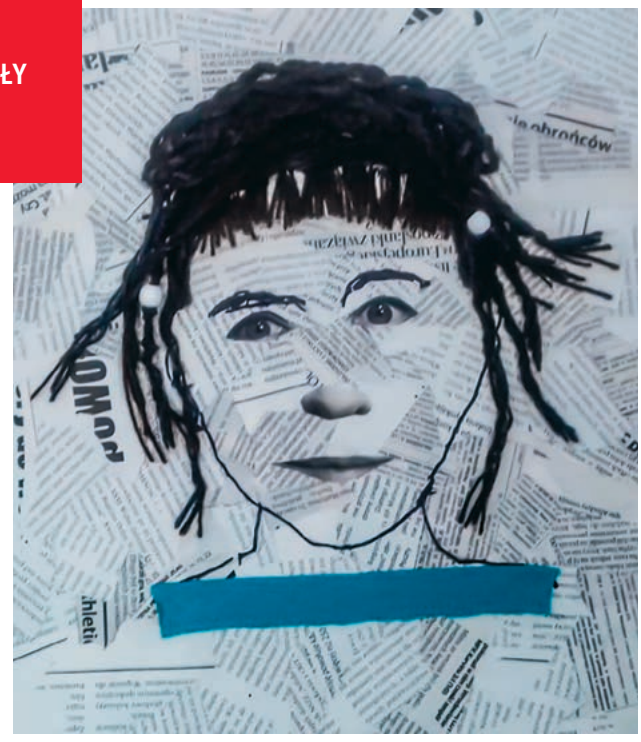

Autorami portretów Olgi Tokarczuk na ss. 108-111 są uczniowie Zespołu Szkolno-Przedszkolnego im. Janusza Korczaka w Wysokiej (Wrocław). Rysunki powstały w ramach konkursu plastycznego dla klas 1-3 „Olga Tokarczuk – nasza polska noblistka”.

OLGA TOKARCZUK I MATEMATYCY

Ponieważ wyniki matematyczne nie zależą od wyobraźni, nie podlegają jej ograniczeniom. Czyli mogą doprowadzić w regiony, do których wyobraźnia nie sięga.

MICHAŁ HELLER

W „Empuzjonie”, pierwszej ponoblowskiej książce Olgi Tokarczuk, znajduje się krótki fragment na temat gry w szachy. Główny bohater powieści, Mieczysław Wojnicz, nie lubił szachów. Od małego męczył go nimi ojciec, który liczył na to, że gra w szachy uporządkuje niesforny umysł syna. Wszak szachy ćwiczą inteligencję i uczą zdolności przewidywania.

„Mały Mieczysław Wojnicz rozumiał zasady i potrafił wiele przewidzieć, ale go to, prawdę mówiąc, nie interesowało. Poruszanie się według zasad i dążenie do pokonania przeciwnika wydawało mu się tylko jedną z możliwości użycia pionków. Wolał raczej się rozmarzyć i widzieć w szachownicy przestrzeń, w której rozgrywają się losy nieszczęsnych pionków i figur postrzeganych przezeń jako postacie snujące ze sobą lub przeciw sobie skomplikowane intrygi i powiązane najróżniejszymi relacjami. Wydawało mu się marnotrawstwem ograniczanie ich działania do kratkowanej tablicy, oddanie ich na pastwę formalnej rozgrywki według ścisłych reguł”. Gdy tylko ojciec znikał z horyzontu, Mieczyś rozstawiał pionki po całym pokoju i rozgrywał nimi swoje własne scenariusze, pełne przygód i nieoczekiwanych sytuacji. A gdy został na tym przyłapany i „wysłany za karę do swojego pokoju bez kolacji, zdążał tam z godnością skoczka – dwa kroki do przodu i jeden w bok”.

Ten fragment można zinterpretować jako głos w odwiecznym sporze na temat wyższości humanistyki nad naukami ścisłymi (lub odwrotnie). Z tym, że raczej nie mamy wątpliwości, w którą stronę skłania się autorka tego tekstu. Przecież istotnie marnotrawstwem wydaje się ograniczanie aktywności pionków i figur do sześćdziesięciu czterech pól na szachownicy. Prawdziwa twórczość zaczyna się dopiero wtedy, gdy wychodzi się poza ciasny reżim ścisłych reguł.

Nadmiary

Powiedzmy najpierw coś o ścisłych regułach. Są przede wszystkim ogólne zasady gry: jaka ma być szachownica, jak poruszają się poszczególne figury, co wolno, a czego nie wolno. Tego wszystkiego stosunkowo łatwo się nauczyć. Ale oto ustawiliśmy pionki na szachownicy, pierwszy ruch został wykonany, rozpoczyna się gra. Dopiero teraz ujawnią się mistrzowie i partacze.

Czy w matematykę gra się podobnie? Istnieją także wyjściowe założenia, poza które nie wolno wychodzić (aksjomaty), są zasady postępowania, którymi należy się kierować (reguły wnioskowania) i mistrzów również poznaje się w działaniu. A jednak matematycy mają opory, by grę w szachy uznać za teorię matematyczną. Oczywiście, grę w szachy można zmatematyzować – wszystkie programy, wedle których komputery grają – i wygrywają! – z mistrzami szachowymi, są zbudowane z matematyki, ale chodzi o to, czy sama gra jest matematyką.

Niektórzy matematycy, skłonni do kompromisu, mówią, że gra w szachy jest matematyką, ale matematyką nieciekawą. Także dlatego, że jest ograniczona do szachownicy. Owszem, w rozgrywce może dochodzić do ciekawych konfiguracji, życie można poświęcić studiowaniu mistrzowskich partii, ale ostatecznie wszystko polega na przestawianiu figur w obrębie 8x8 pól. Niektóre konfiguracje są zaskakująco nowe, nikt ich dotychczas nie przewidział – są nowe, lecz zawsze „w tym samym gatunku".

Tylko szkolna matematyka wydaje się nudna, a to dlatego, że jest ograniczona czymś tak samo sztywnym jak szachownica – „podstawą programową" i często wyobraźnią nauczyciela. Prawdziwa matematyka jest żywiołowo twórcza. Niemal za każdym razem, gdy się w nią wgryźć odpowiednio głęboko, zaskakuje czymś, czego w żaden sposób nie dało się przewidzieć w punkcie wyjścia. A gdy się doprowadzi do konfrontacji ze sobą dwie teorie matematyczne, to z reguły powstaje nowa teoria, której dwie wyjściowe okazują się szczególnymi przypadkami.

Co więcej, reguły, jakie tym wszystkim rządzą, wcale nie są sztywne. Można je zmieniać w zasadzie dowolnie, z tym, że jeżeli zrobi się to po partacku, to nie otrzymuje się albo nic (teoria jest sprzeczna), albo coś nieciekawego. Ale jeżeli zrobi się to w sposób właściwy, to może nastąpić „wybuch nowości".

Gdy w XVI wieku Girolamo Cardano, chcąc rozwiązać równanie trzeciego stopnia, wbrew dotychczasowym regułom wprowadził jednostkę urojoną (pierwiastek kwadratowy z minus jeden), spowodował reakcję lawinową w postaci „matematyki zespolonej", dzięki której, po kilku stuleciach, udało się złamać szyfr otwierający wrota do świata kwantów. W XIX wieku Carl Gauss, János Bolyai i Mikołaj Łobaczewski, niezależnie od siebie, zmodyfikowali tylko jedno założenie (aksjomat) geometrii euklidesowej, otwierając tym samym dostęp do nieograniczonego królestwa geometrii nieeuklidesowych, co utorowało potem Einsteinowi drogę do ogólnej teorii względności (teorii grawitacji) i stworzenia współczesnej kosmologii. A w połowie XX wieku Samuel Eilenberg i Saunders Mac Lane nawet nie zmienili żadnych założeń, podali jedynie trafną definicję nowego pojęcia celem rozwiązania pewnego konkretnego zagadnienia i tym samym, zupełnie „niechcący", stworzyli nową teorię matematyczną – teorię kategorii, która odmieniła oblicze współczesnej matematyki.

Niekiedy tę twórczą własność matematyki nazywa się jej „nadmiarowością". Jest to cecha, dzięki której w matematyce „otrzymuje się więcej, niż się w nią wkłada". Widać to szczególnie wyraźnie w zastosowaniach matematyki do fizyki. Jeżeli do jakichś problemów z zakresu fizyki zastosuje się „twórcze pojęcie matematyczne", to można otrzymać nową teorię fizyczną – tak było z mechaniką kwantową i ogólną teorią względności – która nie tylko jest teorią matematyczną, ale ponadto poprawnie opisuje (modeluje) rzeczywisty świat, ujawniając w nim elementy, o których przedtem „nie śniło się filozofom".

Zmowa

Jeżeli matematyka jest tak twórcza, to o ileż bardziej działalność literacka (czy też w innych dziedzinach sztuki), której bladym cieniem były zabawy Mieczysia – dziecinne, ale nie wydane „na pastwę formalnej rozgrywki według ścisłych reguł". Czy literatura (w tym również poezja) ma w ogóle jakieś granice? Jeżeli ma, to jej granicami są granice wyobraźni. A jak działa wyobraźnia? Czy potrafimy wyobrazić sobie coś istotnie nowego, czego dotychczas nigdy nie było? Spróbujmy.

Myśl krąży po nieokreślonych przestworzach, wyławia z nich nieokreślone formy. Próbuje je łączyć na zasadzie zupełnie dowolnych skojarzeń. Czy wykluło się z tego coś zupełnie nowego? Tak. Być może takiej konfiguracji jeszcze nigdy nie było, ale jest to kompozycja z elementów, które już jakoś w naszym magazynie wyobraźni były obecne. Nowość jest więc problematyczna. Kompozycja oczarowująco nowa, ale tworzywo zastane, co najwyżej poddane nieco odmładniającym zabiegom.

Czy można w jakiś sposób przekroczyć granice wyobraźni, dotrzeć do obszarów, do których wyobraźnia nie sięga? Jest na to sposób. Można bowiem ujarzmić działanie wyobraźni, maksymalnie ją wyeliminować i dać się prowadzić ścisłym regułom wynikania. Wyobraźnia bowiem działa w ścisłej zmowie z emocjami. Wyobraźnia wywołuje emocje, a emocje pobudzają wyobraźnię. Wyobraźnia i emocje są ze sobą prawie tożsame. Jeżeli uda się wyeliminować emocje, uda się wyeliminować wyobraźnię i tym samym zniweczyć jej granice.

Przypomnijmy sobie, jak kiedyś wykonywaliśmy proste rachunki i jak bardzo emocje oraz wyobraźnia przeszkadzały nam wtedy w ścisłym myśleniu. Gdy tylko pozwoliliśmy myśli błąkać się po obszarach, które nie wiadomo skąd zjawiały się w naszej świadomości, natychmiast do kolejnego kroku rozumowania wkradało się coś, co nie mało tam prawa bytu. Ciąg wynikań zostawał naruszony i albo rozumowanie urywało się, albo prowadziło na manowce. Matematyka zna jednak mechanizmy, które są w stanie wyciszyć emocje, jeżeli nawet nie całkowicie, to w każdym razie zminimalizować ich działanie.

Istota uczenia się matematyki polega na tym, żeby opanować reguły, które mówią, jak z jednego kroku wynika następny krok – w praktyce, jak z jednego wzoru wynika następny wzór. Im lepiej opanujemy te reguły, tym bardziej nasze postępowanie będzie „zmechanizowane", czyli tym mniejszy wpływ będą miały na nie emocje. Oczywiście, ↦

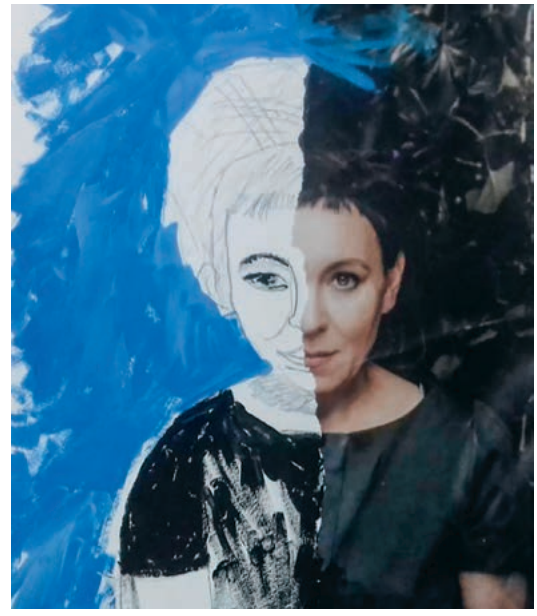

↦ dojście do takiej umiejętności wymaga niemałej dyscypliny, zmuszania uwagi, by pilnowała reguł, a nie rozpraszała się „na boki". Jest to proces energochłonny, to znaczy podczas jego trwania nasz mózg zużywa dużo energii. Organizm odczuwa to w postaci zmęczenia. Kto nie zmęczył się ścisłym myśleniem, nie wie, co to znaczy zmęczenie. To jest jeden z głównych powodów, dla których ludzie tak często nie lubią matematyki.

Kto nie zmęczył się ścisłym myśleniem, nie wie, co to znaczy zmęczenie. To jest jeden z głównych powodów, dla których **ludzie tak często nie lubią matematyki.**

Zasady gry

Proces ujarzmiania emocji w matematyce (i innych naukach formalnych) został udoskonalony do postaci tak zwanej metody aksjomatycznej. Polega ona na tym, że wszystkie reguły (i reguły dotyczące reguł) są wyraźnie sformułowane. A więc najpierw założenia; nazywa się je aksjomatami. Winny one spełniać pewne warunki, na przykład nie mogą być wzajemnie sprzeczne; nie powinno ich być za dużo, ale w sam raz tyle, ile potrzeba, by z nich wywieść daną teorię matematyczną. Następnie trzeba skatalogować reguły, pozwalające z aksjomatów wyprowadzać zdania, zwane twierdzeniami, a także z innych twierdzeń, już wyprowadzonych z aksjomatów, wyprowadzać (czyli dowodzić) inne twierdzenia. Zespół udowodnionych twierdzeń tworzy matematyczną teorię.

A gdyby ktoś w metodzie aksjomatycznej dopatrywał się jeszcze zaburzającego działania emocji, to ma do dyspozycji wyostrzenie tej metody w postaci tak zwanego systemu sformalizowanego. Budowę takiego systemu należy rozpocząć od konstrukcji języka. I tak najpierw ustala się alfabet, czyli zestaw symboli, których wolno używać (i tylko ich). Następnie określa się reguły składni, to znaczy reguły, według których wolno łączyć symbole alfabetu w większe całości (zdania).

Symbole alfabetu i utworzone z nich zdania nic nie znaczą. Są elementami czysto formalnej gry, ale żeby gra mogła naprawdę zacząć się toczyć, trzeba jeszcze ustalić pewne zdania jako wyjściowe założenia systemu (aksjomaty) i reguły, wedle których wolno przekształcać jedne zdania w drugie, czyli z jednych zdań wyprowadzać inne zdania. Dopiero teraz możemy przystąpić do właściwej gry, czyli wyprowadzania jednych zdań z drugich, innymi słowy do dowodzenia twierdzeń.

Pozostaje jeszcze nadanie znaczeń symbolom i zdaniom, czyli ich interpretacja. Na przykład pewne symbole możemy potraktować jako liczby, a pewne reguły ich łączenia jako mnożenie liczb. Oczywiście, pod warunkiem, że reguły te mają własności charakterystyczne dla mnożenia.

Jeżeli będziemy przestrzegać zasad gry, emocje zostaną z niej wyeliminowane, zastąpi je mechaniczne stosowanie reguł (może je wykonywać program komputerowy). Nie znaczy to bynajmniej, że emocje nie mogą matematycznej grze towarzyszyć. Matematycy są ludźmi i swoją działalnością często bardzo się emocjonują, ale wynik gry nie zależy od ich emocjonalnego stanu. Przyznać jednak trzeba, że matematycy z metody systemów sformalizowanych korzystają raczej rzadko, zwykle wtedy, gdy jakieś wyniki trzeba uściślić i usystematyzować. Na co dzień praca matematyków bardziej przypomina zwykłą literacką twórczość. Ale nawet wtedy, gdy jakaś matematyczna teoria została wymyślona w euforii i uniesieniu (lub w głębokiej depresji), zanim zostanie uznana za poprawną teorię matematyczną, musi być dokładnie sprawdzona przez niezależnych specjalistów.

Ponieważ wyniki matematyczne nie zależą od wyobraźni, nie podlegają jej ograniczeniom. Czyli mogą doprowadzić w regiony, do których wyobraźnia nie sięga. Matematyczna twórczość i jej zastosowania do fizyki nie polegają jedynie na układaniu znanych elementów w nowe kompozycje, lecz również tworzą coś, czegośmy sami przedtem w nie

nie włożyli. Właśnie dlatego są nadmiarowe. Ponieważ matematycy w swojej pracy nierzadko doświadczają (bardzo emocjonalnie) tej własności matematyki, często zadają sobie pytanie: czy matematykę tworzy się, czy się ją odkrywa?

W Babel

A czy Olga Tokarczuk swojego „Empuzjona" stworzyła, czy odkryła? Oczywiście stworzyła, nie ma co do tego żadnych wątpliwości! No to posłuchajmy.

Argentyński pisarz Jorge Luis Borges napisał opowiadanie-esej „Biblioteka Babel". Pomysł jest czysto literacki, ale matematycznie sprowadza się do następującego zagadnienia. Mamy do dyspozycji (w języku hiszpańskim) 25 znaków (22 litery, spacja, kropka i przecinek) i wszystkimi ich możliwymi kombinacjami mamy wypełnić 410 standardowych stron druku (każda strona ma 40 linii, każda linia ma 80 znaków). Biblioteka Babel zawiera wszystkie napisane w ten sposób książki. Oczywiście znajduje się wśród nich cała masa bezsensownych zestawów liter, spacji, kropek i przecinków, ale – jak rodzynki w cieście – znajdują się tam również perły literatury, już napisane, jeszcze nienapisane i takie, które nigdy nie będą napisane. Biblioteka jest gigantyczna! Żaden sprzęt informatyczny nie byłby w stanie jej przechować. Ale nie nieskończona.

Policzmy: jeżeli każda książka ma liczyć 410 stron, każda strona 40 linijek i każda linijka 80 znaków, to wymnażając te liczby, otrzymujemy 1 312 000 znaków na książkę. Ponieważ znaków jest 25, liczba wszystkich książek wynosi $25^{1\,312\,000}$. Jest to liczba niewyobrażalnie wielka. Dla porównania, liczbę wszystkich jąder atomowych we wszechświecie ocenia się na 10^{80}. W tym ogromnym mnóstwie mieści się naprawdę wszystko! Gdyby jakimś cudem jakaś książka zginęła z biblioteki Babel, nic straconego: i tak znajduje się tam więcej niż 30 milionów innych książek, które różnią się od zaginionej o jeden znak.

Czy więc Olga Tokarczuk stworzyła dzieło pt. „Empuzjon", czy je tylko odnalazła w przepastnej bibliotece Babel i wydobyła na światło dzienne? A może twórczość polega (tylko!?) na tym, że z nieskończonych labiryntów bibliotek Babel odrzuca się wszystko, co w nich poskładane, a co nie jest tą jedyną – twoją – formą, która czekała, byś ją wreszcie odnalazł. Podobnie jak to jest z Pietą Michała Anioła, od zawsze istniejącą w bryle marmuru, a dłuto artysty było potrzebne jedynie do tego, by odłupać zbyteczne kawałki kamienia, które ją ukrywały.

Jak długo autor musi błądzić po korytarzach biblioteki Babel, aż odnajdzie to, czego szuka?

Rachunki

Matematyka ma także swoją bibliotekę Babel; znajdują się w niej wszystkie możliwe teorie matematyczne. Jest ona znacznie bardziej przepastna niż literacka biblioteka Babel. Mamy prawo domyślać się, że jest nieskończona, zapewne wykraczająca poza to, co jesteśmy w stanie pomyśleć lub sobie wyobrazić. Mimo tego ogromu, matematycy poruszają się w niej (ściślej: w jej małym zakątku) znacznie sprawniej niż poeci wśród labiryntów literackiej biblioteki Babel. Dzięki swoim ścisłym metodom matematycy skutecznie docierają do obszarów, do których sama tylko wyobraźnia nigdy by ich nie doprowadziła. Co więcej, postępy fizyki w ostatnich trzystu latach wymownie przekonują, że aby zrozumieć Wszechświat, nie wystarczy eksplorować najbardziej dostępne dla naszej wyobraźni obszary matematycznej biblioteki Babel.

Rozmiary zarówno literackiej, jak i matematycznej biblioteki Babel wyraźnie wskazują, że nie dają się one pomieścić we wszystkich możliwych połączeniach neuronów naszego mózgu, ale żeby tworzyć – czy to literacko, czy matematycznie – nasz mózg musi mieć jakiś (tajemniczy) kontakt z głębokimi obszarami tych bibliotek.

Książka uzasadniająca na czterystu dziesięciu stronach, że literatura jest jednak dla idiotów, na pewno znajduje się na jednej z półek literackiej biblioteki Babel, ale to, że zdania „dwa plus dwa nie równa się cztery" (przy zwyczajnym rozumieniu dodawania i równości) nie ma w żadnej książce matematycznego Babelu, może zrozumieć nawet człowiek, który szczyci się tym, że nigdy nie rozumiał matematyki (zapewne dlatego, że w szkole podstawowej miał złego nauczyciela „od rachunków").

© MICHAŁ HELLER

STANISŁAW

Mancewicz: *Czarna Wołga*

Ktoś powie, że ostatni tuzin wypowiedzi Gospodarza to nie jest powód do żartów. A znowuż ktoś inny, mniej melancholijnie nastawiony do opinii wyrażanych przez prastarą inteligencję żoliborską, rzeknie, że są to mniemania po prostu fajne. Rozjaśniające mroki obecnych czasów. Rzec trzeba, że i my lubimy, gdy Gospodarz świeci tu i ówdzie latarką, jak snuje swe opowieści z mchu i paproci, bądź takie, od których człowiekowi włosy stają dęba, a zęby szczękają. I nie ma się co oburzać, bo lubimy się bać i kochamy, gdy Zbawca Narodu zbawia naród. To jego praca.

Gospodarz zbawia w skali małej i dużej. Weźmy powtarzające się co jakiś czas jego wtręty na temat niemieckiej chemii gospodarczej. To uświadamianie mikro w celu makro. Że – powiada Gospodarz – Polak w odróżnieniu od Niemca musi prać w proszku nieproszku, a mydło przysyłane zza Odry i Nysy Łużyckiej jest towarem bez wartości, wyprodukowanym w ramach niemieckich knowań, antypolskiego oszukaństwa i żydowskiego spisku. Przyznajemy bez bicia: lubimy ten gospodarski, holistyczny ogląd świata. Od szczegółu do ogółu, od mozołów związanych z higieną osobistą po problematykę globalną, od nóg, których nie sposób wyszorować w obecnym kształcie Unii Europejskiej, po planetarne huragany zawsze wiejące w oczy Polsce i Polakom. Wsłuchujemy się zatem z zainteresowaniem w fascynujące opowieści o bezustannym polskim pechu, o atakach na wiarę praojców, o krzywdzącym ryciu w przyrodzonej szlachetności i naszym oczywistym wybraństwie, i o arabskich zakusach na dziewictwo tutejszych blondynek. Lubimy to i nic na to nie poradzimy, że na tle mów p. Kaczyńskiego reszta polskich polityków to słabeusze dukający z kartki, pozbawieni elementarnych zdolności gwarzenia z ludem.

Rzeczywiście – zauważono to tu i ówdzie, i my też przyglądamy się najnowszym występom z uwagą – ostatnie opowieści Gospodarza są jakby inne od tych dawniejszych. Jest w nich coraz więcej życiowego detalu, codziennego praktykowania polskości, a sporo mniej wschodnioeuropejskiego szybowania po nieboskłonie zmyślonej historii powszechnej.

Gospodarz – popatrzmy – jakby ostatnio więcej spaceruje po własnej wyobraźni. I z tych spacerów przynosi nam relacje. Oto za Tuska – to oczywiste – widział nędzarzy zjadających dzikom topinambur, czy raczej ziemniaki, kogoś z naszych – też to wie – wyrzucił ostatnio z pociągu hitlerowski kolejarz, banszuc po prostu. Ziąb skłania Gospodarza do apeli, by palić w piecach śmieciem, na złość lewactwu, co cieszy każdego dbającego może o czystość rasy, ale niczego więcej. Innym razem powiada, że był na jakiejś wojnie i pamięta, że tam tańczono, opowiada jak był za granicą (tak naprawdę nigdy nigdzie nie był) i wreszcie, że słyszał – to lubimy najbardziej – że gdzieś w jakimś szpitalu, na oddziale intensywnej terapii, widziano człowieka chorego na „sepsę", „siedzącego na zydlu", nieleczonego przez przebogatych lekarzy, i tak dalej, i tak dalej. Ktoś powie, że takie rzeczy to tylko u nas, ale jak się posłucha obecnych tzw. liderów z krajów i bliższych, i dalszych, to nie trzeba się wstydzić odjechanej wyjątkowości...

Wróćmy jednak na własne śmieci. Gospodarz jeździ po Polsce jako Zbawca, a Zbawcy się słucha. Zapewne gdyby ktoś z nas, jak tu ponuro siedzimy, wypuścił się w Polskę z takimi opowieściami, na podobne biletowane występy po domach kultury, pewnie nie byłoby co zbierać. Bez charyzmy nie ma co się tam pchać, a z charyzmą owszem, i z pomysłem można, bo ważny jest mit i jego umiejętna eksploatacja. Zbawcy posłucha każdy z otwartymi ustami. Opowieści Gospodarza są spójne dla znakomitej większości słuchaczy, są też oczekiwane. Tak ma być, bo tak było i jest. Wszyscy wszystko, o czym Gospodarz mówi, już słyszeli, raz, dwa, albo i sto razy, ale chętnie posłuchają raz jeszcze, w wykonaniu najlepszym z najlepszych. Jest to mniej więcej tak, jakbyśmy sławną, starodawną, miejską legendę o Czarnej Wołdze usłyszeli od jej kierowcy. Dlatego takie to jest fajne i nienudne. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

MÓWIĄC O FUNDUSZACH, MAM NA MYŚLI MILIARDY Z BRUKSELI, KTÓRYCH NIE DOSTANIEMY I KILKUPROCENTOWĄ ZALICZKĘ, NA KTÓRĄ JEST SZANSA. DLATEGO PROPONUJĘ PIENIĄDZE, KTÓRYCH NIE DOSTANIEMY, UCZCIWIE PRZEZNACZYĆ NA INWESTYCJE, A TAKŻE TĘ NIEWIELKĄ ZALICZKĘ (KTÓRA WPŁYNIE) WYPŁACIĆ SOBIE W FORMIE PREMII.

REKLAMA

XXXI FESTIWAL ARS CAMERALIS

HORYZONT ZDARZEŃ

7–26 XI 2022

ARSCAMERALISFESTIWAL.PL

ORGANIZATOR:

Ars Cameralis Silesiae Superioris

ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

Województwo Śląskie

PARTNER:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej / Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

TYGODNIK POWSZECHNY

Silesia Film

HOTELE DIAMENT
YOUR COMFORT IS OUR BUSINESS

PATRONAT MEDIALNY:

Polskie Radio Katowice

BILETY:

ticketmaster®

REKLAMA

CONRAD FESTIVAL

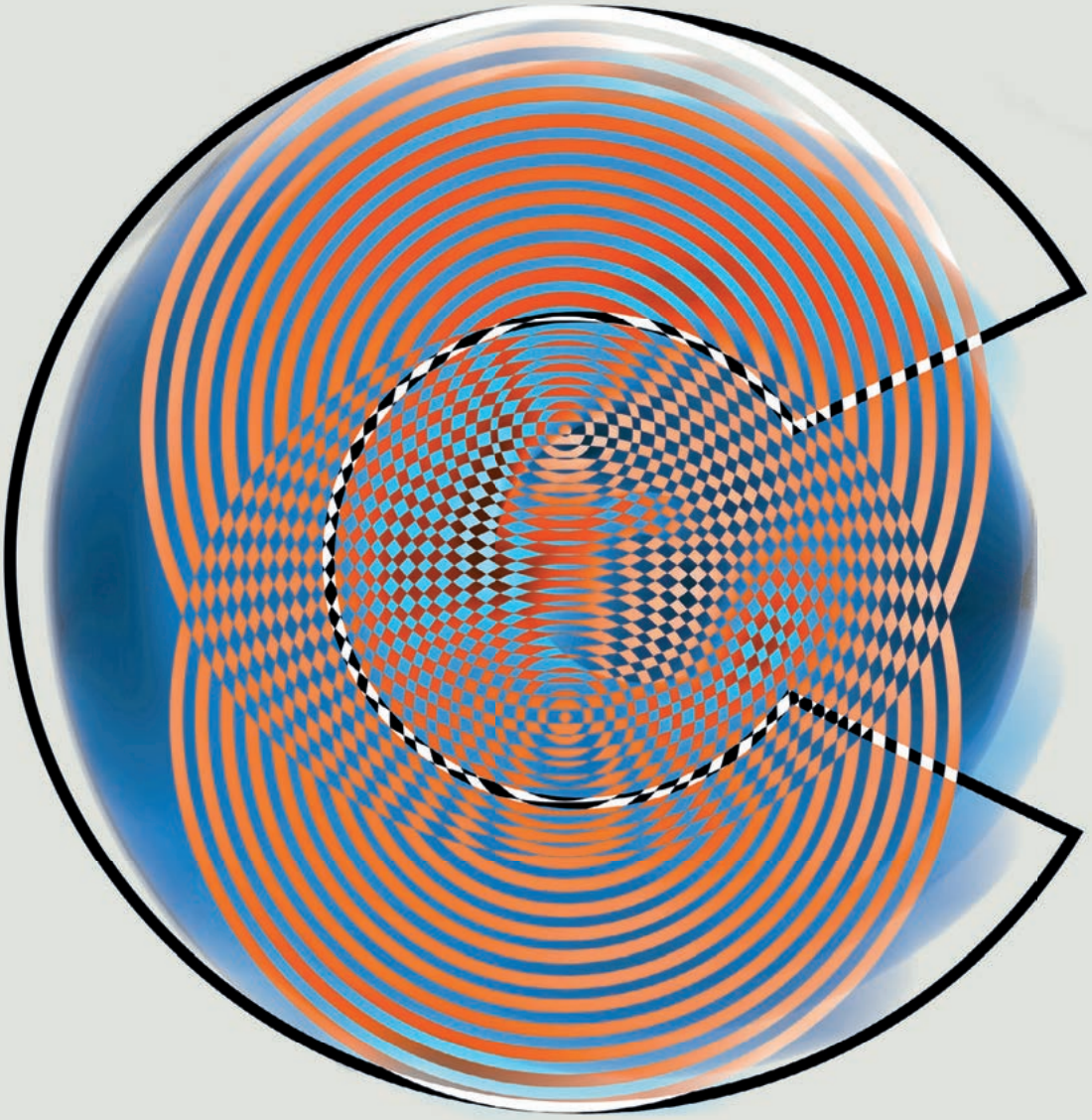

24-30.10.2022

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL LITERACKI

WSPÓLNOTY

Organizatorzy:

Kraków

INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA kbf:

KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Dofinansowanie:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Zakupiono w NEXTO: 3694807